

Tow. Przyjaciół Nauk w Przemysłu.

D



1428





STUDENTKI.

STUDENTIA

---

W drukarni A. Kozińskiego w Krakowie.

KAROLINA SŁOŃCZEWSKA.



# STUDENTKI



POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNĄ.

TOM II.



KRAKÓW  
NAKŁADEM KSIĘGARNI D. E. FRIEDLEINĄ.  
1902.

STUDENTKI

W Paryżu Leszcz i Dramowski przekonali się wkrótce, że o założeniu pisma ze środkami, jakimi zjednoczenie rozporządzało, myśleć nawet nie można. A że Leszcz nie złożył jeszcze doktoratu, i nie miał nadziei doktoryzować się tak prędko w mieście, gdzie o rozrywkę i hulankę zbyt już łatwo, umyślił przeto, po naradzie z Karolem, przenieść się do Genewy i tam rozpoczętą tezę ukończyć. Wracali więc razem w miłym nastroju ducha i, spoufaleri wspólną podróżą, rozmawiali, jak dawni przyjaciele.

— Szczęśliwy, kogo przy końcu długiej podróży czeka powitanie narzeczonej! — żartował Leszcz, widząc, że się Karol zamyslił.

— Szczęśliwy? Cóż chcesz. To jest bardzo miłe uczucie, wiedzieć, że ktoś o nas myśli, że powita, jak mówisz. Kazia jest do mnie przywiązana i jestem jej za to bardzo wdzięczny. Chciałbym tylko...

— No, to wiadomo.

— Nie. Nie to, co ty myślisz.

— O, to już źle!

— Dajże spokój! Chciałbym, żeby trochę więcej wcieliła się do towarzystwa studentek. Znaj-

duję, że jest dzika; przez pół roku pobytu w Genewie nie zawiązała, właściwie mówiąc, stosunków koleżeńskich z temi paniami. Jestem tego zdania, że koleżeństwo wyrabia umysłowo i moralnie. Myślę, że za jaki rok już się pobierzemy. Pragnę, żeby skorzystała jaknajwięcej z pobytu na uniwersytecie i wśród niewiast bądź co bądź nietuzinkowych. — Prosiłbym Rwańską, by się nią zajęła, tylko zdaje się, że między nimi już coś było i w szczerę ich zbliżenie nie wierzę. — Tybyś prawdopodobnie potrafił pociągnąć ją do koleżeńskiego życia. — Byłbym ci prawdziwie wdzięczny za to.

Leszcz chętnie podjął się przyjemnej misji, wyrobienia narzeczonej przyjaciela w kierunku koleżeńkości. — Przyjechawszy na miejsce, złożył wraz z Karolem wizytę Kazi, przyczem oświadczył, że ma go uważać za opiekuna i mentora, postawionego z ręki Karola, że wymaga ślepego posłuszeństwa, jest srogi i wymagający, zabrania pachnących kwiatów w pokoju, gdyż mają własność odurzającą i żąda herbaty z szynką, kielbasą lub czemś równie poważnem.

Kazia odrazu wpadła w dobry humor, rozmawiała z wielkiem ożywieniem, na żarty odpowiadała dowcipnie, ugościła ich elegancko i serdecznie, obu wydała się bardzo miłą, naturalną i nie głupią, a co więcej nie pozującą na powagę, uczoność i mądrość. Karol dumny był z wyboru i okazywał Kazi wiele serdeczności. Ścisnął jej nawet rękę

pod stołem i ona oddała mu ten uścisk, nie doznając przy tem niemiłych wzruszeń. Czytanie zalecone przez Hełę, wpłynęło na nią uspakajająco. Kwestja traktowana naukowo, nie podrażniła wyobraźni. Nic z tego, co przeczytała nie mogła odnieść do siebie; dowiedziała się, ale nie wyczuła zjawisk, które ją niepokojem przejmowały. Rada była temu niezmiernie i pogodnie patrzyła w przyszłość u boku Karola, tego «*Primus inter pares*».

W kilka dni po tem Kazia i Leszcz odprowadzili Karola na kolej, i gdy Dramowski z leciuchnym żalem w duszy pędził kurjerem na Wiedeń i Kraków do Chamowa, ci dwoje bez żalu kroczyli ku Chemin du Cygne rozmawiając z sobą swobodnie. Przy furcie ogródka Leszcz pożegnał koleżankę, zapowiadając, że od jutra zajmie się jej wychowaniem. Dziś może trochę popłakać, z racji wyjazdu narzeczonego, zaczem ma się położyć i śnić, co się śni w takich razach. Rano może jeszcze łez trochę uronić, ale nie dłużej, jak do śniadania, by do obiadu oczy miała jasne, gdyż zaraz popołudniu ma złożyć wizyty wszystkim koleżankom i podać się na członka towarzystwa „Wzajemnego kształcenia“.

— Teraz — dobranoc! — Leszcz ucałował ją w rękę z powagą.

Kazia nie zanosilo się na płacz bynajmniej, ani też śniła o czemkolwiek. Była bardzo zadowolona i z narzeczonego i z siebie i z opieki. „Jak to dobrze, że to przyjaciel Karola — myślała zasypiając.



Będzie nas odwiedzał, przejeżdżając przez Chammów. Weselej będzie w domu. Zasnęła z tą uwagą, którą sobie czyniła, że lubi gości i że to jest parafiańszczyzna.

Nazajutrz odwiedziła, stosując się do żądania opieki, wszystkie koleżanki, wysłuchiwała powinszowań i bardzo pochlebnych zdań o Dramowskim, poczem wróciła do domu w oczekiwaniu Leszcza.

Około ósmej wieczorem zjawił się opiekun w istocie.

— Naprzód sprawozdanie! — rozkazał tonem srogiego mentora.

— Naprzód herbaty i tak dalej — przerwała mu Kazia i zakrzętała się koło wieczery.

— Cóż to? — Fizjologja? — Nie jesteście przecie na medycynie? — spytał gość przeglądając książki na półce.

— Nie — odpowiedziała swobodnie, nie czując najmniejszego zmięszania.

— Hm... to wolno. — Pozwalam.

— Czy i książki mają podlegać cenzurze opieki?

— A, wszystko! wszystko! nawet myśli i uczucia. — Cóż tęsknimy za najdroższym?

— Coś nie bardzo?

— To przyjdzie! — Herbata jest — teraz do rzeczy: macie się podać na członka towarzystwa; zobowiązujecie się przychodzić na każde posiedzenie, zabierać w każdej sprawie głos, czy jest co



do powiedzenia, czy nie, w braku myśli. powtarzać za Rwańskim w nieco odmiennej formie dla niepoznaki. — Cóż jeszcze? — Nic i nikogo nie krytykować, admiirować wszystkie koleżanki, ubóstwiać Rwańską, psy wieszać na jej przeciwniczki, do Karola pisywać czule, a nie zbyt długo, bo i tak ma wiele do czytania... to już wszystko. — Myśleć tymczasem wolno, co się podoba, a najlepiej nic nie myśleć.

— Czy z powodu indyka?

— Nie: dlatego, że stan nie myślenia daje szczęście.

— Wiecie, nie chciałabym szczęścia pod takim warunkiem.

Pomimo tak kategorycznego oświadczenia Kazia dni następnych zapadła w błogi stan. doradzony jej przez opiekuna. — Nie myślała. — Żyła sobie z dnia na dzień tem, co jej każda godzina z kolei przynosiła, wykłady na uniwersytecie, rozmowa z koleżankami, częste ich odwiedzi-ny, parę razy w tygodniu kolacje czy herbatki w towarzystwie troskliwej opieki, resztę czasu zajmowały jej listy do rodziców, panny Anny, Waluni, nawet do panny Janiny Bębajło, którą widywała przez dni kilka zaledwie; chodziła oglądać wystawy sklepowe, kupowała kwiaty, rozmaite fatałaszkki, mające być pamiątkami z pobytu w Genewie i jadła ciasteczka, zwane „moleka“. To jej wystarczało. Nie zastanawiała się nawet, skąd się wzięło dziwne, a tak niezwykle u niej lenistwo

myśli. Kazia wypoczywała po całej sumie różnorodnych to przykrych, to miłych wrażeń. Wszystko w około sprawiało jej przyjemność, widoki jeziora i cudna barwa Rodanu i światła elektryczne po ulicach i turkot tramwajów i zapach pieczonych kasztanów w rozstawionych po placach budkach i gwar audytorjów w uniwersytecie i życzliwe uśmiechy koleżanek, najbardziej jednak cieszyła ją cicha uliczka strojna w bluszcz i cyprysy, ogródek z heleborami, szumiąca fontanna z łabędziem i jej pokoił pełny kwiatów i niedorzecznych drobiazgów.

„Wdzięczna jestem Panu za Genewę“ — pisała do Karola pewnego wieczora. — „Dobrze mi tu, spokojnie i wesoło. Jeszcze nigdy nie doznawałam w życiu takiego uczucia pogody i ciszy“...

Dzwonek na dole przerwał dalszy wątek myśli. Leszcz przyszedł po nią. Miała być wprowadzoną na posiedzenie „Towarzystwa wzajemnego kształcenia“.

Kazia ociągała się trochę. Za rok opuści już prawdopodobnie Szwajcarję. Po co ma się wpisywać do towarzystwa? Nie zajmowało ją to. Woliała pogрузić się do końca w lenistwie myśli, które jej taką sprawiało rozkosz. Wymawiała się, podając pierwszy lepszy pretekst.

— Mogę się zapisać, bo się na członka podałam, składkę zapłacę, ale chodzić na posiedzenia nie potrzebuję.

— Nie rezonować! Jest polskie towarzystwo,

Polka winna doń należeć i nie dla formy tylko, ale brać czynny udział we wszystkich jego sprawach. Człowiek jest zwierzę towarzyskie, stąd powstają stowarzyszenia. Wylamywać się z pod ogólnego prawidła łączenia się gromady, dla tego, że się jest zareczoną, to absurd, to prowadzi do zdziżenia, spleśnienia, wyjałowienia myśli, czy zidjocenia, jak wolicie. — Co to jest? list do Karola? Aha! teraz rozumiem! Chciałoby się wylać na papier przepelniające serce uczucia, a tu trzeba iść słuchać o tem, która tam na którą nie tak popatrzała. Coż robić? wróciwszy, można dokończyć. Ubierać się i chodźmy.

Kazia posłuszna włożyła płaszczyk, kapelusz, szyję okręciła puszystem „boa“ i poszła wesoło pod ramię z despotycznym opiekunem.

W lokalu towarzystwa szumiało, jak w ulu. Kazia wchodząc do pokoju, zastała już pełno koleżanek. Na pierwszy rzut oka spostrzegła, że są dwa obozy: wkoło Zajdlówny siedziało kilka pań, wśród nich Blinowska mówiła o eklampsji, Tułowiczówna o manji jakiejś pomięszanej pacjentki, inna o środkach przeciw dyfterytowi, Hela zaciągała się dymem i patrzyła w próżnię. Pod drugą ścianą rozmowa szła żywo i głośno: „Upaństwowienie pracy“... „Obniżenie wartości“... Wreszcie „Robotnik!“ „Interes robotnika“... „Klasa robotnicza“... latało z ust do ust, jak piłka w lawn tennisie.

Kazia witała czule wszystkie koleżanki, w końcu usiadła przy Heli i uściskawszy kościstą rękę w milczeniu, zaczęła mimowoli rozmyślać: „Czy to się przyda na co, że dwadzieścia panien polskich w Genewie będą odmieniać w kółko: „robotnik, robotnika, robotnikowi?“

„Wszystkie przecie znają tę kwestję na pamięć, z tych samych źródeł, w tem samym oświeceniu. Może ja za mało mam entuzjazmu, ale to, co tu widzę, wygląda w moich oczach na zapal jakiś pensjonarski“.

Raptem wszystko ucichło. Przy stole zasiadł zarząd: pośrodku przewodnicząca — Rwańska, po obu jej stronach sekretarka i kasjerka. Bibliotekarzem był Rwański.

— Posiedzenie otwarte — ozwała się Kamila, rzucając spojrzeniem po zgromadzonych. — Koleżanka sekretarka raczy odczytać protokół ostatniego posiedzenia.

Protokół głosił o zmianie ustawy, wyborze delegatów na zjazd i o czymś odczycie. — Został przyjęty.

— Porządek dzienny?

— Sprawozdanie ze zjazdu. Podanie nowego członka. (Wszyscy spojrzeli na Kazię). Dymisja jednego z członków. (Towarzystwo uśmiechnęło się). Zmiana ustawy.

— Proszę o głos — wołał Leszcz.

— Kolega Leszcz ma głos.

— Czy zmiana ustawy „ciąg dalszy“, czy „nowa poprawna edycja“?

— Epilog! — rzuciła Zajdlówna.

— Proszę do porządku! — Sprawozdanie ze zjazdu.

Tu Rwański odczytał obszernie opracowany artykuł, który miał figurować w zaprojektowanym przez zjazd piśmie.

Leszcz przy sposobności wytłómaczył powody, dla których zlecenia zjazdu dotąd nie wykonał.

Nim umilkł, Kamila wskazała coś sekretarce na papierku.

— Zmiana ustawy.

— Proszę o głos w kwestji formalnej — ozwała się Zajdlówna.

— Koleżanka Zajdel ma głos.

— Na porządku dziennym jest wymienione przedtem przyjęcie nowego członka i dymisja jednego z dawnych.

— Kto życzy sobie głosu? — Nikt? Ja proponuję obradę nad zmianą ustawy. — Kto jest przeciw?

Paczka Zajdlówny wzniosła ręce do góry.

— Kto jest za? — Większość. Na porządku dziennym: Zmiana ustawy. Kto chce głos zabrać w tej sprawie?

— Proszę o głos.

— Kolega Rwański ma głos.

— Jestem tego zdania, żeby ustawy nie zmieniać i przejść nad nią do porządku dziennego.

Zjednoczenie nie przyjęło naszego wniosku o ustroju korporacyjnym poszczególnych towarzystw; nie jesteśmy znów w tak odmiennych warunkach od reszty młodzieży, żebyśmy potrzebowali uciekać się do instytucji bardzo nam obcej i mówiąc nawiasem — średniowiecznej.

— Kolega Rwański proponuje przejście do porządku dziennego.

— Proszę o głos! — Wołała Zajdlówna.

— W kwestji formalnej! — wykrzyknęła Wartkowska.

— Koleżanka Wartkowska w kwestji formalnej.

— Proponuję zamknięcie dyskusji.

— Ja jestem przeciw!

— Koleżanka Zajdel nie prosiła o głos! — Kto jeszcze życzy sobie głos zabrać? — Nikt? — Głosujemy nad zamknięciem dyskusji, — Kto jest za? — Raz, dwa, trzy, cztery, pięć... ośmnaście!... — Dyskusja zamknięta. — Kto żąda głosu? — Koleżanka Wartkowska, koleżanka Zajdel.

— Ja cofam swój wniosek o zmianie ustawy towarzystwa. — Skończyłam.

— Koleżanka Zajdel?

— Chciałam wiedzieć, dlaczego ta średniowieczna instytucja, zapożyczona u obcych była miesiąc temu niezbędną, dlaczego przeszła w zasadzie, została głęboko obmyślaną przez koleżankę... Wartkowską i silnie popartą przez kolegę Rwańskiego, a dziś, w miesiąc później, okazuje się



nieodpowiednią, „projektodawczyni“ cofa go stanowczo, a kolega Rwański proponuje — przejście do porządku dziennego? — Co to zaszło w towarzystwie, co wskazało na szkodliwość tak niezbędnej niedawno reformy? — Bo my przecie robimy zawsze prawa ad hoc: gdy zajdzie szczególny jakiś wypadek. — Gdy trzeba kogo zdeptać, zaafiszować, zmusić do pogodzenia z kimś, czy coś podobnego. — Ja myślę, że towarzystwo powinno zostawić swym członkom swobodę regulowania stosunków osobistych z osobami stojącymi poza jego obrębem, lub członków między sobą wedle uznania każdej jednostki i że trzeba nam wypowiedzieć się wyraźnie w tej kwestji.

— Czy koleżanka Zajdel skończyła?

— Tak.

— Zwracam uwagę koleżanki Zajdel, że właśnie pozostawienie dawnej ustawy odpowiada jej projektowi.

— Ja tego nie widzę...

— Dyskusja zamknięta, koleżanko, przystępujemy do głosowania: — Kto jest za zmianą ustawy? — Nikt. — Kto jest przeciw? — Większość. Porządek dzienny?

— Koleżanka Potulińska prosi o przyjęcie jej do liczby członków.

— Głosowanie jest tajne i w nieobecności waszej, Potulińska. — Zechciejcie opuścić zgromadzenie.

Kazia wyszła do przedpokoju. — Za chwilę przywołano ją i przywitano uściśnieniem ręki.

— Porządek dzienny? — Spytała następnie przewodnicząca.

— Dymisja koleżanki Bartskiej...

— Jest list?

— Tak.

— Proszę odczytać.

— „Do Towarzystwa wzajemnego kształcenia młodzieży polskiej w Genewie.

„Przekonawszy się, że w towarzystwie są osoby „nieszczere, udające fałszywą przyjaźń, bratające się „w celach osobistych z jednostkami, o których „poprzednio jaknajgorszą wydawały opinię; wiedząc, że te osoby mają wpływ i przewagę w towarzystwie, nie życzę sobie nadal figurować „w liczbie członków takowego.

Cześć i pozdrowienie

Jadwiga Bartska“.

— Pozwoli towarzystwo, że pierwsza głos zabiorę w kwestji tego listu, gdyż koleżanka Bartska mnie ma tu na myśli: ja jestem tą osobą nieszczerą i fałszywą, w jej pojęciu. Na nieszczęście sprawa jest tego rodzaju, że przez przyjaźń dla Bartskiej, w którą ona nie wierzy, nie chcę jej poruszać na posiedzeniu. Upewniam jednak każdego, kto zechce nie dać wiary, że nie zawiniłam w niczem przeciwko koleżance Bartskiej i zrobię wszystko, co jest w mojej mocy, by ją o tem z czasem przekonać. Śmiem upraszać koleżanki, by nie okazywały koleżance Bartskiej najmniejszej niechęci, czy niezyczliwości. Mam



nadzieję, że się przeświadczy o zaszłej w tym wypadku pomyłce i powróci do towarzystwa, które ku wielkiej mej przykrości — opuszcza. Czy kto chce głos zabrać? Będziemy mieli odczyt. Proponuję dziesięć minut pauzy.

Rwańska powstała, wszystko ruszyło się, zaszumiało, zahuczało, wszczęła się wrzawa i zamieszanie: ktoś się oburzał, ktoś drugi wyraził uwielbienie, nad wszystkim jednak górowała ciekawość: „Co to było?“ „Co to zaszło?“ „Jakie nieporozumienie?“ „Jako pomyłka?“ „Kiedyż to się stało?“ „Coś na zjeździe!“ Poczęto się domyślać. Pytano każdego gorączkowo, szczególnie Kazię, wreszcie przypuszczono szturm do Zajdlówny.

— Nie wiem o żadnem nieporozumieniu. Czy było jakie nieporozumienie? Pierwszy raz słyszę! — odpowiadała głośno, świdrując oczkami Kamilę.

Ta rzuciła jej tylko ostre, jak sztylet spojrzenie i usta przygryzła.

— Posiedzenie otwarte. Głos ma koleżanka Dyamantenperl.

Wszystko się uspokoiło, ucichło, szeptało tylko gdzie nigdzie: „Co to być mogło?“ „O co to poszło?“ „Że też nikt nie słyszał!“

Dyamantenperl odchrząknawszy wygłosiła tytuł swego odczytu: „O zbrodniczości tłumu“.

Kazia słuchała z nateżeniem. Za miesiąc miała sama z odczytem wystąpić, chciała zdać sobie sprawę, jak wygląda popis tego rodzaju. Ale mono-

tonny głos prelegentki rozmarzał ją; wkrótce słuchała napół tylko, tonąc jednocześnie w niewyraźnych, nieuchwytnych wspomnieniach. Odczyt jej coś przypominał. Ale co? Ogródek w Wintowie, płaczące serca. jakaś książkę... widzi ją, jej format, czuje objętość i gładką powierzchnię oprawy... Tylko to nie tak brzmiało... głównie nie ten tytuł. Było coś o tłumie... Oto cała myśl znana... i zapach bzu zarazem. Bez kwitnął widocznie, gdy to czytała. Białe bez. Tu stanęła jej w oczach doniczka bzu białego, przyniesiona jej przez Karola na Nowy rok. Pierwszy upominek narzeczonego, pierwsze jego noworoczne życzenie. Przeszłość! to już przeżyte, już nie powróci! Nie doznała nawet tej rozkoszy, jaką podobna chwila dać powinna!... Już nigdy nie dozna. W sercu jej wzrastał żal za tem, czego nie miała. Budziła się w niej potrzeba miłości i nieodłączny z nią smutek. Przestała znów myśleć, słuchała tylko bólu swej duszy, żalu za tem uniesieniem, które odgadywała instynktownie, a którego miała się wyrzec dla tytułu mężatki... redaktorowej.

W tem coś ją zaczęło dziwnie męczyć i niepokoić. Czuli, że musi zwrócić głowę. Opierała się całą mocą swej woli, w końcu prędkim ruchem twarz obróciła i spotkała czarne żarzące oczy-kleszcze utkwione w jej twarz z jakimś dziwnym wyrazem. Krew uderzyła jej do policzków, zalała usta, zaszumiała w uszach. Ogarnęło ją

potężne, nieznanne wzruszenie: pragnienie zmysłowej rozkoszy, miłości.

Leszcz nie domyślił się tego: rysował właśnie szkic humorystyczny: — „areopag paniński“. Chciał mieć Kazię en trois quart; próbował siłą wzroku zamagnetyzować ją i zmusić by nań spojrziała. Gdy dopiął swego, schylił się nad papierem i dalej szkicował w najlepsze, ani domyślając się, jakie w niej żądze rozpalil

Ona go także nie zrozumiała. Ten wzrok dla niej oznaczał miłość, tajoną do narzeczonej przyjaciela. Boleść i rozkosz rozrywały jej serce, pragnienie, radość, nadzieja, napelniły jej duszę po brzegi. Cały romans uczucia przeżyła w tej jednej godzinie: Była kochaną, kochała, była między nimi przeszkoda... Ona ją zwalczy, usunie, ona zerwie z Karolem zaraz... będzie szczęśliwą!

Odczyt się skończył, rozpoczęła się dyskusja. Brzmienie innego głosu obudziło Kazię, zwróciło ją ku rzeczywistości. Poczęła wahać się, wątpić. Leszcz może jej nie kocha, może się tylko nią bawi? Gdyby mu się nawet podobała, to nie dowód, że się ożeni. Może nie zechce zdradzić przyjaciela Karola... Kazia cierpiała.

— Posiedzenie zamknięte.

Na te słowa wstała i pospieszyła do wyjścia. Chciała coprędzej uciec do swego pokoiku i myśleć tam o swoim szczęściu, czy bólu. Nim jednak swe boa wkoło szyji okręciła, już całe towarzystwo było koło niej. Szukano kapeluszy, płaszczy-

ków, parasoli i rękawiczek. Mówiono o Bartskiej, zachodząco w głowę, co zaszło między nią, a Rwańską.

— Cóż to, koleżanko Potulińska! O tej porze wymykać się bez opieki aż na Champel? To ładnie! Byłby mi Karol wdzięczny! Gdyby tak panią porwano, roztrzaskałby mi łeb niezawodnie.

Kazia drgnęła. Poprzednie wzruszenie ogarnęło ją z całą siłą. Nawpół przytomna przyjęła jego ramię i poszli. Czekwała z drżeniem jakiegoś miłosnego wyznania i omdlewała niemal ze szczęścia.

— Potulińska! Potulińska! Czekajcie! Ależ to pędzą! Wołała za nimi Zajdlówna.

Leszcz i Kazia stanęli.

— Jakże się wam podoba? Zagadnęła ich, cała jeszcze zdyszana. Toż przecie przeciwko wam był uknuty spisek: na waszą intencję przetapiano ustawę w inną formę; miało być wzbronione rękę wam podawać. Teraz, kiedyście się z Dramowskim zaręczyli, a Bartska te głupstwa popisała, już korporacja niepotrzebna: oszczędzamy Bartską, bo wie o nas to i owo. Cała rzecz!

— Wszak to nie Rwańska podała projekt nowej ustawy — odparła Kazia, odrywając się z wysiłkiem od swych marzeń.

— Nie ona! Tobo było zbyt niepolitycznie. To się robi przez ministrów! — Zaprojektowała Wartkowska, a odwołał mężulek! Daje się za nos wodzić: pantofel!

— Tylko mi Rwańskiego nie zaczepiajcie! — protestowała Kazia.

— A cóż to Rwański? Taki Święty? Nietykalny? Nie lepszy od niej! Razem Starockiego oszukiwali.

— Moi drodzy! -- Błagała Potulińska. Prze-  
stańmy o tem mówić! -- Jestem dobrze z tymi  
ludźmi. Jemu wiele, doprawdy, zawdzięczam. Zre-  
szta — dodała nieśmiało -- za to, że ktoś po-  
szedł za głosem swego serca potępić go nie  
należy.

— Ja też nie potępiam. Ale zgódźcie się, że  
obmawiać człowieka, którego się opuściło z ko-  
chankiem, to nie jest ostatnie słowo szlache-  
tności.

— A jeżeli w istocie był niedobry dla niej?

— Niedobry? To najlepszy w świecie czło-  
wiek!

Znałam go osobiście! Stąd taka do mnie nie-  
nawiść, że słysząc to wszystko, co o mężu mó-  
wiła, musiałam, czułam się w obowiązku — prze-  
czyć.

— Wiecie, wyście go może i znali z naj-  
lepszej strony, ale, jakim był dla niej, wiedzieć nie  
możecie.

— Przepraszam was, koleżanki — przerwał im  
Leszcz ze zdumieniem. O kim wy mówicie?

— Cóż to? O Rwańskiej przecie!

— Jakżeż? to ona męża porzuciła? Przecież...  
Nie rozumiem!

— Bo to nie jej mąż, Rwański.

— Mój Boże! Wy, koleżanko Zajdel nie potrzebnie poruszacie ten temat. Rwański jest jej mężem, bo jego kocha i z nim jest. Są w swoim prawie.

— Ależ dobrze, zgoda! — Tylko zważcie, że to nie żadne bohaterstwo... — zapalała się Zajdlówna.

Leszcz nie słuchał ich wcale. Patrzył na przemijające po srebrnej tarczy księżycy chmurki i śpiewał sobie półgłosem:

„L'amour est l'enfant de Bohème,

„Tu ne m'aimes pas, je t'aime“.

Dwóch środkowych wierszy nie pamiętał. Kazia rozplywała się w szczęściu. Brała do siebie nuconą niedbale arję cyganki. Pożegnała go zmienionym od wzruszenia głosem i wpadła, jak nieprzytomna, do białej izdebki, pełnej odurzającej woni tuberozy. Zdało się jej, że serce jej pęknie z radości, że oszaleje, że się z okna rzuci, że gdzieś uleci, że nie zdoła znieść tego bezmiaru uczucia.

Godziny mijały, Kazia siedziała i uśmiechała się do swych myśli. Powoli zaczynała ją boleć głowa. „To te kwiaty!“ przyszło jej na myśl. „On ma słusność: trzeba je powynosić“. Z trudnością podniosła się z fotelu i wystawiła kwiaty na korytarz. Opanowała ją dziwna bezwładność, rozebrała się z wysiłkiem, weszła do zimnego łóżka



i zasnęła. Dniało już na dworze, słońce weszło do białego pokoiku, całowało bladą twarz dziewczyny, a nie mogąc jej zbudzić płynęło wyżej i wyżej po niebie i było już na środku niebios, gdy Kazia oczy otworzyła.

Bolała ją głowa. „Dla czego? — Od kwiatów zapewne. — A kwiaty? — Aha! powynosiłam, bo „on“ kazał“. Serce uderzyło jej gwałtownie. „Więc to prawda? — Niewiadomo! Wydało mi się. Patrzył. Może bezwiednie... Śpiewał. — Mógł o Rwańskiej myśleć. Nie, to być nie może. A gdyby nawet, Karola zdradzać nie zechce!“ W duszy Kazi zapanowała niepewność, nadzieja, trwoga, zwątpienie, pragnienie, radość i rozpacz. — Męka i rozkosz miłości. „On przyjdzie i powie“. — „Dziś przyjdzie koniecznie!“ — „Coś mu przeszkodziło, ale jutro napewno!“ — „Jutro“ i jeszcze „jutro“ i jeszcze, i znów „jutro!“ Leszcz nie przychodził... Nadzieja zaczęła omdlewać i gorycz serce zalała, gdy pewnego wieczora usłyszała biedaczka znane kroki na cichej uliczce. Serce zamarło jej w piersi. Ledwie dysząc czekała aż do drzwi zapuka. Już jest, już ją wita, siada na krześle przy stole...

— A gdzież ta herbata? A przekąska? Dziś chętniebym „wsunął“ coś gorącego, np. parzone kielbaski, bo na dworze jest „nieco obskurnie“.

— Herbata?... zaraz! Czekaście! Co? Parzone kielbaski? W tej chwili: poproszę córki gospodyni.

„Jakie to okrutne! Nie! To być nie może? On udaje: nie chce krzywdzić Karola“.

Kazia zbiegła na dół po owe kielbaski. Łzy cisnęły jej się do oczu. Poszła aż do łabędzia i napiła się wody, chwytając ustami wążki, przezroczysty i chłodny strumyczek. Uspokojona wróciła do pokoju, zapaliła spirytus dla zagrzania wody na kielbaski, a on gadał sobie swobodnie:

— Cóż Karol? Czy nie przyjedzie na Wielkanoc? — A odczyt wasz koleżanko? — Wystąpcie z czemś mądrzejszem niż „Psychologja tłumu“, którą i tak wszyscy znają. Napiszcie np. o wpływie małżeństwa na podniesienie przemysłu tkackiego, lub w ostateczności „Psychologja narzeczeństwa“. Coś, coście sami zaobserwowali czy wymyślili.

— Napiszę... o sile magnetycznej wzroku.

— Wiecie, to myśl. Na posiedzeniu rysowałem... patrzcie! — Wyjął papierek z kieszeni. — Gdy chciałem, by mi która oczy pokazała, patrzałem na nią póty, aż się obejrzała; wy także. Jedna Rwańska oparła się. Ale ona w ogólności jest niepospolita niewiasta.

Biedna Kazia cierpiała całe piekło: Nie kocha jej. Chciał ją tylko rysować! A Rwańska jest „niepospolita“!

Dziewczyna upamiętała się raptem. Podała mu kielbasek, zaparzyła herbaty, mówiła spokojnie o swym odczycie, który miał traktować o taniości produktu przemysłowego i szkodliwości tandety, i że spodziewa się Karola na Święta. Pożegnała go chłodno i zaczęła rozmyślać:



— „Trzeba z tem skończyć. Wezwę Karola i pobierzemy się nie odkładając. Będę cierpiała, ale przetnę wszelką nadzieję. Bo ja się jeszcze ludzę! Czuję, że się tych marzeń nie zrzeknę, póki mię Karol stąd nie wywiezie.

Usiadła zaraz przy biurku i napisała do Karola list dość udatny, w którym prosiła go, by i Wielkanocne Święta spędzili razem w Genewie.

---

Leszcz chętnie bywał u Rwańskich: kolacyjki u nich były smaczne, gospodyni zajmująca, gospodarz wykształcony i inteligentny.

Po beafsteku najbardziej pociągała go Kamila. Rozmowa jej była żywa i zajmująca, nie nużyła głęboką uczonością, nie wyglądała na popis erudycji kobiecej, co więcej, poruszała raz po raz kwestje, nadające się wybornie do pisma, o którym on już prawie nie myślał. Podsuwała mu pomysły, układała plany artykułów, dyskutowała, rozstrząsała z nim razem, nie powołując się nigdy na męża. W ten sposób pragnęła wkręcić się do składu redakcji i męża za sobą pociągnąć, a następnie Leszcza z niej wysadzić. On postanawiał z bystrości Kamili korzystać, ale do redakcji jej nie dopuścić, i z Rwańskim chwałą się nie dzielić.

Tak stały rzeczy, gdy Zajdlówna wykryła mu głośną wśród genewskich studentek tajemnicę o nieprawem małżeństwie Rwańskich. Według jego pojęć, związek taki nie uwłaczał kobiecie. A je-

dnak nie mógł pozbyć się tej myśli, że Kamila była tylko kochanką Rwańskiego. Zajmowało to go czas jakiś, obserwował ich oboje ciekawie i spostrzegł, że ona nie wygląda na kobietę romansową, ani namiętną, a przecież uciekła od męża w objęcia kochanka.

„Jednakże ten Rwański coś wart“, myślał sobie i jakoś zechciało mu się spróbować, czy Kamilla nim, Leszczem, nie zajęłaby się pomimo Rwańskiego. Powoli zaczął w rozmowie z nią schodzić na ton odrobinę poufalszy. Ale Kamila, niezmiernie czuła na tym punkcie, osadziła go zaraz na miejscu i zaczęła przyjmować go lodowato. Leszcz nie dawał tak łatwo za wygraną. Chęć zbałamucenia Rwańskiej wzmogła się nawet cokolwiek. Na razie jednak nie wiedział, co ma dalej czynić? Próbował oklepanego środka: przestał bywać, przy spotkaniu witał się chłodno, rozmawiał tylko z mężem. Rezultatu nie osiągnął żadnego. Kamila okazywała mu lekceważącą obojętność. A on coraz częściej o niej rozmyślał.

Trwało to dość długo. Kazia także od czasu owych kielbasek była nań nie dość łaskawa, zrobiła się milcząca, nudna, nie chciał do niej zachodzić. W końcu doznał serdecznej tęsknoty za beafstekami Rwańskich i buttersznitami Potulińskiej. Poszedł raz i drugi do kawiarni Landolta, ale jakoś mu tam kolacje nie smakowały. Głównie wydały mu się za słone w przenośnem tego słowa znaczeniu. Naraz przypomniał sobie Zajdlównę.

Zapraszała go niegdyś bardzo serdecznie. Czemuż nie miałby z uprzejmości korzystać. Wolno, jakby od niechcienia skierował się ku Arwie, której mętny wiry rozdzielały wrogie obozy rwańszczyków i zajdlistów. Szum wody nic mu nie mówił, ani o namiętności, ani o szczytach i lodach, jak Kazi niegdyś, ani o partji socjalistycznej nawet, zdało mu się tylko, że podniecał cokolwiek i tak już niezgorszy apetyt. Pomyślał, że Arwa jest głodna. — I w duszy powstało mu zapytanie, czy znajdzie co jeść u Zajdlówny i co mianowicie. Szukając odpowiedzi zakolał do drzwi. Otworzono.

Koleżanka ujrzawszy niespodzianego gościa zdumiała się w pierwszej chwili, zaraz jednak czarne oczki zabłysły i zabiegaly radośnie.

— Witam kolegę! — Śmiała się złośliwie. — Więc już? To dość prędko!

— Jak to już? — Sądziłem, że nie dość wczesnie skorzystałem z waszych łaskawych zaprosin.

— To prawda, ale z Rwańską popstrykaliście się jakoś wcale śpiesznie. No chodźcie, i gadajcie! Co tam zaszło? Bo nie zaprzeczycie, że zgadłam.

— Wyznam wam koleżanko — odpowiadał powoli, spozierając na stół nakryty na dwie osoby, że jesteście bliźcy prawdy, choć niezupełnie. Ale! spodziewaliście się kogoś? Nie mnie jednak — to pewno.

— Powiadam wam, że nie tak wczesnie miałam nadzieję oglądać was u siebie.

— Chcecie koniecznie dopatrzyć związku między moją wizytą, a niełaszkę, którą mi pani Rwańska od pewnego czasu okazuje?

— Widzicie! Czy nie zgadłam? Skądże to znów? Mówcie śmiało, skorom się już i bez was początku domysliła.

— Gdybym wiedział! ale daję wam słowo, że nie wiem. Czegoś Rwańska i Potulińska „krochmała” się do mnie, że pary z ust nie śmiem wypuścić. Jakoś tak jednocześnie im to przyszło, jakby się zmówiły!

— I Potulińska? To dziwne. Jadwigo! Jadwigo! — zawołała. — Chodźcie, bo to jest uciecha! Tylko włożcie swój chałat — bo mamy gościa.

— Kto jest owa właścicielka chałatu?

— No! Bartska!

— Koleżanka Bartska! — Znam ją dotąd z pism tylko. To panie razem mieszkają?

— Przeniosła się dotąd niedawno.

— Tak? niby przeszła do opozycji?

Jadwiga weszła wolnym krokiem, spuszczać oczka z leciuchnym uśmiechem zażenowania na białej twarzyczce.

Miała na sobie śliczny szlafroczek tyftekowy i złotem haftowane tureckie pantofelki. Wyglądała, jak młodziuteńka dama z pokolenia naszych babek, ze skromną minką i ruchami pełnymi wdzięku.

Leszcz okiem znawcy obrzucił drobną postać, wstał i uklonił się jej z powagą.

— No, Jadwigo! Wiecie, że kolega Leszcz. On was już zna z legendy. Bawcież go, jak potraficie, a ja się zajmę kolacją.

— Od zjazdu zamieszkał pan w Genewie? — Pytała Bartska słodkim, dźwięcznym głosikiem. Podobało się panu miasto?

— Rzeczywiście! Chociażem pani dotąd nie znał. Wyrwał się najniespodziewaniej dla samego siebie.

Jadwiga zrobiła odpowiednią minkę i cienkimi paluszkami poczęła zwijać koniec wstążki u pasa szlafrocza. Nieznacznie wysunęła naprzód złożoną nóżkę. — Zauważył to i począł dalej nacierać.

— O, gdybym tak wiedział, jakie tu się perły kryją w tej Genewie, nie siedziałbym przez lat tyle w Paryżu, gdzie ładne twarze można oglądać tylko zdaleka, na scenie, gdzie się wie, że poza temi twarzami niema nic, coby zasługiwało na myśl naszą i serce.

— Powiadacie, że nie możecie się domyślić, o co te panie się „krochmała“? Wpadła im w rozmowę Zajdlówna, niosąc jedną ręką trzecie nakrycie, drugą dźwigając półmisek cielejących nóżek z kaparami.

— Nie mam pojęcia! Musiałem je czemś oburzyć na siebie, ale nie poczuwam się do żadnej winy. Byłem zawsze z najwyższym szacunkiem dla pani Rwańskiej...

— Ach! To może właśnie za wiele było szacunku w waszem obejściu!

— Dajcież spokój, koleżanko! — ozwała się Bartska słodziutkim głosem. Wy wszystkich tak źle sądzicie! Co się miało do powiedzenia, to się powiedziało we właściwem miejscu i nie poza oczy.

— Nawet bardzo ostro, jak na taką anielską osobę. Zauważył Leszcz, spozierając jej w oczy.

— Siadajcie jeść, bo ostygnie! Wy tu Leszczu, naprzeciw Jadwigi. Ty jeszcze masz wino zdaje się, Bartek! Dawaj dla dostojnych gości, ja pójdę po szklanki.

Widok butelki nastroił Leszcza na serdeczną nutę, nie słuchał ogadywań Zajdlówny, jadł, popijał, spoglądał na Bartską, która jadła z wdziękiem, ledwie otwierając koralowe usteczka. Stanowczo mu się podobała.

— No, no, i tak was to obeszło, że te panie okazują wam nielaskę — przedrwiwała go Zajdlówna wesoło.

— Widzicie, apetytu nie straciłem, nie rzuciłem się do Arwy, przykro mi jednak, bo jestem wszystkim ludziom na świecie życzliwy, a w szczególności niewiastom i chciałbym, żeby to uczucie było choć trochę odwzajemnione. Tu spojrzal na Bartskę znacząco.

Wtem przyszła mu genialna myśl do głowy: oto weźmie na się rolę pojednawcy między Bartską i Rwańską.



W ten sposób łaski obu koleżanek pozyska. Zajmował się Jadwigą do końca wieczora, prawil jej zbyt śmiało komplementa, przyrzekł powrócić do tak miłych koleżanek, i z lekkim sercem poszedł do domu. Jutro był już pewny dobrego przyjęcia u Rwańskich.

— W kwestji formalnej, koleżanko! — Witł Kamilę. — wchodząc do wykwintnego saloniku.

— Słucham was.

— Pozwólcieź mi usiąść. Tego się i zbrodnia-rzowi nie odmawia.

— Siadajcie, jeżeli się wam podoba.

— Przychodzę wam powiedzieć, że byłem wczoraj u Bartskiej — ciągnął — niezrażony chłodnem przyjęciem. Oczy Kamili zmętniały w tej chwili. Dostrzegł to kolega; zamiast dalej mówić przysunął krzesło do jej fotela i usiadł z całą swobodą.

— To jest prawdziwie ładna i wcale niepospolita dziewczyna. Ma coś dziwnego, bardzo zajmującego w całej postaci i twarzy.

— Rzeczywiście. Ma swój „genre“.

— No, i wiecie? znalazłem, że jej szkoda tra-cić: zgodzicie się, że w towarzystwie „Me ferait très bonne mine“... A że wyście z żalem mówili o jej dymisji, zdawało mi się, że nie postąpię od rzeczy, jeżeli będę ją nakłaniał do pogodzenia się z wami i z towarzystwem.

— Ależ bardzo dobrze zrobicie. — Odrzekła Kamila chłodno.

— Otóż mówiłem z nią o was i nie zauważyłem takiej znów strasznej przeciwko wam niechęci. Wyznała mi wprost, no, że głupstwo zrobiła, a że słyszałem, jakieście jej wszystko przebaczyli, podjąłem się marnotrawną córkę sprowadzić w wasze progi. Czy dobrzem zrobił?

— Pozostaje mi tylko podziękować wam za dobre chęci, czy jednak zdołacie co przeciwko wpływowi Zajdlówny — wątpię.

— Nie zdaje mi się to zbyt trudnem. W każdym razie spróbuję. Myślę, że moglibyście ułatwić mi zadanie, dając kilka słów objaśnienia... Wiercie mi, że nie dla próżnej ciekawości was pytam, a wprost, żeby nie popełnić jakiego głupstwa, co łatwo mogłoby się zdarzyć, gdybym, nie znając sprawy, rozpoczął kroki do zgody.

— Ależ i owszem: ja tylko przez wzgląd na nią zachowuję rzecz w tajemnicy: mężczyźni są ogólnie dyskretnej, więc wam, rozumie się mogą bez skrupułu powiedzieć, o co chodzi: Bartska ma sobie śmieszna słabostkę, która jej zresztą w niczem nie uwłacza: byle który z mężczyzn trochę jej zainteresowania okazał, zdaje się jej zaraz, że jest zakochany, że się z nią koniecznie powinien ożenić, każde jego słowo bierze za oświadczyzny i nareszcie mówi o nim, jak o swym przyszłym. Przedstawiła mi w ten sposób swoją znajomość z Dramowskim... Kiedy ten się z Po-



tulińską zaręczył. Bartska do mnie nabrała o to urazy, choć daję wam słowo, wołałam wówczas, by się żenił z Bartską; o Kazi miałam najgorszą opinię, która okazała się najzupełniej nieuzasadnioną.

Leszcz w tejże chwili poprzysiął sobie nie pośredniczyć pod żadnym pozorem między temi paniami i zaczął żegnać się z Kamilą.

— Tak wam spieszo? Zostańcie z nami dziś wieczór. Jutro pójdziecie do Bartskiej i powiecie jej w mojem imieniu, co się wam tylko spodoba.

Leszcz zatem powrócił do łask pani Rwańskiej, snuli nadal projekta do artykułów, czytali nawet razem czasami, była jednak pewna granica w ich wzajemnym stosunku, której przestąpić nie wolno mu było pod karą powtórnego wygnania z saloniku pani Kamilli. Granica ta zawadzała mu bardzo. Nawykły do swobodnych stosunków paryskiego półświatka musiał uważać na każde swe słowo. Męczyło go to i drażniło jednocześnie. Zły był na Rwańską, a chęć pokonania jej wzrastała w nim powoli, lecz stale.

---

Pewnego popołudnia, gdy rozmawiał wedle zwyczaju z niedostępną wszelkim poufałościom koleżanką o jakiejś filozoficznej kwestji, — zadzwoniono w przedpokoju i do salonu weszła biedna Kazia. Tak się zmieniła w ciągu tych paru tygodni, że Leszcz i Rwańska spojrzeli po sobie zdziwieni.

— Miły Boże! — ozwał się Leszcz z odcieniem serdeczności w głosie. — Koleżanka Potuńska! Dobrego macie opiekuna! Zapomniał o was na wieki!

Podał jej krzesło z pośpiechem.

— Usiądźcie i mówcie, co się z wami stało? Wyglądacie, jakbyście chorobę przebyli?

— Nie chorowałam — odrzekła Kazia bezdźwięcznie.

-- Ale wam coś jest, koleżanko. Jako opiekun winienem wiedzieć o wszystkim.

— Przyszłam do pana Rwańskiego, by zechciał mi udzielić niektórych wskazówek do mego odczytu. Pozwolicie, koleżanko, że pójdę z nim się poradzić?

— Ależ proszę was, koleżanko — ozwał się Rwański, wychodząc ze swej pracowni na powitanie Kazi.

Ona wstała automatycznie i poszła za nim do przyległego pokoju.

Kamila i Leszcz znów spojrzeli po sobie.

— Coś się stało — ozwała się pierwsza gospodyni.

— Biedactwo! Coś na nią spadło ciężkiego.

Gdy Kazia wyszła po radzie z Rwańskim i zaczęła się żegnać, Leszcz zerwał się z miejsca i ofiarował się odprowadzić ją do domu. Przyjęła to obojętnie. Leszcz pożegnał Rwańską z roz-targnieniem, rzucił „do widzenia“ Rwańskiemu i wyszli.

Leszcz rozpytywał Kazię, co jej jest, a nie dowiedziawszy się niczego, zaproponował jej, by się trochę rozerwała. Obmyśli wspólną wycieczkę na Lalève czwartego marca, więc na jej imieniny. Miała sprosić wszystkie koleżanki, nakupić zapasów mięsa, tortów, wina, wyjechać tramwajem wraz z nim i oczekiwać gości, którzy prawdopodobnie przyjdą pieszo.

Od tego wieczora Leszcz nie zjawił się więcej u Rwańskich. Minał tydzień. Kazia wygłosiła odczyt, który zrobił wielkie wrażenie. Streściła książkę niemieckiego autora, nieznaną dotąd w towarzystwie. Dostała ją z biblioteki korporacji niemieckich studentów, z których jednego znalazła z pensji, gdzie się stołowała. Z wielkim trudem przeczytała ją z pomocą słownika i w ten sposób popisała się z utworem, który Rwańskiemu nawet wydał się oryginalnym. Był to wyjątek z „Konwencyjonalnych kłamstw“ Nordau'a, do czego Kazia nie myślała się przyznawać. Miała słusność. Odczyt jej zrobił wielkie wrażenie. Rwański rokował wielką przyszłość prelegentce, podnosił lepsze ustępy i oryginalne myśli, Leszcz unosił się i winszował jej demonstracyjnie.

— To Karol dzielną będzie miał pomoc! — zwrócił się do Rwańskiej. Słowo daję, że mu zazdrozczę! Szczęśliwy człowiek! Długo będę musiał szukać, nim taką znajdę. No, a innej nie chcę, tylko kobietę wyższej miary. Muszę spytać Dramowskiego, gdzie się takie panny poławiają!

Każde z tych słów było sztyletem, godzącym w serce Kamili. Złe ognie zabłysły w anielskich zazwyczaj żrenicach.

Leszcz wiedział, co robił. Za cztery dni miał być ów spacer na Salenie. Nie opuszczał Kazi przez ten czas cały, zakupywał z nią razem, naradzał się, wybierał, rozesłał zaproszenia, szukał odpowiedniego miejsca na górze. Afiszował się z narzeczoną przyjaciela umyślnie. Gdy nadszedł dzień oznaczony, piękny dzień wiosenny, gromadka osób, złożona z dziesięciu pań i dwóch mężczyzn, opuściła mury Genewy i podążyła ku ciągnącej się na zachodzie górze. Kazia i Leszcz wzięli bilet w Etrembières, by stanąć na miejscu przed gośćmi.

W umówionej kawiarni, na dworze, pod sośnami zastawili stół, rozłożyli jadło i smakołyki, odkorkowali butelki i czekali na resztę towarzystwa w milczeniu. Kazia, choć pogodna, zamyslała się trochę, Leszcz niecierpliwił się, wychodził co chwila na drogę, wreszcie, gdy ujrzał nadchodzące towarzystwo, przysiadł obok dziewczyny i rozpoczął poważną rozmowę, kierując nią tak zręcznie, że ona, mając świeżo w pamięci swego Gegenbauera, odpowiadała mu trafnie, zręcznie, a nawet dowcipnie. Przechodził od kwestji do kwestji, zrazu oponował jej, potem zgadzał się z trafnym jej sądem. Tak zastała ich gromadka z Rwańską na czele.

— Pomówimy jeszcze o tem, koleżanko. To wszystko może mi się bardzo przydać. Zamawiam sobie, o ile to Karolowi uszczerbku nie zrobi, korzystać z jej światłych myśli dla mojego marnego pisemka — kończył, gdy Kamila zbliżyła się dostatecznie, by mogła słyszeć każde jego słowo.

Kazia już miała mu wyznać, skąd zaczerpnęła swoje wiadomości, gdy on, z uprzedzającą grzecznością zajął się gośćmi Kazi.

Wędrowcy zmęczeni, wygłodniali, zziębli, odali się skwapliwie spożywaniu darów bożych, pito zdrowie solenizantki, Kamila podniosła kieliszek za nieobecnego Karola, Kazia piła do gości, Rwański do Leszcza. Wyborne wino rozwiązywało języki i serca otwierało tak, że staropolskie „kochajmy się“ brzmiało prawdą na uśmiechniętych ustach, z wyjątkiem Rwańskiej. Nienawidziła Kazię w tej chwili za zdolności, które w niej tak niespodzianie odkryto. Nie pokazała tego po sobie pani Kamila, była owszem nadzwyczaj miłą i uprzejmą dla Kazi, doszła aż do troskliwości o jej zdrowie; radziła jej wynieść się na wieś, najlepiej tu gdzieś na Salenie zamieszkać, na lato udać się na Jurę, a jesień spędzić na winogronowej kuracji.

Kazia słuchała uwag jej półuchem, rada co prędzej stół opuścić, rozejrzeć się po cudnej okolicy, oddalić się wraz z „nim“ od reszty towarzystwa i marzyć razem, czuć razem piękno wiosny wśród tych szczytów bladych, to znów różowych,



to ciemnych. Ale od gór wiało chłodem, a „on“ nie zbliżał się do niej; daremnie gonila go wzrokiem; nie rozumiał jej, czy nie chciał odgadnąć. Trzymał się koło Rwańskiej, żartował, słyszała, jak śmiali się razem. Do niej zbliżył się Rwański i wskazał na dole w oddali szarą jednostajną, grubą, smutną mgłę.

— Patrzcie — rzekł — to Genewa tam w chmurze. Prawdopodobnie deszcz pada.

— A tu tak pięknie!

Szli obok siebie w milczeniu. Obecność Rwańskiego oddziaływała kojąco na Kazię. Złe myśli pierzchały gdzieś daleko od zacnego spojrzenia; całem swem obejściem, każdym słowem umiał wzbudzić w niej ufność, wiarę w dobro, wydobyć na wierzch lepsze uczucia. Teraz, patrząc na brudną smugę, kryjącą przed ich oczyma Genewę, pomyślała, że dość jest wznieść się wysoko, by wieczną mieć nad sobą pogodę. Nie będzie dłużej kłamać Karolowi. Chce być godną własnego szacunku i poważania tego człowieka. Była chwila, że pozazdrościła prawie Kamili takiego męża. Chciała mu wyznać serdeczną walkę, jaka się w niej toczyła od pewnego czasu, ale nie mogła się na to ośmielić.

Tymczasem profil Montblanc'u oblał się złotem, poróżował, bliższe szczyty oblekły się w szkarłat i fiolety.

— Jak pięknie!... — szepnęła Kazia z zachwytem.

— Ale to już wieczór: pora nam wracać, jeżeli mamy iść pieszo.

Zaczęto zwolnywać się, szukać, coraz to kogoś brakło, trudno było pozbierać gromadkę. Nareszcie ruszono wesoło. Rwańska miała w ręku pęk gencyanny, którą jej Leszcz uzbierał. Przyjęła ten hołd niewinny, nie chcąc mu nadawać zbyt wielkiego znaczenia. Reszta panien bawiła się w botanikę: Ta niosła jakiś szczególny mech, inna korzenie paproci, inna coś „trującego z pewnością“, czemu znów inna przeczyła, jedna znalazła pierwiosnki i pokazywała je towarzyszkom: *Galantus nivalis!* Patrzcie! *Galantus nivalis!*

Obłok, zasnuwający miasto, bladł w miarę tego, jak schodzili w dolinę i zabłysnął matowem światłem elektrycznych latarni, czerwony to zielony promień nadbrzeżnej latarni jeziora przebiegał po tej zasłonie, niby ogromna barwna kometę, nikał, to znów się pojawiał, coraz jaśniejszy i dłuższy. Podróżni wchodzili w mury Genewy. Ulice były mokre. Drobnutki ostry deszczyk śmigał twarze przechodniów, każdy copędzej rad był dostać się do domu. Coraz to kogoś żegnano, gromadka topniała szybko, nareszcie zostali z Kazią tylko Leszcz i Rwańscy, w końcu i ci udali się w swoją stronę. Kazia została z Leszczem sam na sam. Chciała mu wyznać... i strach jakiś usta jej zamknął. Poprosiła tylko, by wypił z nią jeszcze herbaty. Jak zawsze zresztą, przyjął bez wahania.



Godzina była dość późna, pomimo to na dole u gospodyni w oknach się jeszcze świeciło.

— Ktoś był u pani — rzuciła wchodzącej Kazi przeze drzwi.

— Kto taki? Czy nie zostawił kartki?

— Jakiś pan; zostawił tu coś dla pani.

Kazia wzięła paczkę z rąk gospodyni i wbiegła co tchu na górę. Za nią kroczył zmęczony Leszcz. Zapaliła lampę, obejrzała pakiecik, rozdarła kopertę i czytała:

„Dla ukochanej Kazi w dzień jej imienia. Karol“.

— Dramowski przyjechał! — rzekła do wchodzącego w tej chwili towarzysza, patrzyła nań trwożnie, badawczo. Pragnęła dopatrzeć jakiegoś wzruszenia, czy żalu.

— Karol! jaka szkoda! spóźnił się i nie był z nami na Salemie! Udał się nam spacer znakomicie. Co za szkoda!

— Prawda: wielka szkoda! — powtórzyła dziewczyna z goryczą.

Ale on nie zrozumiał jej tak, jak ona tego chciała.

— Pokażcie, co tam jest?

Kazia powoli rozwinęła papier i wyjęła śliczny biały futeralik, zawierający bardzo gustowny złoty damski zegarek. Oglądali długo piękny dar narzeczonego, poczem Kazia zawinęła futeralik napowrót w papier, nasunęła gumowy paseczek i powoli, ociężale, niby senna, zajęła się przygotowaniem herbaty.

Gdy odszedł wreszcie gość, oddawszy jej z wesółym uśmiechem dobranoc, padła na posłane łóżko, ukryła twarz w poduszki i gorzko, gorzko płakała. Cisza była wkoło, tylko za oknem szemrała biała fontanna, a w pokoju zegarek stukał jednostajnie: cik, cik, cik, cik...

— Jakie to okropne... — szeptała Kazia wśród leż... — Nie prędko sen dobroczyńca ukoił boleść jej serca, wlewając w duszę spokój i rezygnację.

---

Wiosna w Genewie! To coś bajecznego, fantastycznego, trudnego do uwierzenia. Kwiaty i kwiaty, cała powódź kwiecica zalewa ogrody, wdziera się na dachy, zasypuje chodniki, owija okna, zawiesza balkony i ogrodzenia. Gdzie wzrok padnie, gdzie dotknie stopa, toną wśród barwy i krasy. Tu ściany zasnęła jakby bogatą tkaniną kit fioletowych glicynją, przebiegła kwiecistą frezłą po parkanie, wspięła się na drzewo i zwiła na gałęzi liliową chorągwią, tu namiot utkała i przez blade grona sieje złotego słońca płateczki po trawie, tam na dach wbiegła i przysłoniła okna poddasza bujnych gron kędziorami i posypała na ziemię zbladłe swych kwiatów listeczki. Klematis ogromne swe gwiazdy rozrzucił na sztachetach balkonu, wdarł się po ścianie na domu wierzchołek i stamtąd gwiazdami zabłysnął. Tamaryks różowym obłokiem owinał wille dokoła, z poza mgły wonnej, przeziera szkarłatna smuga krzaczków czerwonych, jak zorza, z gęstwi tej wytryska

w górę akacja i spływa na dół złotych kropel kisciami; dalej głóg pełny rozpostarł różowy parasol nad ciężką od kwiecia głowę niebieskiej hortensji, tam znów wysokie jak dęby bezlistne drzewa dźwigają węzłowatemi konary wielkie białe, to znów liliowe piramidy, złożone z głębokich powyginanych dziwacznie kielichów, za nimi biała magnolia strzela ku górze cudną koroną olbrzymich swych lilij, u nóg jej ściele się żółta wstęga bezlistnej jakiejś rośliny, która, nim zieleń wypuści, stroi się w blaszki złotawe, a niżej patrzą wielkimi oczyma aksamitne bratki, chylą się różowe hyacynty i piękne narcyzy kiwają blademi główkami... Ach, i jeszcze inne, jakieś ciekawe, nieznanne, a obfite i wdzięczne, jak w raję wysnionym dziewczyny.

Kazia błędziła wśród tych rozkoszy pod rękę z narzeczonym, sercem od niego daleka, ze smutkiem w duszy, z bladym na ustach uśmiechem, obojętna na czar tych cudów, o jakich nie marzyła nieczuła na wesołą serdeczność Karola. Zdało się jej, że ta wiosna całym swym blaskiem i wdziękiem i wonią urąga z jej tajonego bólu, że Karol ją dręczy umyślnie, że ona nie wytrzyma, że ucieknie. Wytrzymawała jednak.

On dużo mówił, najczęściej o sobie, o swych zaletach i wadach, o słabostkach, nawyknięciach, wymaganiach, o swej powierzchowności nawet, popisywał się przed nią swą siłą i nie bardzo zważał na to, że ona to wszystko przyjmuje ze

znudzeniem, nie słucha go prawie, nie patrzy... Sam głos jego mowy tak bardzo niepodobny do dźwięcznego, głębokiego organu Leszcza nużył ją i niecierpliwil.

Tydzień upłynął im na przechadzkach w pobliżu Genewy: byli na Salenie, zwiedzili muzeum Aryany, willę Rotszylda, chodzili na Belotte, jeździli statkiem do Nyonu i Lozanny, zapędzili się aż do Clarens. Do Genewy wracali późnym wieczorem, a rano Karol przychodził do domku nad łabędziem z projektem nowej wycieczki.

Nareszcie Kazia oparła się stanowczo: była zmęczona, niezdrowa, oświadczyła, że chce w domu pozostać, radząc mu, by sam Rwańskich i Leszcza odwiedził.

Narzeczoney powrócił jednak niebawem z wiadomością, że wszystko troje wyjechali na wieś do Burgundji, nie zostawivszy adresu. Biedna Kazia zdrętwiała na te słowa: pierwszy raz uderzyło ją niby obuchem w głowę, że Kamila Leszcza bałamuci, że on się w niej kocha zapewne. Nie wiedziała, jak Karola oddalić, by skołataną myśl okupić. Musiała czekać dzień cały, aż noc ją od natręta uwolni. Bawiła go niezbyt zabawnie, odpowiadała ni to ni owo, niecierpliwiła się nawet.

— Co ci jest Kaziu? — spytał narzeczoney, zwróciwszy uwagę na dziwne jej obejście.

Wyznanie przykrej prawdy zawisło na ustach dziewczyny, szukała już tylko słów, w jakich mu odkryje zaszłą w sercu zmianę. Opamiętała się

nagle. Wszak nie miała żadnej ze strony Leszcza gwarancji. W głowie jej zapadło nagle postanowienie: do przyszłego zjazdu zrobi, co tylko będzie w jej mocy, by Leszcza ku sobie pociągnąć; jeśli zabiegi jej osiągną pożądaný skutek, powstrzyma Karola od przyjazdu, jeżeli nie, bez dalszej zwłoki ślub z nim weźmie i los swój przyjmie spokojnie.

Postanowienie to sprawiło jej ulgę. Łatwiej było jej znieść obecność Karola. Nie broniła mu, gdy się warkoczem jej bawił, czy pulchną rączkę pogłaskał, czy nazwał ją po imieniu; wszak był jej narzeczonym jeszcze...

A Karolowi zachciało się teraz zobaczyć z Rwańskim i Leszczem. Puścił się na poszukiwania. Na poczcie zasięgnął wiadomości za pośrednictwem obywatela Kosy i z radością wrócił do Kazi, pytając, czy mogłaby jutro, gdy dobrze sobie wypocznie, udać się z nim koleją do wioski Leaz nad Rodanem, gdzie, o ile mu wiadomo, bawią w tej chwili oboje Rwańscy i Leszcz. Kazia była już wypoczętą, gotową choćby zaraz do drogi, choćby na piechotę, choćby nie spoczywając w podróży. Wypogodziła się, poróżnowiała z radości. Karol przestał być jej niemiłym.

„Jutro!“ czy tylko zaśnie tej nocy?!

---

Leszcz niewiele posunął się w zdobywaniu serca, czy łask pani Kamili. Był jednak mały krok ku lepszemu, dzięki poufałości, jaką wyradza



między ludźmi pobyt na wsi, na letniem mieszkaniu, u wód, nad morzem lub w górach.

Salon ma w sobie coś oficjalnego, konwencjonalnego, oddalającego myśl o rzeczywistym zbliżeniu. Jest to miejsce do paradowania, do słów obliczanych na efekt, miejsce popisu i wzajemnego okłamywania, udawania, nieszczerości, komplementów, współzawodnictw i obłudy. Inaczej mówi się z tym samym gościem w bawialni, inaczej przy stole lub w gabinecie. Na wsi stosunek z nim jest już całkiem odmienny. Obcuje się z sobą zbyt długo, by mózdz krążyć ustawicznie w kółku salonowej rozmowy. Otaczające życie, przyroda, każde zajęcie, upodobanie, nastrocza coraz to nowych tematów do rozmowy, wywołuje ściślejsze porozumienie, daje pochop do odsłonięcia tego swego ja, z którem w innych warunkach ukrywa się człowiek starannie.

Stopniowo Rwańska doszła do tej poufałości z Leszczem, robiąc zeń coś w rodzaju powiernika wrażeń, których doznawała na widok góry, czy kwiatu, ptaka, czy wieśniaczki, żabki drzewnej czy zaprzężonej krowy.

Okazywała wielką tkliwość serca, zamięłowanie do piękna, skłonność do prostoty, jak każda zresztą miejska dama na wsi. Tylko Kamila przy tem wszystkiem zachowała strój i maniery wielkoświatowej kobiety, niezapominającej nigdy o wdzięcznej pozie, świeżej toalecie i misternem uczesaniu. Resztę uroków stanowił wyraz oczu i głos. Ka-



mila czarowała całą swą osobą, wewnętrzną i zewnętrzną.

Leszcz także zmienił się na wsi: mniej myślał, więcej podlegał wrażeniom. Brak miejskich rozrywek wywłócił z głębi jego istoty uczucia lepsze, skłonność do szczerego zachwytu, upodobanie do cichego zadowolenia.

Gdyby tak lato trwało rok cały, zgodziłby się zostać wieśniakiem, zwłaszcza przy boku takiej wieśniaczki, jak Rwańska... Nawskróś estetyczna jej natura pociągała go coraz bardziej. Jeżeli nie kochał jej dotąd, to pragnął jej bardzo wyraźnie i bynajmniej nie rozpaczał, że go ten kasek ominie: wszak była tylko kochanką Rwańskiego...

Tak stały rzeczy, gdy pewnego popołudnia do wiejskiego mieszkania Rwańskich zawitali niespodzianie Kazia z Karolem.

Na wsi gość jest zawsze pożądany. Przynosi rozmaitości trochę do jednostajnego życia, zapas nowinek i parę uszu do wysłuchiwania. Pogadać, a właściwie wygadać się stanowi jedną z organicznych potrzeb mieszkańców stałych, czy tylko czasowych wiejskiego ustronia.

To też narzeczeni byli witani z oznakami niekłamanej radości. Ugoszczono ich, karmiono, pojono, sadzano wygodnie, lokowano odpowiednio, układano wspólne wycieczki, wypytywano, gadano.

— Jakże ci tu wśród tylu niewiast? — pytał Karol Leszcza, gdy zaszła między nimi mowa o przeniesieniu się jego do Genewy. Oplywasz,

jak pączek w maśle. Już się nawet trochę zarumienił i zaokrąglił.

— Opaliłem się tylko — odrzekł, oddalając się wraz z Dramowskim od reszty towarzystwa. — Co zaś do niewiast — dodał, gdy już nie można było słów jego dosłyszeć z altany — powiadam ci, nigdy w życiu nie nudziłem się tak głęboko, jak wśród mądrych, wykształconych i niepospolitych kobiet...

— O ile mi wiadomo, poszukiwałeś w Paryżu raczej... wesółych?

— Słuchaj! Niech sobie nie będą „wesole“, ale nie takie znów poważne do znudzenia, do obrzydzenia, do... do... nie wiem już czego, wiecznie zasznurowane w twardą i suchą przyzwoitość, i nafaszerowane społecznym społeczeństwem i społecznością! To bardzo ładnie, że one to wszystko jako tako znają, że się zajmują poważnymi zagadnieniami naszych czasów; każdy z nas robi to samo, a jednak nie zmienia się w maszynkę do oklepywania zaczerpniętych z książki frazesów. Człowiek w stosunkach towarzyskich czego innego szuka, niż wiecznych cytów i popisów uczoności. Żeby choć śmieszne były przymioty, żeby się człowiek ubawił; ale i to nie! Wprost nudne, jak zbyt grzeczne dzieci!

— Pani Rwańska jednak...

— Rwańska! Co innego Rwańska: umysł bardzo niepowszedni, silna indywidualność, charakter jednolity... Tak, Rwańska — ale szkoła Rwań-

BIBLIOTEKA  
URZĘDNIKÓW WZAJEMNYCH  
STYCZYŃSKA IV.

skiej to już nie to; to naśladownictwo, to nie ma smaku!

— Przykroby mi było, żeby tak moja przyszła przeistoczyła się w *précieuse ridicule*.

— O nią niema obawy: Narzeczeństwo jest doskonałym antidotum przeciwko podobnej zarazie. Narzeczona, to już prawie człowiek; to jak niebo do ziemi jest niepodobne do zupełnych panien.

Gdy kończył te słowa byli już przed altaną. Tu Rwański, wskazując na dwie góry, rozcięte głębokiem łożyskiem Rodanu, obie długie walcowate, niezgrabne, rozpowiadał o strategicznem znaczeniu forteczki, zawisłej na boku góry jak gniazdko jaskółcze na ścianie domu. Potem spojrział poza siebie:

— Ten pagórek właściwie nazywa się Credo. Nazwa pozostała mu z wojen Albigensów. Niedobitki biednych krzewicieli wolnomyślności schronili się tu po ogólnem rozbiciu i stąd, czując się bezpieczni, rzucili z góry prześladowcom wyznanie swej wiary. Utrzymać się tu długo nie mogli: wyłapano ich w końcu po jednym, nawpół umarłych z głodu... Staczano ich z gór, rzucono do wody, przywalano kamieniami... Pokonano ludzi, nie pokonano idei... Odwieczna historia dojrzewającej myśli ludzkiej. Pierwsi jej apostołowie giną, następni walczą zwycięzko, a dalsi stają się prześladowcami nowego postępu, myśląc, że oni zdobyli ostatnie słowo prawdy, że ich „credo“ jest nieomyłne! Dziś walka ideowa przeszła na inny

teren, a raczej oczyściła się z domieszki religijnej, proces jednak rozwoju pozostaje tensam. Ustrój społeczny, którego pragniemy obecnie, okaże się po czasie niezadowolniającym, wypłyną na wierzch inne żądania, odmienne i z pewnością lepsze systemy. Bez względu na dobrego ustroju być nie może. Ludzie, wzrosli wśród innych warunków, będą od nas bardzo różni; wymagania ich będą stokroć większe, niż nasze. I walka tego, co jest, z tem, co ma być zdobytem, będzie trwała, dopóki jakaś dobroczynna kometa nie zmiecie naszej kulki gdzieś na niebieski śmietnik.

— Mnie to zastanawia — ozwała się Kazia nieśmiało — dlaczego ludzie z taką wytrwałością napierają się szczęścia od społeczeństwa, a tak niedbale szukają go w samych sobie?

— Co rozumiecie przez to, koleżanko?

— To, że rozwijanie, pielęgnowanie w sobie pewnych uczuć dałoby niejednemu szczęście! A tymczasem ludzie starają się tłumić raczej w sobie te popędy, niż słuchać ich i iść za nimi. Weźmy przyjaźń choćby, albo wogóle rodzinne uczucia... Nawet miłość...

— Przedewszystkiem miłość, panno Kazimiero — wtrącił Leszcz trochę żartobliwie.

— Więc dobrze: niech będzie miłość — rzekła, rumieniąc się gwałtownie. — Czemu tyle ludzi wypiera się, broni się przeciwko temu uczuciu? Wszak ono daje szczęście. Można pracować nad odrodzeniem społeczeństwa, a mimo to kochać się

po same uszy! — kończyła, śmiejąc się z ostatniego swego wyrażenia i okrywając się znów purpurą.

— Moja Kaziu! — rzekł Karol, patrząc z przyjemnością na rumiane policzki narzeczonej. — *Vous préchez dans le pays des convertis.*

Kazia nie dla niego to powiedziała. To też, gdy się do niej przybliżył i wpół ją objął nieznacznie, wzdrygnęła się ze wstrętu i, usunęła od niego.

— Nie postępujesz według swoich teoryj — szepnął jej, przysuwając się znowu. Potem, korzystając, że nikt na nich nie zważa, nachylił się do różowego policzka i najniespodzianie dla Kazi dotknął go wąsem naprzód, a potem ustami.

Kazia odskoczyła, blednąc z oburzenia i przykrości.

— Gniewasz się Kaziu? — pytał ją żartobliwie, lecz z odcieniem czułości.

— Ależ przy ludziach... — szeptała ze łzami w oczach.

Ale „ludzi“ nie było już w altanie; zostawili ich dyskretnie sam na sam, dając Kazi sposobność kultuwowania uczuć przynoszących szczęście.

---

Nazajutrz o świcie całe towarzystwo już było na nogach. Wypito kawę z pośpiechem i wyruszono w kierunku jednej z gór, o których rozwoził się wczoraj Rwański. Była to góra Sorgius, inaczej Wielki Credo. Grzbiet jego, porośnięty lasem drzew mieszanych, jednostajny, okrągły, zda-



wał się leżeć tak blisko, że w godzinę najdalej spodziewali się u stóp jego stanąć. Było to złudzenie. Gromadka szła zrazu wielkim gościńcem, później wiejską drogą, drożynkami, ścieżkami, mającymi podróż im skrócić, po godzinie jednak góra wydawała się równie daleko, tylko po bokach zarysowały się szare skały i czarne głębie parowów. Pierwszy promień słońca zaróżowił szczyty smutnych sosen i wdzięcznych świerków, zarysowujących się wśród zieleni drzew liściastych i krzewów. Od góry powiał chłodny, wilgotny wiatr. Postępowali w milczeniu, każdy zatopiony w swych myślach: Rwański myślał o swem dziele ekonomii społecznej, Rwańska o dzienniku, Leszcz o Rwańskiej, Kazia o Leszczu, Karol o Kazi i o sobie samym. Tak doszli w milczeniu do stóp Sorgiusza i poczęli wspinać się po lekkiej pochyłości. Trafili na kołową drogę, która zdawała się prowadzić ich w prostej linii na grzbiet wzgórza. Po godzinie droga skręciła się gdzieś w bok, przed nimi odkryła się kamienista, nierówna, stroma ścieżka, wydeptana przez muły. Szli dalej, wolniej nieco, zatopieni we własnych myślach, ale myśli te skupiły się, jakby zmówione, wkoło jednego przedmiotu, a tym były dwie torby skórzane, przewieszane szerokim rzemieniem przez plecy Rwańskiego i Leszcza.

Z wnętrza tych torb, napełnionych wszelkiego rodzaju jadem, sterczały ciemnozielone szyje bulelek, zakończone wystającymi wysoko korkami.



Każdy czuł silne pragnienie. Pierwszy odezwał się Leszcz:

— Gdybyśmy tak spróbowali tego burgunda! — zaproponował, przesuwając swą torbę ku przodowi i ukazując na pełne butelki.

Rwański spojrział na zegarek.

— Zaczekajcie jeszcze! — zadecydował.

Kroczone dalej w milczeniu. Po pewnym czasie odezwał się Karol:

— Zdaje się, że moglibyśmy się trochę orzeźwić...

— Za chwilę! Teraz jeszcze zawczasie.

Gdy wreszcie Kamilla i Kazia przymówiły się do napoju, Rwański zatrzymał się, wypatrzył małą polankę obok drogi i rozłożywszy duży plaid na trawie, usadowił na nim naprzód panie, wskazał miejsce panom i wyłożył na trawę pozawijane w gazetę zapasy. Leszcz wydobywał z wielkim zapalem szklanki i napełniał je winem po brzegi.

Wraz z jadłem i napojem ożywienie wstępowało w podróży; rozmawiano, śmiano się, przekomarzano, żartowano; nikt nie myślał iść dalej. Tak im tu było dobrze, zacisznie, wesoło! Wkrótce Kamilla uczuła leciutki dreszcz, owinęła się w pelerynę i ziewnęła parę razy, Kazi oczy się do snu kleiły. Położyła się nawpół, wspierając na łokciu ociężałą głowę. Panowie pozapalali papierosy. Leszcz rozłożył się na trawie i patrzył w niebo, Karol wsparł się o pień drzewa i oczy przymknął, Rwański zawijał resztki biesiady, chował szklanki i wypróżnione butelki do torby.

— Chodźmy! chodźmy! Mamy jeszcze kawał drogi! Kamillo! Nie rozsypiaj się, bo możesz się zaziębić! — nawoływał, zarzucając na ramię ramię opróżnionej torby.

Zaczęto wstawać leniwie. Kazia utrzymywała, że nogami nie włada, Leszcz dowodził, że leżąca pozycja jest dla człowieka inteligentnego najwłaściwszą, Karol nie rozumiał, poco mają iść dalej, skoro tu jest tak dobrze.

Rwańscy ruszyli pierwsi z miejsca i pociągnęli za swym przykładem leniuchów.

Wspinano się długo, ciężko. Droga była coraz trudniejsza. Ścieżka, służąca do ściągania zrąbanych pni na dół, szła w prostej linii ku górze, nie wymijając skał, rowów, kamieni i strumyków. Miejscami tworzyła schody z wielkich, niekształtnych kamieni, niekiedy ginęła w zbiorniku czystej, jak lza, głębokiej wody i ukazywała się poza tą minjaturą górskiego jeziora, o kilka metrów dalej, i nie sposób było się domyśleć, jak drwale tę przestrzeń przebywali wraz z ciężarem. Okrążano jezioro z największym trudem, a znalazłszy się znów na ścieżynie, przekonano się, że prowadzi ich na prostopadłą skałę, otoczoną nieprzebytą gęstwinią, a tak gładką, że kot by się na nią nie wdrapał.

I ta ścieżka urwała się nagle. Drzewa tu były małe i rzadkie, wkoło sterczały zrąbane pnie, leżały suche, poucinane gałęzie. Był to oczywiście zrąb; drzewa staczano po przebytej przed chwilą

ścieżce. Pasły się tu owce, o szerści tak zbrukanej, że maści nie sposób było rozpoznać. Psy rzuciły się gwałtownie na przybyszów, ale natychmiast rozległ się przenikliwy świst i brytany usiadły, popiskując żałośnie i spoglądając po sobie. Pasterz, leżący na brzuchu na środku polany, podniósł się leniwie i powiódł ponurym wzrokiem za niespodzianymi gośćmi. Młody był, bardzo przystojny, o cerze tak smagłej, że możnaby się zawahać, do jakiej rasy należał; w każdym razie nie można go było posądzić o używanie wody do umywania rąk i oblicza. Zasmarowany był, nieuczesany; gęste, zrosnięte brwi pełne były kurzu, zaschnięte smugi brudnego potu spływały z czoła na brwi i powstrzymane tą naturalną groblą, schodziły po skroniach i policzkach do zwichrzonej ciemnokasztanowatej brody. Podróżni nasi przypatrywali mu się z ciekawością, tem łatwiej, że na nich nie patrzył. Coś go zajmowało gdzieś w dali, jakby na przeciwległej górze. Wreszcie odwrócił się od nich i zaczął głośną z kimś rozmowę, czy sprzeczkę jak się wydawało — po włosku. Drugi i trzeci pastuch wysunął się z za drzew, czy popodnosili się może ze snu, w końcu zaczęli we trzech wołać na gromadkę wędrowców. Wszyscy trzej mieli zbójckie wejrzenia, i choć bez broni, wyglądali raczej na rabusiów, niż na pasterzy.

Kazia bała się tych ludzi, ich krzyków i giestów. Instynktownie kryła się za Karola, najroślejszego z trzech towarzyszy. Kamila nie okazała obawy.

— Czekaście! — rzekła. — Oni nas ostrzegają. Co mówicie? — odezwała się po włosku do pasterzy.

— Nie chodźcie wyżej, bo deszcz będzie! — krzyknął pierwszy pastuch. — Patrzcie tam!

Nie troszcząc się o nich więcej, zaczął z pomocą psów zganiać z pastwiska rozproszoną trzodę.

Rwański spojrział we wskazanym przez Włocha kierunku. Przeciwległą górę owijała u samego szczytu mgła ciemna i bardzo gęsta. Nad nimi świeciło jeszcze słońce, ale chmura rosła w oczach, ściągając ku sobie wszystkie obłoki z horyzontu. Wkrótce zasnęła całą górę i czarnem cielskiem sunęła ku nim, warcząc czasami grzmotem i błyskając bladym piorunem.

Rwański niespokojny oglądał się za schronieniem. W prawo, poniżej trochę, sterczała naga, szara masa wapiennych skał, wyrażających układem swym i postawą — rozpacz. Jakby ujrzawszy coś tragicznego przed sobą, skamieniały z przerażenia i pozostały tak z sercem rozdartem, przesytem czarną, głęboką szczeliną, jak strzałą. Coś ponurego, straszego, złowrogiego patrzyło z tych brył, udających niewyraźnie ludzkie, olbrzymie postacie. Kazia doznawała trwogi na ich widok.

Rwański natomiast odszukał jakieś niskie, dziwaczne sklepienie, pod zwisłą nad stosem kamieni płytą. Pierwsze wielkie, złote od słońca krople spadły ciężko na głowy gromadki, ale oni już dobiegali do naturalnej grotty. Bryły usuwały im się

z pod nóg i z hukiem toczyły się po spadzistości. Ostatnie uderzenia ginęły gdzieś w nieznaną głębi. Nagle ciemność ich ogarnęła zupełna. Szczęściem byli już u wejścia pieczary.

— Jesteś Kaziu — pytał Dramowski, przygar-  
niając dziewczynę ku sobie.

Trzask, łoskot jakiś piekielny rozległ się tuż nad ich głowami i huk nie ustawał: kołysał się w czarnych obłokach, to odbiegał gdzieś daleko, to wracał potężniejszy, odbiwszy się o ściany blizkiej góry, to głęboki, jakby głos rozwartych ziemi czeluści, to suchy, jak pęknięcie mas granitowych, aż skonał gdzieś w oddali wśród gęstwi górskich parowów... Wnet chmurę rozdarła gorejąca wstęga nowego piorunu. Daleko przed nimi jodła olbrzymia rozpadła się na poły, płomień przebiegł wśród pnia rozdartego i zgasł. Piorun bił za piorunem. Wrzało wkoło nich, nad nimi, ulewa szumiała tysiącem wezbranych potoków i rzucała się w przepaść nieznaną, kamienie staczały się na dno wąwozów z łoskotem. Wielka bryła przeleciała po płycie nad ich głowami i runęła u stóp, porywając jej odłamy.

Kazię strach ogarnął. Groza rozhukanej burzy wydała się jej gniewem Bożym za nieuczciwe jej z Karolem postępowanie. Obawa wywlekła na wierzch dawne zabobonne wierzenia. Pragnęła najgoręcej obiecać zagniewanemu Bogu poprawę i czuła, że nie może dotrzymać, że gdy obecne wzruszenie ją opuści, będzie myślała inaczej, nie



wyrzeknie się planu zdobycia Leszcza i Karola zatrzyma w rezerwie. Ach! gdyby mogła o tamtym nie myśleć, nie pragnąć go tak gwałtownie! „Boże! spraw ten cud nademną!“ modliła się serdecznie, wstrząsając się za każdym nowem uderzeniem gromu. A gdy huk ustał, rozumowała, że cudów niema, że ulega potężnemu prawu natury, silniejszemu, niż wola jej i wiara, że musi kochać, jak musi oddychać, jak i musi słyszeć ten łoskot piekielny, choć pragnie ciszy i spokoju. Ramię Karola, okalające ją twardym uściskiem, nie sprawiło jej przykrości w tej chwili. Dotknięcie to uspokajało jej strach po części zabobonny, w części wywołany rzeczywistem, jak się jej zdawało, niebezpieczeństwem.

Kamila także się bała: wsunęła drobną, nerwową rączkę w dłoń męża, a drugą... cisnęła gwałtownie ramię siedzącego tuż przy niej Leszcza. On, by ją uspokoić zapewne, ujął tę rączkę delikatnie w obie dłonie. Nie bronila mu tego, tylko za każdym grzmotem wpijała mu się w rękę cienkimi paluszkami.

Mrowie przebiegało mu po plecach od tych uścisków drobnej rączki. Nie pamiętał, co się wkoło dzieje, w oczach mu ciemniało, chwycił gwałtownie powietrze nozdrzami.

Burza zaczęła ustawać, wiatr zmiatał szmaty chmur ostrzępionych, wytrząsając z nich resztki drobnych kropel, grzmiało gdzieś bardzo daleko, a tu już słońce zajrzało ukradkiem, znikło i znowu



zabłysło, już śmieiej, dłużej świeciło, wreszcie wychyliło radosne oblicze i zaczęło całować stargane burzą krzewy, skołatane drzewa, przerażone główki kwiatów, co padły na twarz przed grozą rozszałałych żywiołów, i jedwabne trawki, poległe od gwałtownego burzy oddechu. Podnosiły się utulone słońca pieszczotą, strząsając błyszczące tęczę rosy kropelki.

Wielkie białe romany obracały rozjaśnione twarzyczki, szafirowe oczy gencyanny patrzyły wypogodzone ze Izą jeszcze zawisłą w głębi lazurowego kielicha, białe i liliowe kampanule błyszczwały gładkimi dzwonekami, wielki, biały powój oplątany wkoło suchego badyła rozprostował delikatne brzegi pełnego rosy kielicha, olcha strzępywała prążkowane listeczki, świerki z lekkim drżeniem suszyły swe igły błyszczące złotem, sosny szeptały smutne o burzy wspomnienia, wśród nich zaświegotła radosna ptaszyna, żabka drzewna zadzwoniła wśród liści, konik polny zaświerszczał wśród trawy, nad kwiatami zabujał niebieski o złotych kółkach motylek.

Podróżni nasi wyleźli ze swej nory na światło, niepodobni wcale do zlanych rosą kwiateczków. Karol miał cały bok i czapkę ubieloną wapnem, Rwański otarł plecy o jakąś pleśń czy błoto, Leszcz siedział widocznie na rdzawym kawałku gliny. Panie lepiej pamiętały o swej toalecie; tylko skrzydło kapelusza Rwańskiej opadło, pochylając się naprzód, a pasterka Kazi przypró-

szona była ziemią. Tak przystrojeni zaczęli się naradzać dość żywo, czy mają iść dalej, czy wracać.

Rwański i Karol byli stanowczo za powrotem. kobiety, podniecone przebytem wrażeniem, chciały koniecznie iść aż na szczyt góry. Z Leszczem działo się coś nieopisanego. Całą siłą woli pragnął powstrzymać kipiącą w nim namiętność. Wiedział, że jeśli dzisiaj zdradzi się ze swem uczuciem, Kamilla, która go pierwsza ośmieliła, odtrąci go przez samą już tylko ambicję, a może nawet przez uczciwość... Rozumiał, że była za subtelną, za dumną, by go wyzywać w taki pospolity sposób. Że się zawstydzi i oburzy, gdy on się poważy tłómaczyć jej strach i nerwowość na korzyść swojej osoby. Zbyt dobrze znał tę kobietę, zbyt był z natury przenikliwym. Hamował się z największą trudnością, ale się przewyciężył.

— Jabyłm szedł dalej — ozwał się trochę niskim od wewnętrznego wzruszenia głosem. — Postanowiłem zdobyć dla mojej pupilki szarotkę, oprawić w szkło i prosić, by ją nosiła na pamiątkę troskliwej opieki, jaką miałem zaszczyt otaczać ją w nieobecności Karola. Wszak pozwalasz mi, stary?

— Ależ! Wianek szarotek, jeżeli chcesz, tylko nie dzisiaj, bo mokro i ślizko.

— Czy bardzo cię szczypałam? — pytała wzniesionym odrobinę głosem Kamila, oglądając troskliwie rękę męża.

„Otóż to!“, pomyślał Leszcz, „Aha! to były tylko nerwy? Szczypaliśmy kogo innego, a męża pytamy, czy boli! Poczekaj moja pani! Ja się tak daremnie szczypać nie pozwolę!“

— Cały wianek! Słyszysz pani, panno Kazimiero? czy choć „łzy i rumieniec“ dostanę w nagrodę za kwiaty, za męstwo, z jakim się wędruję na skał sterczących krawędzie, na wieczne lody i śniegów lawiny?

— Przepraszam — ozwał się Karol, widząc, jak się Kazia pąsem oblewa — łzy, jak tam sobie chcesz, ale rumieniec jest moją wyłączną własnością.

Żmijka zazdrości poruszyła się w sercu Kamili i pokazała rozdwojone żądelko:

— Zdaje się, koleżanka ma takie niewyczerpane w tym względzie bogactwo, że niejednego obdzieliłby niem mogła.

„Doskonale!“ — myślał Leszcz, przyklaskując sobie w duchu.

— To moje prawdziwe nieszczęście! — tłumaczyła się biedna Kazia, czerwieniąc się znowu po uszy. Piekę raki za najłżejszym powodem, a nie raz nawet całkiem bez powodu!

— Ależ nikt wam tego za złe nie bierze — uspokajała ją koleżanka — przeciwnie, to bardzo szczęśliwie, że się rumienicie.

— Ach, nie uwierzcie, jaką mi to sprawa przykrość!

— Pocieszcie się tem, że innym sprawia to wielką radość. Tak mało dzisiaj znajdzie się zdrowych, rumianych dziewcząt, którym krew tryska z twarzy, gdy na nie kto spojrzy.

Leszcz tylko rozumiał subtelny jad, przyjaznych na pozór słówek.

— Więc naprzód! w górę! — wołał z komiczną przesadą -- celem: szarotek wianeczek, sztandarem: rumieniec dziewczyny.

Ruszył żwawo naprzód, ale wyległa cieniutka trawka była tak ślizga, że wspinać się było prawie niepodobieństwem.

Pierwszy Leszcz padł na czworaki i w tej pozycji zjechał na dół ku wielkiej radości Kamilli. Zaśmiała się nawet głośno, czego się zazwyczaj bardzo wystrzegała.

Leszcz był wściekły, nadrabiał jednak miną, jak mógł, dowodząc coś niezupełnie dowcipnego o górze i Mahomecie.

Po nieudanej próbie zgodzono się jednogłośnie, że lepiej wracać do domu. Nie było to ani trochę lepiej: schodzić prosto w dół okazało się niepodobieństwem; puszczono się na ukos. Chwiejąc się, ślizgając, machając rękami dla utrzymania równowagi, dobili do krawędzi prostopadłej, gładkiej ściany. Wyminąć jej nie było sposobu: z jednej strony wysoka, mokrym mchem porośnięta skała, z drugiej urwisko o czarnych rozmokłych bokach! Rada w radę postanowiono spuścić się z owej krawędzi. Karol, jako najśluszniejszy, ze-

skoczył z łatwością, zachwiał się tylko, ale nie upadł. Tamci panowie mieli spuszczać damy w objęcia Dramowskiego. Kamilla, oswojona z przeprawami podobnego rodzaju, z największym spokojem uczepliła się urwiska, trzymana za ręce przez męża i kolegę i ścisnąwszy obie nogi jaknajmocniej, zawisła w powietrzu przez chwilę. Karol objął ją za kolana i z wielką łatwością na ziemi postawił. Ale Kazia! Nie było sposobu ją namówić by się dała spuścić za ręce.

— Ależ ja upadnę! ja nie mogę! — pisała w największej desperacji. Wreszcie zdecydowała się zlaźić sama na podstawione, jak stopnie drabiny, głowę i ramiona Karola. Klękała na brzegu, twarzą do trzymającego ją za ramiona Leszcza i wysunęła po wielkiem wahaniu lewą nogę; na nieszczęście zaczepiła się o krawędź skały. Biedaczka, okropnie zawstydzona, coprędzej zwiesiła nogę i spuściła drugą, obciągając co siły w dół spódniczki, ale widocznie przypomniała coś sobie, zapewne niezacerowaną dziurkę w pończoszcze, cofnęła więc co prędzej i drugą nogę.

— Ja nie chcę! Nie zejść! — krzyczała w rozpacz. — Idźcie sobie wszyscy naprzód, a ja się sama spuszczać!

— Zróbcie tak, jak ja, koleżanko! — niecierpliwiła się Rwańska.

— Ależ nie mogę! Boję się! Nie zejść! Róbcie sobie, co chcecie! — Na płacz jej się zbie-



rało. — Koleżanko! Wy mnie sami zsadźcie! — błagała Kamilę.

— Moi drodzy! Chętniebym to zrobiła dla was, ale nie dosięgnę do waszych nóg. Cóż wam przeskadza oprzeć się o głowę, czy dłoń pana Karola? Udźwignie was przecie!

— Dobrze! Niech tylko... pan Karol... obróci się twarzą do ściany.

— To wszystko jedno! wierzcie mi.

— Ależ obrócę się, Kaziu, jak chcesz! — uspokajał Karol, ubawiony i bardzo uradowany z tego jej zażenowania.

— Dobrze! Proszę tylko oczy zamknąć!

— Już zamknąłem! No, chodź! Widzisz!

Ale Kazia nie ruszała się z miejsca. Leszcz i Rwański uśmiechali się, patrząc na jej twarz skłopotaną.

— No! raz, dwa, trzy! koleżanko! — zachęcał ją Leszcz.

— Kaziu, ja czekam! Oczy mam zamknięte i twarz zwróconą ku ścianie.

Wreszcie Kazia usunęła się ciężko i niezgrabnie wzdłuż ściany, zasypując narzeczzonego grudkami, ale jakoś mu to przykrości nie sprawiło: ujął ją w pól i nie spiesząc wcale postawił opodal trochę na suchej i gładkiej płycie, a potem zajrzał jej w same oczy, na co Kazia splonęła, jak róża.

Okropnie mu się chciało ucałować ją w tej chwili, ale Rwański i Leszcz już byli przy nich i naglili do dalszego — pochodu.



Przygód było bez liku: nie znaleźli dawnej ścieżki, trafili na inną, ta okazała się jeszcze gorszą od pierwszej, zeszli do jakiejś kałuży, musieli znosić kamienie, by kobiety przejść ją mogły nie zamaczając trzewików, w końcu znaleźli się najniespodzianie w czyjejs winnicy; nie nader uprzejmy właściciel kazał im wracać pod górę, wymyślając bardzo niepolitycznie od „sales russes“. Gdy wreszcie trafili na kołową drogę, nie mieli pojęcia, w której stronie świata znajduje się ich wioska. Późnym wieczorem dowlekli się do domu, głodni, znużeni i umazani szkaradnie.

---

Wchodząc do swego pokoju Rwański znalazł na stole list z Genewy. Było to zaproszenie rosyjskiego towarzystwa „Student“ na wieczorek wydany na korzyść dotkniętych głodem gubernij na Wołgę. Program opiewał o odczycie pana X: „Porządki w Rossyi“, potem koncert, z łaskawem uczestnictwem pani K. P., wreszcie tańce. W nawiasie: „Bufet ruski“.

— Patrzcie państwo! — ozwał się do reszty towarzystwa — będą jedli i pili a nawet tańczyli i śpiewali na głodnych! — Trochę przedawniona forma dobroczynności!

— Nie pójdziecie, kolego? — Zapytał Leszcz niedbale.

— Dajże spokój! Ja bardzo Kocham głodnych, ale nie do tego stopnia, żeby aż tańczyć i pić „oczyszczennu“.

— A jabym poszedł!

— Jak chcecie! Dacie im pięć franków ode-  
mnie.

— A ty Karol!

— My wracamy do Genewy, jeżeli moja pa-  
ni tego sobie życzy? Nie zdarzało mi się jeszcze  
słyszeć, jak oni „liberalniczają“ za granicą, więc  
mogę pójść z tobą.

Kazia oczywiście bardzo chciała wracać do  
miasta z Karolem i Leszczem, Rwańska natomiast  
oświadczyła, że musi parę dni w łóżku poleżeć,  
gdyż się zaziębiła cokolwiek. Leszcza nie rozczuli-  
ło takie oświadczenie. Udał najzupełniejszą obo-  
jętność.

Nazajutrz pierwszy był gotów do drogi. Po-  
dróżni puścili się na piechotę do Bellegarde,  
wzięli pierwszy pociąg idący z Lyon do Genewy  
i we dwie godziny później byli już w mieście.

Kazia bardzo prosiła Karola, by wziął ją ze  
sobą na wieczorek, obaj panowie jednak odra-  
dzali jej stanowczo. Zgodzono się wreszcie, że  
po odczycie i koncercie odprowadzi ją Karol do  
domu. W ten sposób miała się z czemś całkiem  
dla niej nowem, jak powiadała, zapoznać, nie  
biorąc udziału w zabawie i nie zbliżając się do  
obcego towarzystwa. Wybrali się więc we troje  
na poszukiwanie kawiarni Treibera, gdzie miał  
się odbyć wieczorek. Nie bez trudności odszukali  
marną knajpę, której górna sali zajęta była przez  
młodzież rossyjską płci obojga. Nie było innego

wejścia, jak przez kawiarnię, musieli więc defilować przed rozweselonymi gośćmi knajpy. Leszcz naprzód, za nim narzeczeni pod rękę weszli na brudne wschody. Przy drzwiach sali przed malusienkiem stolikiem siedziała żydówka bardzo ładna, w rusińskim, zruszczonym nieco kostjumie i sprzedawała bilety po franku.

Leszcz wziął trzy bilety i z wykwintnym ruchem podał jej pięciofrankówkę.

Żydówka uśmiechnęła się, pokazując perły ust wdzięcznie wygiętych i miękkim, leniwym ruchem wskazała wejście na salę.

— Reszty się nie wydaje — objaśniła go, mrużąc rokosznie duże piwne oczy.

— Plait — il, mademoiselle? — spytał — chcąc się jej lepiej napatrzeć.

Objaśniła mu złą francuszczyznę, i wynagrodziła naddatek jeszcze wdzięczniejszym uśmiechem.

— Ależ pani! — protestował z galanterią — chciałem się tylko zaprezentować: jestem Leszcz.

— A ja Kapszic — podała mu pulchną rączkę i potrząsała dłoń jego poufale.

— Czy mogę prosić panią o walca?

— Jak pan chce, — odrzekła, robiąc faliste ruchy szyją i ramionami — jak będą tańczyli, to dłączegożby nie. — Leszcz mrugnął jej na pożegnanie a ona zaśmiała się raz jeszcze z tej dwuznacznej owacyi.

W sali było pełno, duszno, ciasno i nieznośnie. Z wielkim trudem zdobyli krzesło dla Kazi, sami precyzyjnie się do framugi okna i oparli się o ścianę, jeśli rozglądać się po sali i gościach — rozmaitość typów była taka, że wyglądało to niemal na muzeum etnograficzne — kilka zaledwie osób miało wyraźny typ rosyjski o płowym zaroście, i bladych oczach. U jednych nosy były długie, równe, u drugich krótkie i zadarte z fatalnym zapadnięciem między oczyma, cechą mongolskiego plemienia. Ormianie, czarni, o twarzach semickich, ormianki ubielone, ze zrośniętymi brwiami, w narodowych malowniczych kostjumach, haftowanych srebrem na surowym jedwabiu, bułgarzy o smagłych obliczach i pięknym czarnym zaroście, o typie czysto słowiańskim z łagodnymi jak u dziecka oczyma i ustami pełnymi szczerzej dobroci, serbowie z garbatymi nosami polskich szlachciców, rusinki, krągłe, rumiane, czarnobrewne, bez wyrazu, najwięcej jednak było żydówek. Stroje były także najrozmaitsze, obok świetnej białej szaty gruzinki, odbijała haftowana czerwonym granatowa bluzka, spięta z boków w szyi i przewiązana rzemiennym pasem, lub nawet kolorowym sznurem, pstry kostium rusiński odznaczał się białością koszuli od codziennych czarnych sukien studentek.

Dwie „wielkie roski“, jak je nazwał Leszcz, paradowały we wspaniałych kostiumach bojarskich w wysadzonych szkiełkami kokosznikach; czyjeś

ramiona wyglądały z pod koronek balowej sukni olśniewając białością i doskonałością linii.

Mężczyźni także byli ubrani, jak kto mógł od fraka aż do czerwonej „kosoworotki“ z oczkurem, a nawet skórzanej kurtki.

Karola cały ten widok wprawił w najkwaśniejszy humor, w jaki zwykł wpadać przy zetknięciu się z moskalami. By nie patrzeć na nie miłą mu publiczność przeniósł oczy na estradę. Tam, na wzniesieniu stał stolik, przy nim krzesło, na nim karafka i szklanka.

— Co tam ma być, przy tym stoliku, czy na tym stoliku? — spytał przyjaciela ze złością.

— Co ma być, nie wiem. Co jest, objaśnić ci nie potrzebuję: krzesło i karafka. Żałuję tylko, że na krześle niema tej kasjerki, a w karafce szampana. Powiadam ci, miałbym poczem zapijać! Nie wiesz kiedy to się ma rozpocząć?

— Ach, nie wiem, kiedy i co ma się rozpocząć, nie wiem nawet po co ja tu właściwie przyszedłem.

— Sądziłem, że powinieneś się być przez drogę domyśleć.

— A ja ciebie pytam, co my tu robimy, wśród całej tej Azji, ja i ty?

— Skoro mię pytasz na serjo, wyjaśnię ci dokumentalnie: ty się złościsz a ja się bawię.

— Winszuję!

— Czy chcesz, żebym ubolewał wraz z tobą nad tem, żeśmy tu przyszli? Wiesz, ona mi przy-

pomina jedną francuzkę z Lyonu, tylko że tamta była sprytna bestyjka, a ta jest trochę ciężka.

— Kto taki?

— Ale! ta żydówka przy kasie.

— Idź do djabła z twoją żydówką razem!

— Karolu! Rozumujmy spokojnie: zachciało się tobie posłyszeć na własne uszy, jak „liberalniczają rosy“; i nim zaczęli, już cię napada idjosynkrazja. Przewycięż się, bo zamiast słuchać, będziesz cały czas rozmyślał nad tem, poco tu jesteśmy i co robimy.

— Ależ bo ty tak primo impetu zaglądasz?

— To twoja rzecz, ale ja ciebie nie rozumiem!

— Postaram się ułatwić ci to zrozumienie: Od pół roku, jak ci wiadomo, żyję wśród uczciwych kobiet... co to, uczciwych? nieskazitelnych!

— Masz tobie!

— Zgodzisz się, że à la longue zagłądanie do mózgow tylko, i to kryształowych...

— Nie pleć, proszę cię. Patrz tam! Poczekaj...

— Phi! Ależ to prawda! Nie będę czekał bratku! Co za okaz! No, wiesz!... Ale! Twoja idjosynkrazja przeszła jakoś!

— Ależ nie to: musi z nią tu być Paszkow.

— Któż to znów taki, że go wspominasz tak czule?

— Lekarz z Wintowa. Leczył mego brata.

— Uhm. A ona? Jego żona?

— To jest.... nie zupełnie.



Leszcz nie czekał wistocie. Zaczął przeciskać się przez tłum stojących mężczyzn i kobiet ku przedniej ławce, gdzie lśniały owe ramiona w balowej sukni z czarnej koronki. Karol posunął za nimi, w nadziei zobaczenia Paszkowa. Musieli się jednak zatrzymać, gdyż w tej chwili na estradę wszedł prelegent, człowiek lat czterdziestu, brunet, o silnym zaroście i, zadzwoniwszy szklanką o karafkę, przemówił do zgromadzenia.

Mówił o powtarzającym się perjodycznie głodzie w kilku gubernjach nad Wołgą, wyjaśniał przyczyny tej klęski, opisał całą niezdarność machinerji rządowej, która nie umie pomimo wszechwładności swojej zaradzić złemu skutecznie, mówił o nadużyciach urzędników, o lenistwie i ograniczoności władz, o bogactwach kraju i barbarzyńskiej ich eksploatacji, wyliczał, cytował z ogromną znajomością rozległego państwa wszystkie jego skarby, siłę roboczą i wytykał zdumiewający system marnowania wszystkiego w rękę głupich i nieuczciwych urzędników. Dalej przeszedł do nadwołżańskiego chłopca, bohatera krwawych buntów i ruchów rewolucyjnych, i ztamtąd już wprost do dekabrystów, Karakozowa, Ziemi i Woli i zamachów na życie monarchów. Słowem skreślił ruch rewolucyjny w Rossji. Dalej dowodził o konieczności tego ruchu, o potrzebie oparcia go na ludzie, na armji, na wrogim usposobieniu podbitych ludów. Mowca skończył. Pasz-

— kow wstał i wyciągnął rękę, na znak, że pragnie głos zabrać.

— Ty tylko ze swoją polską kwestją nie wyjeżdżaj, proszę cię! — Ozwała się doń pani Klaudja. Słyszysz, nie śmieję! bo „jej Bogu“ pójdę i nie będę śpiewała. Zrobię skandal.

— Ot masz! Czyż doprawdy nie wolno mi się wypowiedzieć?

— Ja nie chcę; mów o czem chcesz, tylko nie o tem; już mi się przez uszy przelala twoja Polska.

— No, dobrze! dobrze. Będę mówił o Syberji.

— Pamiętaj, bo wyjdę natychmiast!

— Paszków mówił rzeczywiście o Syberji, ale nasi panowie przysłuchiwali się Klaudji, która prowadziła przez ten czas rozmowę z drugim sąsiadem:

— To jego konik, mówiła. On kiedyś zwaruje na tym punkcie.

— Wie pani, kto się zajmuje kwestją polską... rozumie się z naukowego raczej stanowiska: pan Teodor Litwicki. Nie wiem, czy go pani znała w Wintowie?

— Litwicki? sędzia śledczy? a jakże. Pamiętam!

— Ale on już dawno nie jest sędzią śledczym. Dziwna rzecz, jak on się prędko wznosi! On mi nieraz o pani wspomina, pytał o panią w ostatnim liście...

— Pan jemu, rozumie się, o Eugeniuszu nie wspominałeś!

— Nie! takich rzeczy się nie pisze! Zresztą, o ile wiem, dla niego byłby to cios prawdziwy.

— Czy aż tak?

— On mi się nie zwierzał, ale... ja go znam.

— W każdym razie pokłoń mu się pan odemnie.

Wielu zabierało jeszcze głosy, gadano o środkach, sposobach, systemach, nadziejach, krzywdach, nadużyciach, bezprawiaach, tylko o Polsce nikt nie wspominał, na nią nikt nie rachował, jakby nikt z nich nie wiedział, co tam się dzieje. Liberalizm aż do poczucia sprawiedliwości nie sięgał. Jeden Paszkow myślał uczciwie z pomiędzy nich wszystkich, ale mu Klaudja mówić wzbroniła...

Po skończonych rozprawach nastąpiła króciutka pauza. Karol chciał szukać Paszkowa, gdy go ktoś za rękaw pociągnął. Obejrzał się. Była to Kazia.

— Panie Karolu — szepnęła — patrz pan: tam, koło tej pięknej kobiety siedzi ten szpicel, co jeździł ze mną z Wintowa a potem opuścił mię w Wiedniu.

— Co? ten blondyn, co mówi jej coś do ucha w tej chwili?

— Tak. Z pewnością. Poznałam go od razu.

— To bardzo szczęśliwie. Ja cię odprowadzę do domu, żeby cię także nie poznał, a sam powrócę tu jeszcze, bo muszę ostrzedz Paszkowa.

Gdy wrócił, po odprowadzeniu Kazi do domu, zastał już tańce na sali i bufet zapchany po brzegi. Tam się udał w poszukiwaniu Paszkowa. Ożywienie tu panowało niezmierne: W jednym rogu dysputowano całą gromadą:

„Ani myśli być!“ „Ot już głupstwo!“ „Co za bezsens“ padało z silnym akcentem z ust pannań i pań zarówno. Jakaś blondynka giestykulowała, piszcząc coś bardzo prędko, gruba ormianka z wąsami i zarodkiem brody huczła coś potężnym basem, śmiejąc się, a raczej rżąc, jakaś z uciętymi włosami kacapka trajkotała suchym ostrym głosem, wytrzeszczając krągłe oczy i plując kropelkami śliny na słuchacza. W drugim kącie rozwalona na kanapce panna w bojarskim kostjumie ciągnęła dym z papierosa i zbierała co chwila palcami z końca języka okruszyny tytoniu, kasjerkę czterech mężczyzn otaczało w kącie pokoju, zadając jej jakąś zagadkę; odtrącała ich ze śmiechem, więc chwyтали ją za ręce i ramiona.

— Będę krzyczała! Dajcie spokój! Ja się łaskotania boję... Aj! aj! wrzasnęła w końcu wśród ogólnego śmiechu. Błady, wychudły mężczyzna, siedzący samotnie przy oknie rzucił szklanką o ziemię.

— Dosyć! Już pijany! I nie masz tobie żadnej rozkoszy... żadnej! Klaudja! — zawył ra-

ptem, zalewając się łzami. Klaudja! Ja umrę! ja umrę! ja się utopię... zaaarżnę...

Dwaj koledzy z wielkiem współczuciem wywlekli go za drzwi, uspakajając słowami i nazywając gołąbkim.

U drzwi sali balowej wszczął się hałas i zamieszanie:

— Jak pan śmiesz sadzać mi swoją tancerkę na brzuch! — krzyczał ogromny orinianin, wytrzeszczając czerwone ślepia.

— A pan się w sali wobec całej publiczności nie kładnij! To świństwo!

— Położyłem się, bom pijany! mogłeś mię pan wyprowadzić, ale damy mi nie sadzać... to już nieprzyzwoitość, tego się nie robi!

Tancerka tymczasem rozpowiadała pannom zanosząc się od śmiechu:

— Ależ bo nie widziałam... siadam... hihih... a tu coś miękkiego... hihi... aż jak nie krzyknie! Ja... hihih... zrywam się, i w nogi! A to... on leżał!... hihih...

Wtem Karol ujrzał Paszkowa z Klaudją, ubranych jakby do wyjścia. przemykających przez salę ku drzwiom. Wybiegł za nimi i narzuciwszy palto w ubieralni począł ich gonić zawzięcie.

Małżeństwo, wypadłszy na ulicę, rozmawiało ze sobą głośno, prawie z krzykiem:

— Nie! wołała Klaudja ze złością: Nigdy, ale to nigdy, więcej z tobą nie pójdę!

— Ależ moja droga — uspakajał ją. — Skąd mogłem wiedzieć. Ludzie zdaje się wszystko wykształceni i trzeźwi, nie spodziewałem się...

— A tybyś jemu gębę zamalował, żeby mojego imienia nie wykrzykiwał „na darmo!”

— No, nie! toby tylko skandal zwiększyło!

— Ależ ty wszędzie dajesz sobie po nosie jeździć! A wczoraj z tą parasolką!

— Przepraszam, sama narobiłaś skandalu: jest przepisano przez miasto, żeby z parasolkami do muzeum nie wchodzić: więc posadzili babę, żeby od zwiedzających parasole i laski odbierała przy wejściu...

— Tak, ale jakim ona głosem rozkazującym gada: „Parasoles s'il vous plait!” Ja do takiego obejścia nie przywykłam!

— To możesz nie iść do muzeum, jeżeli się tobie jej ton nie podoba, ale łajać się z babą...

— A tybyś tak zaraz i podał jej najpokorniej parasol i jeszcze przeprosił uniżenie.

— Jak sobie chcesz, ale zgódź się, że i mnie z tobą nie zawsze chodzić przyjemnie.

— A, to nie trzeba! Znajdzie się taki, co ze mną pójdzie.

— Ależ miła moja, ja tylko tak, dla przykładu; ty wiesz zresztą, że jabym z tobą... Ty się nie gniewaj!

W tej chwili Karol dopędził szczęśliwą parę i zawołał na Paszkowa głośno.



Paszkow obejrzał się, zatrzymał, ale po nocy Dramowskiego nie poznał.

— Pan mię nie poznajesz? Tem lepiej? Nie życzę sobie nawet, żebyś pan moje nazwisko wymieniał. Chciałem tylko ostrzedz pana, panie Paszkow, że wśród was był dzisiaj szpieg. Rozmawiał z panem i z panią, (tu Karol skłonił się Klaudji). Siedział obok niej podczas odczytu. Wiem nawet, że ma zamiar panu w szczególności szkodzić i dlatego ostrzegam.

— Ależ nie! — protestowała Klaudja — my go znamy jeszcze z Wiednia! To całkiem porządny człowiek...

— Ja wiem napewno co mówię.

— No, ja nie wierzę. Sama go spytam, skąd się ta wiadomość wzięła.

— Nie ośmielisz się — zawołał Paszkow — Ja nie wiem, kto mi to mówi, ale teraz widzę, że to prawda.

— Jakto nie śmiesz? Nie zapominaj się pan, proszę Eugeniuszu Piotrowiczu! Pan nie masz żadnych praw nademną!

Karol uklonił się i odszedł, nie chcąc być świadkiem sceny małżeńskiej, którą wywołał.

---

Tej samej nocy szpieg pisał raport do byłego sędziego śledczego:

„Miłościwy panie

Teodorze Iwanowiczu!“

„18. Marca odbył się wieczorek na korzyść „głodnych. Przemawiano w duchu rewolucyjnym. „Głos zabierali...“ Tu następowało długie wyliczenie. „Paszkow zapewniał o gotowości Syberyi „do oderwania się od państwa. O Polsce już nie „mówi. Pożycie jego z nią zaczyna się psuć bardzo wyraźnie. Sądzę, że można już akcję rozpocząć. Według mnie należy mu wzbronąć powrotu do kraju, a w jakiś czas po tem puścić „wieść o chorobie jej ojca lub siostry. Z konieczności będą musieli się rozstać, a gdy raz „wróci do Rossji, zdołasz pan ją od wyjazdu za „granice powstrzymać. Kazała wam się kłaniać i „nie wspominać o pożyciu z Paszkowem. To „ważne.

„Jest tu jeden polak, którego widziałem na „pewno w Wintowie. Nikt nie umiał mi powiedzieć jego nazwiska. W przyszłym raporcie „szkuję się, że je wykryję. Proszę przyjąć etc.“

---

Ktoby zechciał przez dłuższy czas prowadzić statystykę przyjeżdżających na studia kobiet, musiałby zaznaczyć z roku na rok ogromne różnice pod względem ilości studentek, oraz pod względem typu i pobudek, które je do przedsięwzięcia studiów na uniwersytecie zniewoliły.

W pierwszym roku bytności Rwańskiego w Genewie, zjawilo się trzy zaledwie studentki: były to osoby niepospolitych zdolności i wyjątkowych charakterów. Stary Vogt, który przeprowa-

dził prawo wstępu do uniwersytetu dla kobiet, dumny był ze swego dzieła : „Polska ma kobiety!“ powiadał. Następnie zjawily się, już w większej liczbie, panny przeważnie pozaręczane, pragnące pracować produkcyjnie wespół z przyszłymi towarzyszami życia, dojrzałe umysłowo, świadome swego celu, śmiało patrzące w oczy przyszłości i życiu. Po tych nastąpił rok socjalistek, pełnych entuzjazmu, wiary w lepszą przyszłość, pragnących wiedzy i czynu. Rok, w którym Kazia się zjawiała, obfitował w żydówki, żadne nie tyle wiedzy, co karjery i stanowiska. Po tych wakacjach zjawilo się studentek tak wiele, jak w żadnym z lat poprzednich. Były to rodzaje tak przeróżne, że na razie nie przedstawiały ogólnego jakiegoś typu. Była tam bogata dziedziczka z Litwy, w szatach żalobnych o twardem obliczu fanatyczki, wdowa z córeczką, smutna i milcząca, jak uosobienie śmierci; sybiraczka, córka zesłańca z 63-go roku przybyła z moskalem, kochankiem; nauczycielka zżółkła, z oczami podkrążonemi i zaciśniętymi złością ustami; ukrainka z manierami furmana w oryginalnym, pół męzkim kostiumie; spolszczona niemka z Łodzi, łagodna blondynka anemiczna i milcząca; panna z Odessy wystrojona, jak demi-mondaine; podolanka z niezatartą plamą prawosławia w metryce, blednąca na samo to słowo z oburzenia i wstydu; łowiczanka, ruda jak miedź z piegowatą twarzą; kaliszanka garbata, z piękną głową na karłowatej postaci

bez szyi; kilka warszawianek niewyraźnych, ubra-  
nych ubogo lecz z gustem.

Leszcz, zlustrowawszy to wszystko, zadecydo-  
wał, że jest to „zbrakowany towar“.

Rwański także zauważył wspólną im wszyst-  
kim cechę: smutek rozlany na twarzach.

Były to w istocie osoby, wypędzone z kraju  
przez krzywdę: losu, natury, czy ludzi, serca o-  
depchnięte, uczucia zdeptane, zawiedzione nadzie-  
je, niewdzięcznością zapłacone poświęcenia, zapo-  
znane charaktery, ambicje pokaleczone, złamane  
życia, skompromitowane przeszłości, bezsilne nie-  
nawiści; wszystkie rany moralne jętrzone wsty-  
dem i żalem szukały tutaj w przybytku wiedzy  
ukojenia, czy ulgi zapomnienia lub tylko ukrycia  
od złych oczu, co się radują z nieszczęścia.

Krzywdą! Czy jest sprawą losu ślepego, czy  
ludzi, krzywdą jest duszy zabójstwem. Wy, wszys-  
cy i wszystkie, co przez próżność, bezmyślność,  
przez zawiść, czy samolubną rachubę zdepczecie  
serce bezbronne — wyście zbrodniarze, wy zabi-  
jacie na duszy. Znamy was, mili i wdzięczni pod-  
bijacie serc prostych i ufnych, i was, samoluby,  
co przyjmiecie ofiarę serdeczną a ofiarodawcę od-  
rzucicie, jak łupinę zjedzonego orzecha, i was,  
kukułki, co wprowadzone do cudzej rodziny wy-  
sadzacie z gniazda tych, którzy się w niem poro-  
dzili, i was jędze, świętoszki, co się gorszycie, co  
oczerniacie, depczecie, z pogodą świętą na czole,

z uśmiechem czystym anioła. Znamy was! Jesteście wszyscy zbrodniarze.

Żal i nienawiść! Zła to do pracy zachęta, zła to dla życia opora, zły oręż do walki ze światem. Jakże odmienne były te smutne kobiety od narzeczonych, wierzących w przyszłość i szczęście, od entuzjastek wielkiej ludzkości idei i od wytrwałych semitek poprzedzającego semestru!

Rwańska oceniła z wrodzoną sobie bystrością ten nowy zastęp przodowniczek postępu i odwróciła się od nich. Czego się mogła po takich ludziach spodziewać? Do podziwiania jej geniuszu nie byłyby zdolne zapewne, do walki o jakieś zasady nie nadawały się wcale. Potrzebowały szczerego współczucia. Nie ona dać im je mogła.

Więc werbowowała je Bartska. Czy to na dworcu kolei, czy w audytorjum wszechnicy, w czytelni, w mieście, na drodze, wszędzie umiała je znaleźć, zbliżyć, ugościć, wypytać i ma się rozumieć natychmiast Kamilę przy nich ogadać. Rwańska od męża uciekła, korzystając z jego choroby, zostawiła sparaliżowaną matkę, starszuskę, synowie się jej własni wyrzekli, nikt jej nie przyjmuje uczciwy, tutaj rej wodzi wśród takich jak sama, i dalej tak dalej bez końca. A one łatwo wierzyły: bo złemu trudno nie wierzyć, zwłaszcza kto sam doznał krzywdy.

Rwańska nie spostrzegła się nawet, że „nowe“ jej unikają: czem innem była zajęta, czemś, co ją bardzo bolało. Od owych uścisków wśród



burzy Leszcz trzymał się od niej zdaleka, z wielkim szacunkiem i taktem ale bez dawnej przyjaźni. Wstydem ją myśl ta paliła, co on mógł o niej pomyśleć — wprost że go wyzywała, z czego on nie chce korzystać Pragnęła jak najgoręcej, by się Leszcz nadto ośmielił, a wtedy ona mu powie, że się pomylił zupełnie; że nie jest taką kobietą, że jej ubliża, znieważa i drzwi mu wówczas pokaże. Leszcz strasznie pragnął Kamili, ale udawał zupełną dla niej obojętność. Chciał, by go ona wyzywała, tylko wyraźniej i śmielej. Hamował się z całej siły, by się z uczuciem nie zdradzić. Nie dziw, że wśród takiej walki nie dostrzegli niecnej agitacyi koleżanki Bartskiej. Ale znalazł się ktoś, kto się spostrzegł.

Koleżanka Hofenberg, miała dla Rwańskiej najwyższe uwielbienie. Zażyłość z kobietą niepospolitą, o pańskim zachowaniu, żydówce z Radomia wydawała się takim zaszczytem, że sama o sobie nabrała bardzo wysokiego wyobrażenia. „My, to jest ja i Rwańska“, „sądzę, wraz z Kamilą“ „jestem tego zdania, co Rwańscy“... zaczynała każdą rozmowę, przymrużając z żydowską chępliwością jedno oko i prostując się z godnością. Zaszczyt, który ją spotkał umiała odwziedzić najzupełniejszem oddaniem. Gotowa była oczy wydrzeć każdemu, ktoby śmiał Rwańskich zaczepić, najlżejszem słowem nagany.

Zaznajomiwszy się z kilku nowemi koleżankami, nie omieszkała wyjechać przed każdą z przy-



słowiowym już niemal frazesem: „My, to jest ja i Kamila“... I oto w odpowiedzi usłyszała cały szereg wstrętnych oszczerstw i dowiedziała się że źródłem ich była — Bartska!

Nie mogąc nic mówić ze zgrozy, biegła co prędzej do Rwańskiej i sina, cała zdyszana, powtarzała jej wszystko do słowa, nie zmieniając nic, ani dodając.

Z początku Kamila przybrała rolę ofiary:

— Cóż chcecie — mówiła ze smutkiem — Bartska ma żal do mnie o coś, więc powtarza, co wie od Zajdlówny, nie wierząc nawet sama w to, co mówi.

Żydówka oznajmiła tę odpowiedź Rwańskiej każdemu, z kim przed tem o niej mówiła, i z nowemi zapasami plotek wracała do przyjaciółki.

Aż wreszcie Kamila, doprowadzona do ostateczności rozpowiedziała żydówce całą historią pretensji Bartskiej do Karola, nieporozumienie przy zasiadaniu do wigilji aż do nieszczęsnych opłatków — nie zastrzegła tajemnicy.

Hofenberg chodziła od kółka do kółka i rozpowiadała o projektach Bartskiej względem Dramowskiego.

Ale... w parę dni potem leciała granatowa, z wytrzeszczonemi oczyma do mieszkania przyjaciółki i szepleniąc, pieniąc się i jękając ze zgrozy opowiadała, że pomawiają ją, Kamilę, o... Boże! o romans z Leszczem!

Był to cios dla Kamili. Schowała twarz w obie dłonie i zapłakała głośno.

— Błagam was, zaklinam na wszystko, jeśli masz litość nademną, Rozalko, szeptała przez łzy, nie mów o tem ani ze mną, ani z kimkolwiek. Ja nie wiedziałam, że podłość może sięgać tak daleko! Boże! jeżeli to dojdzie kiedy do uszu Andrzeja, lub Leszcza nawet... Kamila szlochała coraz głośniej, wkońcu dostała serdecznego śmiechu, zaczęła krzyczeć, dusić się, spazmować... Nadbiegła służąca, i we dwie z Rozalką położyły biedną kobietę do łóżka. Sprowadzono lekarza. Ten znalazł Kamilę naprawdę chorą. Domyślał się jakiegoś ciężkiego przejścia, nakazał spokój, przyćmione światło, dyjetę i środki uśmierzające.

Chora zastosowała się do wszystkich przepisów, prócz najważniejszego: spokoju nie mogła odzyskać. Myśl własna gryzła ją, jak rdza żelazo. Mówią o niej w sposób hańbiący! Leszcz musi o tem wiedzieć! Ztąd taka zmiana w postępowaniu z nią. Podejrzewa ją nawet prawdopodobnie o zamiar zawiązania dwuznacznego z nim stosunku. Wstyd, gniew i rozpacz szarpały ją dniem i nocą. Szukała wyjścia z tej sytuacji i znaleźć nie mogła. Rwańskiemu nie mogła się zwierzyć, mówiła, że jest chora na serce. Zaczny człowiek bolał nad tem niezmiernie, z trwogą wpatrywał się w poblądle drogie oblicze i łzy ocierał ukradkiem.

Długo leżała Kamila, patrząc przed siebie z wyrazem przerażenia, aż wreszcie pewnego dnia zamknęła znużone powieki i uśmiechnęła się: znalazła punkt wyjścia z tej sprawy.

Obróciła się twarzą do ściany i poraz pierwszy zasnęła snem dobrym, spokojnym. Odtąd zaczęła do zdrowia przychodzić.

Gdy pierwszy raz z łóżka się zwlokła, ślaniając się i chwytając poręczy krzesel doszła do biórka przy oknie, wyjęła swój wizytowy bilecik i nakreśliła słów parę. Potem włożyła w kopertę, zaadresowała, markę przykleiła i zawołała na służącą:

— Proszę to wrzucić do skrzynki! rzekła.

Od tej chwili odzyskała dawny swój wyraz i siłę.

Leszcz nie słyszał o niczem. Wiedział o tem, że Kamila jest chora na serce, wiedział, że nie może jej widzieć i czuł, że ją kocha, że ciężko mu będzie żyć bez niej. Gryzł się w sobie, miotał się, buntował przeciwko własnemu uczuciu, przeciwko fatalności, co ich zbliżyła, przeciwko nieubłaganej sile wszystkiego, co ich dzieli. Szarpał się, kłął, zżymał, ale widział, że musi jej wyznać swą miłość. Niech go podepcze, odtrąci, wyśmieje nawet. Będzie mu z tem lżej. Prędzej pozbędzie się tej zmory, tego krążenia wkoło jednej myśli, tego ciągłego pragnienia! Ogarniała go rozpacz na myśl, że go podepcze z pewnością,

będzie nim gardziła, jak zdrajcą. Nie mógł milczeć, nie mógł stłumić w sobie pożerającej namiętności. Przypominał sobie nagle, że jest chora i sam nie wiedział, czy pragnie jej zdrowia, czy śmierci, a tylko cierpiał szalenie.

Wyzdrowiała. Za jaki tydzień ujrzy ją i powie. Wyobrażał sobie wzrok jej pełny oburzenia, słyszał jej rozkaz... Wściekły był. On jej powie, rzuci jej w oczy, że go bałamuciła, że go szczy-pała za rękę, że wyzywała go sama. A może... jakaś iskierka nadziei na przekór wszelkim rozumowaniom błyszczała na dnie jego duszy. Lecz opamiętywał się zaraz: on i Rwański! Czuł się tak bardzo niższym od tego człowieka prawdziwej nauki, kryształowego, dobrego, delikatnego... Jak on mógł przypuszczać kiedykolwiek, że taka kobieta może się nim zająć choć na chwilę? Tak był nieszczęśliwym w tej chwili, że zeznanie swojej niższości nie bolało go już wcale. Spojrzał w zwierciadło z niechęcią — wydał się sobie niesympatycznym. Więc zje arbuza i odjedzie do Paryża, tam... — Lecz ogarnął go okropny niesmak na myśl o dawnych rozrywkach. — Splunął. Wcisnął kapelusz na oczy, chwycił laskę i wybiegł na ulicę, sam nie wiedział, dokąd i po co. W drodze dopiero zauważył, że idzie do Zajdlówny. Wkrótce usłyszał gwałtowny szum Arwy. To go opamiętało. Po co tam iść? Zdradzi się przy pierwszej wzmiance o Kamili. Narazi ją na obmowę, poda materiał tym paniom do przymó-

wek i komentarzy. Zawrócił na miejscu i skierował się ku mieszkaniu Rwańskich. I tu się opamiętał. Wszak ona nie przyjmuje jeszcze. Wolnym krokiem powrócił do swego mieszkania. Nim otworzył, zajrzał machinalnie do skrzynki listowej. Była tam mała koperta z jego nazwiskiem na wierzchu. Wziął ją, nie poznając pisma i wsunął do kieszeni. Dopiero wszedłszy do pokoju zastanowił się, że list był z miasta, że ktoś z blizkich znajomych odzywa się do niego. Czego też dowie się z tej karty? Nie śpiesząc rozciął kopertę nożykiem i... aż podskoczył:

„Kamila Rwańska!“ — Może mu się wydało? Ale nie, nie śni bynajmniej! Dalej — „Bądźcie laskawi odwiedzić mię dziś między piątą a szóstą“. Nic więcej. Co to jest? — spytał głośno sam siebie. — Pierwsze wrażenie, jakiego doznał było wprost dziwne: Zdało mu się, że coś zaszło bardzo stanowczego, decydującego o całym jego życiu. Po chwili opanowała go radość, że oto za parę godzin ujrzy ją wreszcie po długiej rozłące. Nastrojony na wesołą nutę, pogalopował myślą w tym kierunku. Ona mu wyzna, że z jego powodu na zdrowiu zapadła, że go kocha, a on padnie jej do nóg i... umrze chyba ze szczęścia. I już nazwał siebie w duchu osłem, ale to nie pomogło. Nadzieja bredziła w nim, stwarzając dzikie obrazy gwałtownej namiętności. Gdy zbliżała się piąta godzina zaczął silić się na spokój. Zdawało mu się, że ovladnął już sobą całkowi-



cie, ale skoro pociągnął za dzwonek, szalone rojenia opadły go znów z całą gwałtownością. Zapukał do drzwi nieśmiało, posłyszał głos melodyjny, wszedł, i szal go opuścił jak czarem zdjęty. Stał i patrzył.

W fotelu siedziała szczupła, delikatna postać w bieli, z główką opartą na białej, koronką obszytej poduszce. Twarz wychudzona, przybladła, patrzyła nań błagalnie wielkimi szafirowemi oczyma obwiedzionemi niebieską głęboką podkówką. Te oczy tyle mówiły o przebytem cierpieniu, o upadku sił, o czystości myśli, o smutku łagodnym, o słodyczy serca, że wzruszyły go do samej głębi. Teraz dopiero kochał ją prawdziwie, wszystkim co było lepszego, czulszego, szlachetniejszego w jego duszy. Zdjęła go litość serdeczna na myśl, jak ona musiała przecierpieć. Stał i patrzył. A oczy jej przymknęły się, znużone, i z ust wyszły słowa powolne i ciche, jakby z wysiłkiem mówione:

— Usiądźcie proszę! Wezwałam was skoro tylko wstać mogłam... Mam do was prośbę, kolego.

Serce waliło młotem w piersi młodzieńca. Czekał tej prośby z natężeniem takim, że ledwo zapanował nad sobą. A ona czekała, osłabiona czy chwiejna.

— Nie odmówcie mi tej łaski, ciągnęła dalej powoli, chociażby wam to nie dogadzało; zróbcie to dla mnie, oszczędzicie mi ciężkiej przykrości —



Wyjedźcie z Genewy. Przenieście się do Zurychu, lub Berna...

Leszcz prędejbym się gromu spodziewał. Podskoczył, chwycił gwałtownie powietrze w płuca i usiadł. Nastąpiło milczenie.

— To wszystko? — spytał ponuro. — Miał już na ustach najcięższe wyrzuty, że się nim bawi okrutnie, że doprowadza do szału, a potem każe się wynieść... Lecz spojrzawszy na twarz znękaną świeżo przebytem cierpieniem i nie miał odwagi dodawać jej więcej goryczy.

— Dla czego wy żądacie odemnie podobn... podobnej ofiary? — spytał zmienionym, dziwnym jakimś głosem.

Kamila spojrzawszy na niego i złękła się. Twarz jego była w tej chwili piękną i miała taki wyraz rozpaczki i siły uczucia, coś tak dla niej niespodzianego było w tej zmianie i w tej miłości, o której wątpić nie mogła, że serce jej uderzyło gwałtownie, na policzki wystąpił rumieniec, blask oczu skryła rzęsami.

— Nie pytajcie mnie — rzekła ze smutkiem. — Kiedyś się może dowiecie. To nie na długo — dodała. — Przyjedźcie na obchód listopadowy, potem zobaczymy się na zjeździe, a potem wszystko minie. Teraz wyjedźcie, ja proszę, jeżeli mi dobrze życzyte, jeżeli wam mój spokój drogi.

Siedzieli naprzeciw siebie, oboje wzburzeni do głębi: on ją tak zrozumiał w tej chwili, że go kochała oddawna, zasłabła z tego powodu i przy-

szedłszy do zdrowia, postanowiła uczucie swe zła-  
mać. Przyjął ten wyrok bolesny, a jednak było  
mu nieskończenie błogo, na myśl, że go przecie  
kochała.

A ona? Dla niej miłość Leszcza była fatalnem  
odkryciem. Dotąd sądziła, że chciał z nią tylko  
flirtować. Chciała mu dać nauczkę, że ją naraził  
na plotki, oburzyć go przeciw Bartskiej, użyć go  
do zgnębienia przeciwniczki, rozpocząć szczucie  
z nagonką. I oto nagle otwarła się przed nią cała  
głębia namiętnej miłości i porwała ją w swą ot-  
chłań. Poruszyły się w niej nieznanne dotąd stru-  
ny, zadrgały gwałtowne wzruszenia. Ozwała się —  
namiętność! Ona nigdy dotąd nie kochała. Teraz  
dopiero poznała, co to jest miłość prawdziwa. —  
Złękła się bardzo tej mocy, tej strasznej uczuć  
potęgi i razem czuła bolesną jakąś, okrutną ro-  
skosz i rozumiała, że dopiero teraz żyje.

Leszcz wstał, wziął jej rękę, do ust podniósł  
ze drżeniem i, nie mówiąc ani słowa, wyszedł i  
drzwi za sobą zatrzasnął. — Ona patrzyła przed  
siebie z żalem, radością i trwogą.

---

Do obchodu listopadowego powstania pozo-  
stawało całych sześć tygodni.

Manifestacje te urządzało „Towarzystwo emi-  
grantów polskich“, złożone z ludzi najprzeróżniej-  
szych, zaczynając od profesorów i literatów, a  
kończąc na krawcach, szewcach i innych „po-

dłych stanach“. Obywatele ci, jak się między sobą nazywali, tak mało mieli z sobą wspólnego już nietylko pod względem stanowiska społecznego i fortun, ale wychowania, wykształcenia i poglądów, że u każdego innego narodu zbiorowisko podobne nietylko istnieć przez długie lata, ale nawet utworzyłoby się nigdy nie mogło. Oczywiście, towarzystwo spojone było nadzwyczaj luźno; członkowie nie znali się prawie nawzajem, byli tacy, co nigdy nie zjawili się na posiedzeniu, nie zajmowali się żadną sprawą towarzystwa, inni pokazywali się raz do roku i wymówiwszy się brakiem czasu, znikali. Na obchody powstawiali się wszyscy z małym wyjątkiem.

Urządzenie obchodu tradycyjnie poruczane było obywatelowi Kosie wraz z dwoma innymi, którzy się do niczego nie wtrącali, rzekomo dla braku czasu. Ale gorliwość Kosy wystarczała za całą komisję. Naprzód trzeba było zamówić odpowiednią salę z możliwym fortepianem lub pianinem. Znalazł takową „pod krokodylem“ i załatwiwszy się z umową i formalnościami, puścił się na poszukiwanie Demostenesów. Zdobył mowę od jakiegoś starego emigranta z r. 1863, u Rwańskiego wyblagał odczyt, napisał do Leszcza, przedstawiając mu konieczność wypowiedzenia się młodzieży ze swym poglądem na ruch 31 roku i otrzymał bardzo przychylną odpowiedź.

Pozostawała druga część programu, tak zwana artystyczna. Obywatel Kosa gotował się do ataku

na studentki. — Po skończeniu zajęć biurowych wpadał na chwilę do kawalerskiego mieszkania, zmieniał kołnierzyk, przyglądał fiksatoarem siwiejącego wąsa, zaczesywał długie kosmy na łysinę, łowił całemi wieczorami artystów, zabrawszy ze sobą w tym celu ogromny spis adresów. Byli tam zapisani Polacy, mieszkający nietylko w Genewie, ale w ogólności za granicą: znajomi, nieznanymi, bogaci, ubodzy, źli czy dobrzy. Zapisywał ich w tem przeświadczeniu, że w każdym jest coś polskiego i że każdego będzie mógł kiedyś w ten lub inny sposób dla Polski spożytkować. Otworzywszy swą księgę adresową na rubryce studentek, wychodził równym krokiem byłego żołnierza i rezolutnie pociągał za dzwonek u drzwi pierwszej z brzegu, jak je nazywał „koleżanki“ i zjawiał się z miną wielce uradowaną w panińskim pokoiku. Jakże był witany serdecznie!

Praca, troski, wspomnienia, nawet waśnie i plotki pierzchały z głów skołatanych na widok tej twarzy pełnej dobroci, serdeczności i pogody. Miał taki jakiś charakterystyczny swój uśmiech przy rozmowie z pannami, że musiały śmiać się do niego, z góry przygotowane na dowcipy, komplementy, a nawet żartobliwe oświadczyzny, których nie chciały lub nie mogły brać serjo, a które bądź co bądź sprawiały im przyjemność.

Częstowały go za to, jak mogły; Kosa nie uchylał się nigdy od szklaneczki herbaty, nie od-

mawiał ciastka, nie gardził szynką czy kielbaską. Rozumiał, że dla gospodarza jest to największa przyjemność, gdy gość zje i wypije z nim razem. Jadł więc, pił i zachwalał naprzód przyjęcie, a potem samą gosposię.

— Gdyby tak kto inny, tobym odmówił — żartował, gdy mu proponowała jeszcze i jeszcze herbaty. — No, z tych rączek wypiłbym nawet truciznę.

— No, no, nie plećcie stary: truciznybyście nie pili.

— Trucizny? A czy to nie jest trucizną, nazywać starym człowieka w sile wieku? Pani mię chce do grobu wtrącić. A ja, nieszczęsny, marzyłem, że mi pani da raj, tu na ziemi...

— Patrzcie go! Ot, czego mu się zachciewa!

— Któżby tego nie chciał? Mój Boże! Cóż, kiedy pani mówi, żem stary! to pani za młoda! Jabym z takim podlotkiem za nic w świecie się nie żenił! Chybaby pani wyraźnie sobie tego życzyła. Wówczas nie miałbym serca odmówić.

Tak nastroiwszy wesoło studentkę, osobę zazwyczaj oddaloną od wieku podlotka i najczęściej smutną, zdobywał dla obchodu jej talent towarzyski. Początkowo wymawiała się zwykle brakiem czasu, zapomniała grać, nie była przy głosie, nie ma odpowiednich wierszy, ale wkońcu przyrzekała solennie, a uszczęśliwiony Kosa wychodził na połów do następnej koleżanki.



Tak obchodząc parafię zdobył już wcale po-  
kazny repertoar, nie mógł jednak u żadnej do-  
prosić się deklamacji ulubionego „Grobu Agame-  
mnona“ i zagrania poloneza Ogińskiego, bez któ-  
rego, wedle jego pojęcia, żaden obchód narodowy  
obejść się nie mógł. Powiedziały mu koleżanki,  
że takie sentymentalne sztuki grywa Bartska, a  
Słowackiego zna na pamięć Hela Kołowicz. Pu-  
ścił się więc Kosa, przepelniony już, jak beczka,  
herbatą, na drugi brzeg Arwy. Szumiała mu ona  
weselem, wspomniał sobie Wisłę i nucąc oklepane  
„Flisy“, zapukał do drzwi Zajdlówny.

— Qui est là? Kto tam? — pytała krzykli-  
wym głosem studentka.

— Obywatel Kosa. Do stópek się ścielę i bła-  
gam o łaskę wpuszczenia do przybytku mądrości,  
wiedzy i wdzięków!

— Bartku! Bartku! To Kosa! Wychodź, bo  
ja nie ubrana!

— Ależ ja nie mogę! — dzwoniła Jadwiga  
z drugiego pokoju.

Kosa słyszał szmer kroków, suwanie krzesła-  
mi, otwieranie szafy, wreszcie Zajdlówna otwo-  
rzyła drzwi na oścież i z wesołym uśmiechem  
podała mu dłoń zamasyście.

— Chodźcie! siadajcie! Cóż słyhać?

— Nic nie słyhać! Dla tego właśnie tu przy-  
szedłem, bo u pań podobno można posłyszeć bar-  
dzo piękne rzeczy.

— No, cóż takiego? Nic nie wiem?



— Coś takiego, jak mazurki, krakowiaki, polonezy, a nawet sonaty i rapsodje.

— Skądże to taki zapal do muzyki? Słyszysz Bartek — wołała nazbyt głośno. — Wylaż-że już nareszcie w swoim chałacie.

Wtem ode drzwi posunęła się uroczyście Jadwiga w tyfetykowym szlafroczku, ze spuszczone mi oczkami i uśmiechem zażenowania na ustach.

— Panno Jadwigo! jestem olśniony wdziękiem postaci i blaskiem pantofelków.

Jadwiga usiadła i zaczęła mieć koniec swej szarfy.

— Daj spokój tej wstążce! Przyszedł, żebyś mu zagrała.

— Panno Jadwigo — dodał z błagalnie-komiczną miną Kosa. — Uszczęśliwi pani człowieka, któregoś niegdyś zdeptała nielitościwie i straciła w głąb czarnej rozpacz. Niechże pani choć na chwilę zechce tę boleść dźwiękiem melodji ukoić, a padnę do stóp jej i będę błogosławił tę rączkę, co mi serce na wieki przeszyla.

— Najchętniej, panie — ozwała się Bartska miłym głosikiem.

I równym krokiem, niby płynąc, sunęła do stojącego tuż przy nim pianina.

— Co pan lubi najwięcej? Co działa na pana kojąco? — pytała z tkliwym współczuciem.

— Ach, ja sam nie wiem. Może pani sama wybierze?

Bartska rzeczywiście grała sentymentalne rzeczy i grała je na sposób naszych babek, delikatnie, miękko. Kosę wzruszyła ta czysto kobieca melodia. Był szczerze zachwycony.

— Całe życie słuchałbym pani — ozwał się, gdy skończyła. — Wszystko pani przebaczam — dodał, siląc się wrócić do zwykłej swej wesołości — tylko mi pani jednej rzeczy nie odmówi.

Tu Bartska oczęta spuściła i chwyciła rożek swej szarfy.

— Ja tak lubię — tu w rączkę ją cmoknął — poloneza Ogińskiego, wie pani, ten: tram-ta, tram-ta, tam-da-dram... — zaśpiewał pierwszy takt znanej melodji.

Jadwiga nie tego oczekiwała, jednakże wkońcu przyrzekła, że na obchodzie go zagra.

Uszczęśliwiony Kosa ucałował obie rączki pаниenki i puścił się do Heli po Agamemnona.

Wstąpiwszy na mokre podwórko, rzucił okiem na okna pokoiku dwóch nierozłącznych koleżanek. Były w domu, widać było światło i zarysowała się przez tiulową firankę postać kobieca w bieliźnie.

Stary niezmiernie lubił podobne widoki. Zbliżył się, jak mógł tylko najciszej, do okna i wyszukawszy dziurkę w starej firance, zapuścił niedyskretny wzrok w głąb panińskiego mieszkania.

Hela wedle zwyczaju bosa i z rozpuszczonymi włosami, siedziała na kulawej kanapce i skalpelem fryzowała wystrzępione i przemokłe widocznie

piórka odwiecznego, wyszłego z formy i zzieleniałego czarnego kapelusza. Bliżej okna poznał, a raczej domyślił się Blinowskiej, gdyż rysy przysłoniła para, unosząca się z miednicy, nad którą była schylona. Widział tylko obnażone ramiona, białe i utoczone wspaniale, pełny biust, linię szyi i obfite włosy nieokreślonej jakiejś barwy.

Blinowska prała pończochy. Widział, jak wykręcała sztukę po sztuce, potem, włożywszy rękę do środka, oglądała wielkie dziury w palcach i na piętach. Pokazywała je Heli, ta coś jej odpowiadała, a czasem ruszyła tylko ramionami.

Żal ścisnął serce poczciwca na widok tej biedy dwóch kobiet. Wstyd mu się zrobiło, że podpatrywał szczegóły ich życia, odszedł od okna, i zczekawszy dość długo, zadzwonił jakoś nieśmiało.

Blinowska była już w kaftaniku, więc otworzyła mu zaraz. Kosa wszedł do pokoju poważny, wesołość i dowcip gdzieś mu się podziały; zauważył, że Blinowska nie wita go wesoło, jak zwykle, i że jej z tem nawet do twarzy. Nie wydała mu się wcale brzydką: policzki, zarumienione od prania, maskowały popielatą cerę, oczy błyszczwały od gorąca, wydawały się ciemniejsze i głębsze i wyraz miała sympatyczny. O reszcie wiedział już, co myśleć.

Nie szła mu rozmowa z Marją, czekał więc Heli niecierpliwie. Weszła nareszcie w tym samym białym kaftaniku, tylko włosy miała skręcone nie-

dbale z tyłu głowy i na nogach czerwone mocno przybrukane pantofle.

— Jak się macie, obywatelu! — przywitała go swobodnie. — Mówcie odrazu, z czym, a raczej po co przychodzicie, a potem herbata Blinku! — zwróciła się do przyjaciółki.

— Panno Heleno! — odpowiedział Kosa, czując, że mu dowcip powraca. — Przychodzę z sercem, pełnem miłości i uwielbienia, po wielką łaskę, o którą na klęczkach błagać ją będę, a za herbatę dziękuję, bom się jej tak opił u koleżanek, że sam już nie wiem, czy ja Kosa, czy samowar...

— To nic nie szkodzi: myśmy jeszcze nie piły. A o jaką to łaskę na kolanach prosić mię zamierzacie?

— Panno Heleno! Pani samą jest łaską, dobrocią, litością, więc gdybym tylko wiedział...

— Poczekajcie! nie w tę stronę! O mnie samą prosić nie trzeba, bo to się na nic nie zda, ale proście mię ucziwie o jaką pocziwą żonę, to dam wam, co tylko znam najlepszego. Ale wyście nie po to przyszli. Mówcie więc, bo się nie domyślam.

— Ja widzę, że pani myśli ludzkie przenika!

— Nie do tego stopnia, żebym aż zgadnąć mogła, jaką rolę mam grać na waszym obchodzie...

— Jaką rolę? Bardzo nieodpowiednią dla pani, wyznaję: ma pani wymyślać od małp i papug,

mówić o trupach pięknych mężczyzn i o nagich kobietach, wnętrza trzew targać...

— Ja? „Grób Agamemnona“? Deklamować? Wybicie to sobie z głowy, a prędko, żeby czasu nie tracić.

— Panno Heleno! Ja nie chcę sobie wybijać, ale pani wbić właśnie.

— Dajcież mi spokój! Ja lubię Słowackiego, ale mój akcent ukraiński popsułby całe wrażenie.

— Ależ przeciwnie: wszak Słowacki był Ukraińcem...

— Helu! — ozwała się Blinowska, wnosząc na czarnej, wytartej tacy trzy szklanki herbaty. — Ty to bardzo ładnie mówisz: dlaczegożbyś nie miała zrobić panu Kosie tę przyjemność.

— I ty Blinku?

— Dobra, kochana panna Marja! — zwrócił się do wchodzącej obywatel, zapomniawszy w tej chwili, że ją widział zbyt wydekoltowaną.

Wtem Hela wstała, poszukała czegoś na stole, potem na kanapce, wróciła z paczką tytoniu i wkrótce zadymiała potężnie.

Kosa prawil tymczasem:

— Pani jest anielską istotą, panno Marjo. — Pani jest moją ucieczką w strapieniu, moją nadzieją w zawodzie...

Hela przez dym patrzyła to na niego, to na koleżankę. Potem nagle oczy zmrużyła, puściła nowy kłęb przed siebie i zaczęła pić najspokojniej herbatę.

Blinowska przekomarzała się z Kosą tymczasem.

— Uciezka, to już nietrafnie, bo ludzie odemnie uciekają, nie do mnie...

— Pani, nigdybym od pani nie uciekł: kijem by mnie pani odpędzała, a jeszczebym wrócił...

— Gadajcie zdrowi, Koso — przerwała mu Hela. — Ale wróćcie, może się jeszcze namyszę, tylko mi dziś o tem więcej nie mówcie, bo się uprę i wtedy już ani rusz!

— Ja gotówem co dzień i co godzinę powracać, ale boję się, czy mię panna Marja w końcu nie ściągnie obuchem po grzbiecie...

— Cóż tam będzie jeszcze na tym obchodzie — spytała Hela od niechcenia.

— A będzie! Będzie Beethoven, Liszt i Wagner i Mozart i wszystko, co pani chce, tylko nie to, co być powinno. Proszę pani, jak ja chcę słyseć jakichś nocturnów i rapsodyj, to sobie zapłacę franka na koncert i mam tej frajdy całe trzy godziny i lepiej wykonane, niż przez amatorki. Na obchód czego innego potrzeba: trzeba, żeby się człowiek uczuł na godzinę jaką w Polsce, posłyszał krakowiaka, mazura, no coś, co jest nasze, swoje, narodowe. To do serca przemawia, to... panno Marjo! Prawda, że taki „Grób Agamemnona“...

— Koso, bo się znarowię!

-- Ja nie do pani mówię! — Ja do panny Marji.



— A ja nie będę już deklamowała.

— Panno Marjo!

— Daj pan spokój teraz! — rzekła Blinowska półgłosem. — Jutro pan przyjdzie, może zdołam ją namówić.

---

Ani nazajutrz, ani dni następnych Hela nie przyrzekała stanowczo Kosie, nie odbierała mu jednak nadziei.

— Jutro, może, zobaczę; niech pan przyjdzie — odpowiadała najczęściej.

Pocziwy człowiek stał się codziennym gościem przyjaciółek. Rozweselał je trochę, zwłaszcza Blinowską, ale to mu nie wystarczało. Chciał przyjść w delikatny sposób z pomocą biednym pannom, a wiedział dobrze, jak to bardzo trudno nie obrazić drażliwości osób ubogich w podobnych warunkach.

Nareszcie zdobył się na odwagę. Wpadł do nich pewnego wieczora i powiedział, że jest bez kolacji i prosił, żeby mu co jeść dały. Blinek zakrzętała się koło herbaty i poszła po bułeczki za Arwę, on tymczasem wyznał Heli, że zjadłby coś mięsnego, i jeżeli ona się na to zgodzi, to sobie sam przyniesie.

— A to idźcie, kupcie sobie, co chcecie — odrzekła ze śmiechem. — I ja się przy was najem — dodała, odgadując odrazu jego pocziwe zamiary.

Blinowska wróciwszy z buleczkami z za Arwy, zastała przyjaciółkę wraz z Kosą nad sporą kupą wędliny, rozłożonej na kawałku papieru. Ubodło ją to niezmiernie. Domyślała się zaraz, co zaszło, i stanowczo odmówiła udziału w tej uczcie.

— Jedz, Blinek — zachęcała ją Hela. — Upewniam cię, że doskonała! Ten Kosa zna się na szynkach!

— O, czyż tylko na szynkach! — wybelkotał z pełnemi ustami.

Hela śmiała się w najlepsze, Marja czuła w tej odpowiedzi coś dwuznacznego, wyszła zadąsana do swego pokoiku, a raczej malusieńkiej komórki, i zamknęła się na klucz. Hela i Kosa zaśmiali się na głos.

— Wylaż, Blinek — wołała przyjaciółka. — No, prędko! Jak nie chcesz, to nie jedz, ale mnie nie wzbraniaj, bom głodna!

— Panno Marjo! Pani mi psuje apetyt, pani radaby mię zagłodzić, pani mię nienawidzi!

Z komórki słyhać było ucieranie nosa.

— Płacze — szepnęła Hela do Kosy. — Marusia! Blinek! słuchaj! jeżeli mi zaraz wyjdiesz, i będziesz jadła po ludzku, to będę deklamowała. Słyszysz?

Nastąpiło długie milczenie. — Nareszcie klucz zgrzytnął w zamku i Marusia wyszła, bardzo czerwona i smutna.

— Panno Marjo! — wołał Kosa i chwyciwszy ją za obie rączki, począł całować zawzięcie.

— Dobrze, już dobrze! — broniła się wśród śmiechu. — Tylko niech mi się pan więcej nigdy nie waży na coś podobnego.

— Zrobię to zawsze, wiele razy będę chciał jeść!

Hela wyszła w tej chwili, niby po herbatę, więc on wziął wpół brzydkiego Blina, posadził na kanapce, i pochyliwszy się ku niej mówił półgłosem do ucha:

— Widzi pani, panno Marusiu, jaka pani nie-  
litościwa. Ja się obawiam o koleżankę Kołowicz:  
ona tak się wycieńczyła głodem i nadmierną  
pracą, że w końcu może — nie wyżyć. Jest tak  
dobra, kochana i miła, że pozwala mi... jeść tę  
marną szynkę wraz z sobą. Dla czego pani mi  
przeszkadza, skoro ona sama nic przeciwko temu  
nie ma?

Blinowska za całą odpowiedź uściśliła mu  
rękę serdecznie, a on ucałował ją długo i cicho,  
co u niego oznaczało wzruszenie.

Hela patrzyła przez szparę drzwi na całą tą  
scenę i zacierała kościste łapki. Była już pewną,  
że wyda swego kochanego Blinka za Kosę.

---

Przygotowania do występów wszelkiego ro-  
dzaju wniosły ożywczy jakiś duch między stu-  
dentki: radziły się jedna drugiej, odbywały repe-  
tycje, wyszukiwały odpowiednich nut, piosnek  
i poezyj. Nawet Bartska zapomniała o swej nie-

chęci do Rwańskiej. — Plotka o Leszczu utonęła w niepamięci.

Kamila wbrew ogólnemu oczekiwaniu nie czyniła żadnych nieprzyjaznych kroków. Miłość pochłonęła ją tak całkowicie, nie zostało w sercu miejsca na zemstę albo nienawiść; wiedziała tylko jedno: że cierpi i pragnie, że miłość jest dla niej strasznym nieszczęściem, ale za nic w świecie nie zgodziłaby się nie kochać i nie być kochaną. Cóż ją mogła obchodzić Jadwiga, Zajdlówna, czy ktokolwiek na świecie? Takie to wszystko marne, malutkie, płaskie i głupie, nie warte jednej jej myśli, jednego spojrzenia! Jak ona mogła przez tyle lat kręcić się w kółku intryg i ploteczek, obracać temi koleżankami, jak marjonetkami w wer-tepie i zadowalniać się okazywaną przez nie adoracją? Zdawało jej się, że to chyba nie ta sama „ona“, że jest dwoistą osobą i oto w tej chwili jedna z nich, właściwa ona, dziwi się tej drugiej, że była taką małą, taką próżną, śmieszłą i złą. Bo ta nowa, ta prawdziwa „ona“, czuła tylko bezmiar litości dla wszystkiego, co nosi oblicze ludzkie, i bezgraniczne, nieziemskie jakieś pobłażanie. Wydało jej się, że wszystko cierpi wkoło niej: każda twarz, spotkana na ulicy, mówiła jej o jakimś bólu, o nędzy ukrytej, upokorzeniach, zawodach, o nigdy niezadowolonym pragnieniu. Litowała się nad starcem, patrzącym ponuro przed siebie: on już nic nie zazna, prócz cierpienia i — śmierci! Nad dzieciątkiem, kwilącym w wózecku:

czeka go życie, a życie jest jednym pasmem cierpienia! I nad niańką, która go uspokoić nie mogła: onaby chciała być przy kochanku w tej chwili! I nad biednym Włochem, zgiętym nad bryłą kamienia, i nad śmiesznie ubraną starą panną z książką nabożną w ręku, i nad obdartym łobuzem i nad kokotką w jedwabiach...

Bolały ją wszystkie niedole ludzkie; wszystkie cierpienia i nędzy, czuła wyraźnie i rozumiała całą ich głębię i roztopiała w nich własną swą boleść i smutek.

Nie myślała o sobie, o swej przyszłości, o pustce, która ją otoczyła z chwilą, kiedy „on“ drzwi za sobą zatrzasnął. A jednak ta chwila stała jej ciągle w pamięci, jak wyrok zapalony nad jej głową, nieodwołalny, a straszny, jak dożywotnie więzienie.

---

W sali „pod krokodylem“ białobyło od elektrycznych świateł. W głębi, na rodzaju estrady czy wzniesienia, stał niewielki stolik z tradycyjną karafką, wkoło ustawione trzy krzesła, dalej ku oknu pianino, taburet i stolik do nut dla skrzypka. Na sali krzesła ustawione były, jak w amfiteatrze, pod ścianami z obu stron rząd ławek.

Emigranci przychodzili jedni po drugich i zajmowali krzesła ostatnie, i rozmawiali głośno, śmiali się, szeptali coś sobie do ucha.

Z młodzieży pierwszy pojawił się Leszcz, trochę przybladły, smutny i bardzo piękny. Za nim



wszedł Kosa ze swemi paniami, jak na  
rusię i Helę, potem trzech jeszcze  
i zasiedli w tym samym rzędzie.

Jeden z nowoprzybyłych, o  
szramą przez nos i czoło, prz  
Leszcza.

— A pana, tom jeszcze  
dział, więc nie znam.

— Leszcz, do usług  
cunkiem.

— A ja, panie  
panie. Aż stamtąd  
Byłem w powst  
i ot, panie teg

Tu pokaz  
do cięcia sz

— I p  
i szukano

żem to  
panie t  
że to

we,

I o

„T

w

w

ra

F

l



...aczenie polityczne. Jestem ja, kapitan,  
panie tego...

...panu awansu! — ozwał się po  
...rwny blondyn.

...jej racji, panie tego.

...ten roku byłeś pan dopiero  
...wałeś na kapitana? Świetna

...lat będziesz pan jene-

...widzisz pan... po  
...na szramę od-

...„politycznego  
...ła ławce pod

... blondyna  
...politycznem  
...oku.

...w mały,  
...altocie,  
...Znasz

...do

...sz

Tu pomarszczona figurka ściągnęła wszystkie fałdeczki do oczu i nosa i parsknęła cieniutkim śmiechem.

— Panie Pytlak! — potracił zaraz drugiego sąsiada. — Znasz pan Sztromfelda?

— Co? jak? — zachnął się ze snu zbudzony, niedźwiedziowaty emigrant, z twarzą tępaka, krótką, kwadratową, z małemi, bez żadnego wyrazu oczkami. — Jak pan powiedział? Sztromfelda? A może, choć nie pamiętam. Żyd zapewne?

— Jaktó? Nie znasz pan Sztromfelda? To świnia!

— A zapewne! Żydzi i socjaliści, to najgorsza rzecz. Ja tam jednego poturbowałem w czytelni — zwrócił się do Blinowskiej, widząc, że emigrant ze swoim Sztromfeldem odszedł do kogoś innego. — Bo to kanapa jest emigracyjna, ta co w bibliotece, nie młodzieży. I z nogami kłaść się na niej nie wolno, bo to brudzi się i niszczy, a i z przeproszeniem, nieprzyzwoitość, bo to mogą przyjść panienki, jako że teraz one wszystkie tak są, jak nieprzymierzając mężczyźni, że niby co nam wolno, to i im też... Więc ja mu najgrzeczniej powiadam: mój panie, czy tam obywatelu, bo to teraz każdy parch, przepraszając za słowo, jest taki sam obywatel, jak niby Wielewski, co jest sławnym profesorem i ma koligacje z wysokimi familjami... Więc powiadam mu: zabierz pan nogi z kanapy, bo zasmarujesz bućkami. A on nic, niby nie słyszy. Tedyń wziął

kija i palnę go po nogach! Toż się zerwał i do mnie! A ja kij w garści i czekam. A może mu i Sztromberg było, choć zdaje się, że i nie tak, ale zawsze świnia: bo to i żyd i socjalista... to, co jest najgorszego... Bo dla nóg, to podłoga, nie kanapa...

— A nie paskudź ino, bo ja jestem socjalistą — przerwał mu „obywatel“ szewc, wyblakły blondyn, z twarzą płaską i obrzękłą.

— At! nie gadałbyś pan głupstw, jeszcze przy pannach — wtrącił siwiuteński szlachcic z garbatym nosem i zapadłemi oczami.

— Mnie, gdyby nie Matka Najświętsza z Jej wszechmocną opieką, tobyście mię nigdy żywym nie oglądali. Bo to nasza familja jest pod szczególniejszą Jej opieką, jeszcze z czasów konfederacji Barskiej. I matce mojej objawiła się we własnej świętej swej osobie: było to jeszcze przed powstaniem. Ja bawiłem wówczas w Warszawie, bo się już gotowało. Więc tak jakoś wieczorem, o zmroku, że to już słyhać było w całym kraju, matka siedziała w fotelu i myślała, co też tam ja, a byłem jedynakiem, co też się ze mną stanie. Aż tu widzi, światłość taka, niby dzień. I po niebie coś przeleciało, jak wstęga i zaszypiało, powiada, i niby obłok świetlisty się roztoczył, i znikło! I to nie ona jedna widziała, a ludzie na wsi także przysięgali...

— Astrolit, panie Astrolit — przewał mu barczysty rudawy jegomość z głową w tył odrzu-

coną, elegancko ubrany i uczesany starannie. — Ja tam w takie rzeczy nie wierzę. A co, że socjalisty, to dali Bóg, gałgany, albo i warjaty, to prawda. Ani się to umyje, ani ubierze przyzwoicie, włosiska te wiszą jak słoma wymłócona. Poprzyjeżdżali tu, dali Bóg w czerwonych koszulach z oczkurami, jak kacapy! To niby, że to robotniki i braterstwo narodów. To wstyd było człowiekowi przyznać się, że to mają być Polacy! Co to u nas, na Wołyniu: każdy dałby się był za tą Polskę w kawalki porąbać, choć to nie miało tej tam nauki uniwersyteckiej i tej różnej socjalnej mądrości. — To za to były chłopcy, jak dęby, choć obody gnij na nim. A to wyblakłe, wymokłe, z tego ich Marksa i Lassala, że żal się Boże! Teraz to niby przyzwoitsze wszystko, ale co im tam Polska. I słuchać tego nie chcą. A ot człowiek tak się stęsknił, że porzuciłby dom i rodzinę, i wrócił do tej ziemi, żeby kości tam złożyć przynajmniej...

— Patrzcie go! — zaśmiał się Kosa. — To taki patryjota, a Ptaśka po polsku mówić nie nauczył.

— A na co mu to? Proszę ja was! Żeby tak, jak ja tęsknił, ta i nie wiedział, gdzie się obrócić? Na co mu tej męki: niech sobie będzie Szwajcarem. Tu przynajmniej jest równość, nie tak, jak w Polsce, gdzie jeden przez drugiego się wynosi, że ten Kozłowski, a ten Baranowski, a jak który kondycji potrzebuje, to już on człowiek. Ta mój

ojciec u Sanguszki, księcia Romana, za stołem jadał, a ja to każdemu robotnikowi głowę strzygę i wasy golę, taj mi to nic. — Taki obywatel jak i sam prezydent konfederacji szwajcarskiej, Lachena, albo i nasz profesor Wielewski.

— Znasz pan Sztromfelda? — zapytano go w same ucho.

Ale na sali, zapelnionej już po brzegi, powstało zamieszanie; Kazia zbliżyła się do Leszcza i coś mu szepnęła, on się zerwał, obejrzał ku drzwiom, za nim obejrzelisi inni, pospieszył czegoś do Kosy, Kosa zerwał się także, panienki otoczyły Kazię.

— Z pewnością? — pytano ze wszech stron.

— Ależ na pewno szpieg: jechał ze mną z Wintowa do Wiednia. Jeszcze nim wyjechałam, mówił mi sędzia śledczy...

— Pan zapomniałeś przedstawić swego zaproszenia — mówił tymczasem Kosa do intruza.

— Ja nie otrzymałem żadnego zaproszenia. Myślałem, że posiedzenie jest publiczne.

— Pan się mylisz.

— To znaczy?

— Znaczy, że się pan wynos, pókiś cały.

— Więc to jest tajne posiedzenie? — pytał zuchwały szpicel.

— No, słyszysz pan? Czego jeszcze czekasz? — szeptał Kosa przez zaciśnięte zęby.

— No, wyjdę, wyjdę, nie taki już wielki honor...

Szpicel wyniósł się, odgrazając się głośno po rosyjsku. We drzwiach spotkał się z jakimś staruszką emigrantem, na którego widocznie czekano. Każdy zajął swe miejsce, wszystko ucichło, nastąpiło otwarcie obchodu.

Staruszek emigrant stał przed stolikiem wyprostowany i zgasłym, smutnym wzrokiem starca wodził długo po zgromadzonych.

— Ja — ozwał się wreszcie jakimś kwaśnym, niepewnym głosem — mam ten smutny przywilej, że jestem z was wszystkich najstarszy, i dla tego wybraliście mnie na przewodniczącego. Dziękuję wam, za ten zaszczyt, który się należy memu wiekowi, bo o zasługach się nie mówi. Robiło się, co należało, na równi ze wszystkimi, nie wynosząc się jeden nad drugiego, więc nad tem rozwodzić się nie będę. Ale jest co wspomnieć: ja byłem w rządzie narodowym, rozumie się, ostatniego powstania, ale i tamto pamiętam. Byłem już malcem lat dziesięciu, albo i więcej. Wkrótce trzy ćwierci wieku będę miał po za sobą. A w powstaniu 63-go roku byłem człowiekiem dojrzałym i jako taki, więcej wiedziałem i więcej robiłem, niż ktokolwiek inny, i mogę powiedzieć o sobie...

Tak zaczął i skończył hiedny starzec na sobie, dotknąwszy pobieżnie zaledwie historycznej strony powstania listopadowego. Ale skończył bardzo nieprędko: słuchacze znużyli się, ziewano trochę i oczy się kleiły.



Po staruszkę wystąpił Leszcz. Temat nie nadawał się nawet do jego rodzaju wymowy, ale podniecenie, płynące z innego źródła, niż patriotyczne, dało mu taką siłę wymowy i lotność umysłu, że przeszedł sam siebie. Cały ruch lat trzydziestych skreślił w obrazach, drgających życiem, pełnych, skończonych, oświetlonych właściwym jemu, jasnym, trzeźwym poglądem i zabarwionych ognistym temperamentem młodego mowcy.

Gdy skończył, posypały się rzęsiste oklaski. — A on szukał wśród tego tłumu jednej tylko pary oczu...

Znalazł: siedziała na ławce pod ścianą, naprzeciw miejsca, które poprzednio zajmował. — Wrócił więc na to miejsce, wzruszony do głębi jej widokiem.

Przy stoliku usiadł Rwański. Odczyt jego był wyjątkiem cennej, poważnej pracy, którą już drukować zaczął w specjalnem piśmie i która zjednała mu rozgłos wśród najpierwszych uczonych w Europie. Dla większości emigrantów był jednak niezrozumiały: nawet Kosie, który uwielbiał Rwańskiego, wydał się trochę za długim. Młodzież jednak słuchała i rozumiała go dobrze, a on do niej właśnie przemawiał.

Oficjalna część obchodu była skończoną. Przewodniczący zapytał jednak dla formy, czy kto jeszcze głos zabrać sobie życzy.

— Ja — ozwał się ów szlachcic nabożny, który był pod wyraźną opieką Matki Boskiej, i podążył z wielką powagą ku estradzie.

Tu chrząknął, węża podkręcił, głowę w tył odrzucił i ozwał się z wielkim patosem:

— „Panowie! Bracia! Rodacy! Nie smućmy się, bo oto koniec niedoli jest blizki. Bóg ulitował się łez naszych i skinął wszechmocną prawicą. I obrócił nieprzyjacioły nasze przeciwko sobie, aby się wzajem, podobnie bestjom dzikim, pożarły! Tułacze! bracia w Polsce, ty ukrzyżowany przez ludy Chrystusie! Oto się zbliża rok wyzwolenia, przepowiedziany przez wieszczów narodu. Za lat cztery już tylko, panowie! Bitwa nad Oką czy Kamą, uwolni świat od wschodniego mocarza!“

„Bracia rodacy! Czarne chmury się gromadzą! Trąbka archaniola zagrzmi! piorun trzaśnie i Polska z grobu powstanie!“

W sali słyhać było tłumione śmiechy, nareszcie golarz z Wołynia parsknął na cały głos:

— A niechże cię kaczkę zdepczą z twoimi trąbami! Może tam co i trzaśnie, bo to się przytrafia, ale żeby z tego aż Polska powstała, to już wiesz...

— Cicho! — trącił go zdesperowany Kosa.

Nikt więcej głosu nie zabierał. Zaszumiało na sali, krzesła się posuwały, tupwały nogi, rozlegały się wykrzykniki i śmiechy.

Mistyczny mówca dowodził coś o Wernyhorze i pannie Lenormand, szewc-socjalista krzyczał, że to żaden „Pambóg“ gromy sprowadza, golarz wykrzykiwał na „arystokrację“, kapitan rozwodził

się o nietrwałości franko-rosyjskiego przymierza, antysemita walił gromy na żydów, popielata figurka chodziła od jednego do drugiego, pytając o Sztromfelda.

Wśród tego hałasu Kosa rozkładał nuty, otwierał pianino, zapalał świece, przysuwał, wynosił, ustawiał: przygotowywał artystyczną część obchodu. Gdy wszystko załatwił, zadzwonił i przewodniczący dał głos obywatelce Kołowicz.

Heła szła pewnym krokiem, niby do egzaminu, którego się nie boi. Stała na estradzie chuda, wysoka, blada od elektrycznego światła, z błyszczącymi gorączkowo oczyma, z tem spojrzeniem szukającym czegoś w nieokreślonej dali, wyglądała rzeczywiście jak z grobu powstała.

— Masz pan twojom Polskem z tromny! Zauważył na głos szewc socjalista ostatniemu mowcy, wskazując na Hełę.

Heła zmrużyła powieki na chwilę i zaczęła: deklamowała zupełnie dobrze, głośno, bez przesady i niemonotonnie, głos miała niski, dźwięczny.

Oczy jej błędziły po zgromadzeniu, nie rozróżniając zrazu nikogo. Nareszcie przemknęły po Marusi i Kosie: siedzieli obok siebie, coś szeptali spoglądając na nią.

Widok tej pary zrobił jej przyjemność, ale nie przeszkodził mówić dalej. Przechodziła wzrokiem od miejsc oddalonych ku pierwszym rzędom krzeseł. Wtem ujrzała coś tak dla siebie niespo

wanego, że utknęła w połowie wiersza: były to oczy Rwańskiej, patrzące wyrazem, jakiego u niej nigdy nie widziała. Coś było tak wymownego w tem spojrzeniu, jakby się weń cała dusza kobiety przelała z bezmiarem serca i głębią rozumu.

— „Do kogo ona przemawia“? przemknęło w głowie Heli, i nie przestając deklamować powiodła oczyma w kierunku tego dziwnego wzroku, i spotkała czarne, głębokie źrenice Leszcza utkwione z dziką jakąś boleścią w twarzy Kamili

Cały dramat tych dwojga, błysnął przed wzrokiem jej duszy. Utknęła znowu w swej deklamacji, opamiętała się jednak zaraz i mówiła znów machinalnie, nadając bezwiednie słowom poezji właściwą intonację i siłę. Ale nie umiała opanować swej myśli i oczu. Przeniosła je na spokojną, pełną dobroci twarz Rwańskiego i żal dotkliwy, bolesny prawie, jak fizyczne cierpienie, ścisnął na ten widok serce dziewczyny. Myśl jej zaczęła się plątać z wierszem, który mówiła, aż nareszcie doszedłszy do słów: „Strasznym jest rapsodu końcem“... stanęła nad zapytaniem, jak się dramat tych trojga zakończy. I wiersz uleciał z jej głowy, gdzieś skrył się w głębi zwojów mózgowych i już go nie mogła odszukać. Umilkła.

— „Owo sykanie“... „Owo sykanie“... podpowiadał, kto umiał.

Ale ona już nie słyszała. Widziała straszne szarpanie, całą torturę duszy Kamili, boleść Rwańskiego, całą tragedję wzniosłych serc w podmu-

chu niszczących burz namiętności. Jednocześnie przed oczyma jej duszy rysował się coraz wyraźniej obraz gdzieś, kiedyś widziany: potężne drzewa kołysały się gwałtownie, zginały swe szczyty boleśnie i wyciągały w rozpacz ramiona, jakby ratunku wołały, albo zmiłowania u burzy błagały. Obraz zaczął się w słowa układać, ubierać w miarę i rymy.

— „Owo sykanie“... krzyknęła jej nad samem uchem Rwańska, stanąwszy na estradzie za jej plecami.

— „Owo sykanie, co się w grobach słyszy“... podchwyciła Hela bezwiednie i już mówiła do końca, jak lunatyczka, nie wiedząc gdzie jest i co robi. Skończywszy, wróciła na swoje miejsce i aż tu się ocknęła. Wyciągnęła swój tytuń z kieszeni i coprędzej skrzyła papierosa.

Po Heli deklamowały inne panie; podolanka z płamą prawosławia na uczciwem polskiem nazwisku, wystąpiła z czemś całkiem dla słuchaczy nowem a tak dramatycznym, że starym w oczach łyzy zabłysły; córka profesora Wieliskiego, piękna, jak marzenie, śpiewała jak skończona artystka; polonez Bartskiej wzruszył do głębi serca zarówno mistyków, antysemitów jak i demokratów, polityków i socjalistów 1863 roku. „Legenda“ Wieniawskiego przeszła bez szwanku przez najwyższe nuty; Liszt, Bethoven, Mozart i Szopen wywołali burzę oklasków. Program już był wyczerpany, ale jakoś nikt do domu nie spieszył. Wówczas

Blinowska, na prośbę Kosy zaintonowała na fortepianie: „Jeszcze Polska nie zginęła“... i za chwilę sformował się chór, nie tyle zgodny, co przejęty gorącym uczuciem i wiarą.

Kosa był szczęśliwy, i jakby go kto na sto koni wysadził; wywijał rękami, tupał w takt nogą, łzy mu w oczach błyszczały, jakby ta Polska była już naprawdę wolną, jakby ją ten chór z grobu wywołał. Czuł zacny Kosa, że nie zginie ona, dopóki każdy Polak tak będzie ją kochał, jak on.

Wieczór dzisiejszy był dlań nad wyraz radośny. Obchód mu się udał. To, że obywatel Zabyłski wyrwał się z trąbą Archaniola i że Hela ugrzęzła w posrodku zdania, było małością. Nastroj ogólny był taki, jakiego pragnął zacny obywatel; każdy z żalem opuszczał tę salę, która była mu Polską przez chwilę, mówiła mu o młodocianych uniesieniach, o ofiarach, zawodach i o utajonej naprzekór wszelkiej oczywistości, a zrosłej z istotą każdego wiersza w daleką wygraną.

---

Młodzież uniwersytecka wszelkich narodowości zamieszkiwała przeważnie przedmieście *Plain-Palais*. Miała tu w pobliżu uniwersytet, szkołę chemiczną, medyczną, szpitale i kliniki.

Wracając z pod Krokodyla wszystkie studentki wraz z Rwańskimi, Leszczem i Kosą defilowały przed kawiarnią Landolta, umieszczoną bardzo szczęśliwie dla jej właściciela, tuż koło uniwersy-



tetu, naprzeciw bramy pięknego ogrodu Bastions. Nie brakło mu nigdy gości:

Szwajcarowie idąc gromadnie lub płynąc w niedzielę całemi falami za miasto w stronę Salw'u, zachodzili tu na wyborne monachijskie piwo; wracając zachodzili tu znowu; spacerujący w ogrodzie chronili się tam przed częstym w Genewie przelotnym deszczem, a głównie przesiadywali u Landolta, studenci. Korporacje miały tu miejsca zborne, zdobne korporacyjnymi znakami malowanymi na szybach lub ścianach; Bułgarowie spędzali całe dnie, grając w kości i pijąc na kredyt; Polacy i Rosjanie zaglądali także, trzeba im przyznać, że nie często i nie na długo.

Obywatel Kosa, zawsze rad pogadać z rodakiem, zaglądał zazwyczaj przez szyby do wnętrza kawiarni, i jeśli zoczył którego, wchodził, by wypić z nim razem.

Przechodząc tego wieczora wraz z Marusią i Helą, zajrzał przez okno bez żadnej myśli, wprost z przyzwyczajenia.

— Przepraszam panie! ozwał się do nich wzruszony. Niech panie idą z koleżanką Zajdel i Bartską, a ja tu zajdę z Leszczem.

— Leszczu! Leszczu! rybo, z ognistą wymową! czekajcie! wołał, goniąc za kolegą, asystującym Kamili i Kazi. — Chodźcie! Ależ chodźcie u licha!

A widząc, że ten ani myśli zawracać, pobiegł ku niemu i przemocą prawie do kawiarni zaciągnął.

Przy jednym stoliku w rogu siedział wyrzucony z obchodu szpieg, z owym biedakiem, co zwywał imienia Klaudji nadaremno; drugi stół tuż obok był wolny. Kosa z Leszczem usiedli zaraz przy nim i kazali podać po kuflu „monachijskiego“.

Szpicel raz wraz popatrywał na przybyłych; oni nie spojrzeli nawet w jego stronę. Szpieg zaczął się niepokoić, kręcił się na krześle, wreszcie bąknął coś do towarzysza, nie całkiem zrozumiałe. Widząc, że to nie wzrusza tych panów, rzucił już nieco głośniejszy wyraz rosyjski, niepochlebny wcale.

Nasi nie poruszyli się nawet. To rozzuchwiliło szpiega.

— Polacy, wszystko kanalje! ozwał się głośno zupełnie.

Jeden z Bułgarów usłyszawszy zrozumiałą dla nich mowę rosyjską, zbliżył się do ściany, pod którą toczyła się ta scena. Za nim, przybył drugi i trzeci, uformowało się całe półkole Słowian, za nimi stanęli zaciekawieni Helweci.

— Boją się! Myślisz, że nie rozumieją? gdzie-tam! — Zwrócił się Moskal do towarzysza. — Patrz! nie śmiaj spojrzeć w naszą stronę! Tchórze! Waleczny naród! Zapomnieli swoje „njepozwalam“, gdyśmy im gębę zakleili po rusku.

To u nich taka natura: bij ich tylko po pysku, to będą ci pokorni, jak „baranki“, zakończył po polsku.

Leszcz zaczął popatrywać złowrogo, szklanka zadrżała mu w ręku, ale go Kosa hamował. Wreszcie dopili swe kufle, Kosa zapłacił garsona i bez słowa udali się ku drzwiom.

Tu pokazała się natura rosyjska: Moskale wstali i wyszli za nimi, wśród rżących śmiechów Bułgarji. Omylili się jednak w rachubie: panowie nasi, jak ów Rawenswóód Walterscotta, czekali tylko pory; nie mogli wszczynać bójki w kawiarni, hoby ich wyrzucono, zresztą Kosa nie był pewny braci Słowian, gapiących się bezmyślnie w koło nich. Mogli być równie dobrze rusofilami jak stambulowczykami, wrogami Rosji. Wolał zatem wywlec przedstawicieli wielkiej nacji trochę dalej od oczu ludzkich. Szedł wraz z Leszczem ku bramie ogrodu; za nimi, nie przestając głośno urągać, postępowal szpicel wraz z adoratorem Klaudji.

— Teraz! zakomenderował Kosa, gdy znaleźli się na środku niewielkiego placu między kawiarnią i ogrodem, i w tejże sekundzie już trzymał szpiega pod samą szyją za pelerynę, a drugą ręką okładał mu twarz ciężkimi, głośnymi policzkami.

— Ależ panie.... Ja bardzo proszę...., nie chciałem.... ależ przepraszam! wołał operowany w ten sposób, wydzierając się gwałtownie.

Kosa ani myślał o przebaczeniu; walił co się zmieści, jak to mówią, nie patrząc gdzie.

Leszcz obrabiał tymczasem drugiego towarzysza: widząc, że ma do czynienia ze słuszniejszym od siebie, zaatakował go odrazu laską po głowie,

a wbiwszy mu w ten sposób kapelusz na oczy, walił go kijem po gębie i uszach.

Napadnięty nie bronił się prawie, cofał się tylko, usiłując zdjąć z oczu kapelusz, który mu wroga zasłaniał, ale kij Leszcza opadał ciężko na długie ramiona i nie dopuszczał ich do głowy.

Przeciwnik Kosy cofał się także, spodziewając się może pomocy, jednocześnie usiłował podnieść na Kosę swą laskę, ale ten pochwyił w garść cienki jej koniec, a puściwszy pelerynę jął go okładać z drugiej strony, nie dając mu czasu oprzytomnieć.

Tak cofając się, znaleźli się znowu pod oszkloną werandą kawiarni. Tu szpieg prowokator zdołał wreszcie wyrwać laskę z rąk Kosy i zamachnął się w tył, by tem silniej przeciwnika uderzyć. Szyba kawiarni brzęknęła żałościwie, kawał tafli wpadł do budynku, przywalając zlekłych konsumentów, drobne szkiełka osypały się na głowę i szyję moskala.

Co tylko było w kawiarni, wybiegło na trotoar. Szwajcary otoczyli walczących półkolem, z za pleców ich poglądali gapiowato bracia Słowianie.

Przeciwnik Leszcza, oswobodził się wreszcie od zakrywającego mu świat kapelusza i z jakimś nieludzkim rykiem rzucił się na swego napastnika.

Ale poczciwi Helweci nie lubią podobnych widowisk. Jeden z widzów, ogromny berneńczyk o ramionach, jak skrzydła wiatraka, chwycił za kolnierz moskala i pociągnął go silnie ku sobie, drugi

biegł ubezwładnić Leszcza. Nie potrzebował jednak się trudzić, gdyż Kosa zawołał nań w tej chwili:

— Dosyc. Z oddali slychać bylo gwizdanie grubych wspanialych stróżów bezpieczenstwa, którzy zbliżali się wolno i powaznie, w zacnej intencji, by dać rozejść się wojującym stronom bez ich niepożadanego wmięszania. Gdy wstąpili z bajeczną powagą w obliczach i postaciach na plac boju, zastali wysokiego moskala szamoczącego się gwałtownie z potężnym berneńczykiem i szpicla bez żadnej potrzeby zresztą, trzymanego za obie ręce. Zaprowadzono ich do rządowego budynku, z wszelkimi honorami. Kosa i Leszcz oddalali się z pośpiechem od pobojuwiska, gdzie pozostały tylko kapelusz i peleryna z wyrwaną sprzączką.

---

W parę dni po tem, obywatel Kosa zadzwonił gwałtownie do mieszkania Rwańskich. Gdy mu służąca otworzyła, nie rozbierając się, zapomniawszy nawet zapukać, wpadł do salonu Kamili.

Było tam kilka osób, między innymi Kazia i Rozalka, był i Leszcz. Rwańska spraszala koleżanki do siebie, nie chcąc pozostawac sam na sam z człowiekiem, który ją calą, na jej nieszczęście pochlonął.

— Jest Leszcz? — spytał Kosa zdyszany. — Przepraszam panią! tu ucalował rączkę Kamili. Moje uszanowanie paniom, zwrócił się do studentek. Leszczu! Zgadnijcie, z kim rozmawiałem przed

chwilą! No, nie zgadniecie, to pewna: z tym mochem, któregoście po głowie walili!

— Cóż znów! żartujecie Koso — ozwała się niedowierzająco Kamila.

— Ja sam myślałem, że to żarty. Idę przez place des Philosophes, patrzę, naprzeciw mnie lezie to bydlę, — przeproszam panie za słowo. Ja mu wymijam z drogi, bo wiecznie przecie bić się nie możemy, a on zdejmuje kapelusz... myślałem, że komu innemu się kłania; aż zbliża się do mnie i mówi mi po francuzku, że chce mnie za coś przeprosić.

— Mój panie, ja się wcale nie gniewam! — mówię mu. — A on mnie zaczyna upewniać, jakoby nic nie wiedział, co to za zacz ów drugi i że dopiero z badań tutejszej policji przekonał się, z kim miał do czynienia.

— Przeproszał, powiadacie! zaśmiał się Leszcz z przymusem. No, to niby nie on powinien był pierwszy przeproszać! To paradne!

— Widzicie — zauważyła Kamila — która od pewnego czasu rada była w każdym jakąś lepszą stronę dopatrzeć. Przeprasza, że bronił przeciwko wam człowieka niegodziwego: to jednak ładnie z jego strony.

— Poczekajcie! przeproszam panią! — zwrócił się do niej obywatel Kosa. — Nie koniec na tem: powiedział mi, że tamten kupił sobie rewolwer i ma nas obu zastrzelić. Ja mu powiedziałem: a to niech spróbuje. No, i przyszedłem was uprzedzić, Leszczu.



Panie poblady na te słowa. Kamila spojrzała na Leszcza. On ani mrugnął.

— Niech strzela! i owszem! — rzucił z nieudaną obojętnością. — Kilka tych dni, w ciągu których nie mógł ani na chwilę pomówić sam na sam z ukochaną, były dla niego torturą. Myśl o możliwej śmierci nie wydała mu się przykrą w tej chwili.

Kazia zaczęła mu z wielką żywością dowodzić, że śmierć z ręki szpicla, to niewielka zasługa i że powinien coprędzej wracać do Berna, inne koleżanki ją popierały. Rwański był także tego zdania, że narażać życie dla pokazania tylko, że się nie boi, to żadna zasługa. Leszcz jednak obstawał przy swoim:

— Nie będę przed jego groźbami z miasta uciekał! Zastrzeli, to się w niebie dziura nie zrobi. Ja nie mam nikogo na świecie. Krzywdy to nikomu nie przyniesie. Śmiał się bardzo swobodnie, poweselał nawet na twarzy, a widząc, że Kosa chce odejść, pożegnał towarzystwo wesoło, zapraszając serdecznie na pogrzeb i obiecując wspaniałą stypę. No! dowidzenia! Idę spisać testament! — Wołał jeszcze od progu. — Koso! co chcecie, żebym wam zapisał?

Panie w salonie siedziały zdrętwiałe z przerażenia, zdziwiła ich brawura tego człowieka.

Kamila tylko rozumiała go całkowicie i chcąc się gości pozbyć, zaczęła się skarżyć na migrenę.

Kazia roiała, biedaczka, że to on przez nią żyć nie chce: w duszy jej zapadło postanowienie, roz-

mówić się z Leszczem otwarcie i wyznać mu swe uczucie. Pożegnała pierwsza gospodarzy, za jej przykładem wyniosły się inne studentki, Rwański powrócił do swej pracy, Kamila pozostała sama z niewesołemi myślami:

„Jeżeli on ma być mojem cierpieniem, jeżeli sam cierpieć musi, po co obstawać przy życiu? Jego zabiją, a ja... — umrę!“ „Cóż to jest? czyż ja już zaszłam tak daleko?“... „Andrzejowi zrobiłabym większą krzywdę, odbierając sobie życie, niż gdybym“... „Precz z tą myślą! co się ze mną dzieje?“... „Niewolno umierać! Trzeba znieść to życie, i nie ugiąć się, gdy zacięży! Nie mnie jednej ciężko na świecie: ja jeszcze jestem od miljona innych szczęśliwsza!“ „Przynajmniej on mnie kocha“... „Tak, ale mogę zabić go! To okropność! Tego nie wytrzymam: zwaruję!“ „On musi jechać. Zażądam tylko i usłucha“. „Wszystko zostanie po dawnemu, pusto i smutno i tak już aż do śmierci!“ Teraz ona pragnęła umrzeć z kolei. „Po co cierpieć? Kiedy można umrzeć. Można nawet“... Kamila jeszcze raz ze zgrozą i wstrętem odepchnęła myśl opuszczenia Rwańskiego.

---

Nazajutrz Leszcz zastał Kamilę samą w salonie. Od kilku dni marzył dniem i nocą o tej chwili. Miał się jej do nóg rzucić, miał ją schwycić w objęcia, unieść, porwać i zmusić do wyznania mu swej miłości, przed czem cofało się jej poczucie honoru czy szlachetności. I oto teraz stanął przed

nią, jak żak i słowa nie mógł przemówić. Patrzał w jej twarz pełną spokoju i niewysłowionego smutku, w te oczy anielskiej słodyczy i rozplynął się zuchwały zamiar w uczuciu litości i żalu.

— Wyjedźcie Leszczu dziś jeszcze. — Błagała go smutnym, cichym głosem.

Chciał się zbuntować, chciał się do nóg jej rzucić, prosić o litość dla siebie i dla niej — i nie mógł. Zbyt dobrze ją rozumiał: ona nie zdradzi Rwańskiego. Jeżeli on słówko wyrzeknie, nie usłyszy już nigdy jej głosu, nigdy jej już nie przywita ani pożegna. Dwie wielkie łzy zabłysły w czarnych źrenicach mężczyzny i spłynęły po bladych policzkach. Mężkie łzy! nie tak nie wzrusza kobiety, jak łza na mężkiem obliczu.

Kamila walczyła przez chwilę, chciała mu się rzucić w objęcia, wyznać swą miłość i błagać, by się oddalił na zawsze. Powstrzymała się; oczy spuściła na końce cienkich paluszków i powiedziała miękko, jak dziecko:

— A więc jedziecie? — Dziękuję wam. — Wiem, że robicie to dla mnie i jestem wam wdzięczną za to. Zostańcie u nas do pociągu. Odprowadzimy was na kolej. Cóż, nie strzelano do was? -- spytała całkiem swobodnie.

— Zabito bez strzału, wydobył ze ścieśnionego gardła.

— Nie mówcie tego! — prosiła wznosząc nań smutne spojrzenie: człowiek może znieść bardzo

wiele: więcej, niż przypuszcza; więc póki ma siły, niech znosi!

— Czy paproć naprawdę nigdy nie kwitnie? — spytał ją, chcąc przypomnieć scenę pierwszego rozstania, a zarazem z odpowiedzi wysnuć cień jakiejś nadziei.

— Nie; w bajce tylko.

W tej chwili zadzwoniono, koleżanki zaproszone na tę godzinę poczęły zapelniać salonik swej koryfeuszki. W parę godzin potem liczne grono odprowadzało bohaterskiego Leszcza do dworca kolei: wesoło było, żartowano, wspomniano przygodę ze szpiclem, śmiano się w najlepsze i nikt nie przypuszczał, że dwa serca krwawią się w tej chwili, pokrywając swe rany uśmiechem.

Kazia nie cierpiała z powodu wyjazdu Leszcza, przeciwnie, nabrała nowej otuchy. Był dla niej cały ten czas nadzwyczaj serdeczny, nawet nadskakujący, wkońcu prosił ją, by czasem napisała do niego, co się też dzieje w Genewie. Nadzieja odżyła w jej sercu. Będzie mu pisała o sobie, o tem, że Karola nie kocha, wreszcie on domyśli się prawdy i... wyzna jej swą miłość. Wydało się jej to naturalnem i prostem. Powróciwszy do domu zaczęła natychmiast układać list do ukochanego. Do zjazdu przygotowuje sobie pożądane rozwiązanie. „Za parę tygodni! To już nie długo“ — powtarzała sobie wesoło.

Długim wydał się czas ten dla biednej Kamili. Zrazu nie myślała, że tak jej będzie niezmiernie ciężko bez „niego“. „Tak być musi: jestem, jakby skazana na dożywotnie więzienie; nie mogę wyjść na słońce, więc nie będę o tem marzyła. Zacznę się uczyć czegoś nowego, to odwróci moją myśl od... od Leszcza“. Zaczęła znów na kursa uczęszczać. Ale to nie pomogło: nie słyszała nawet słów profesora, tylko pod wpływem jego nieustającej mowy wpadała w stan gorączkowego marzenia, a treścią tych marzeń był Leszcz, od którego schroniła się na ławki audytorjum. Widziała twarz jego posępną, ogniste czarne oczy, słyszała głos, taki, jaki miał tylko dla niej, głęboki, tłumiony namięttem, bojącem się wybuchnąć uczuciem. Ogarniało ją rozkoszne omdlenie, pragnienie pieścizot jakichś bolesnych, szalonych, strasznych. Chciała mu się oddać na pastwę, czuła ból zmysłowego szalu rozkoszy. Wychodziła z wykładu odurzona obrazami rozszalałej swej wyobraźni. Na ulicy opamiętywała się, zadając gwałt namięttnym myślom. Wracała do rzeczywistości, do swego więzienia. Zaczęła dbać o swój dom, a raczej krzątać się w nim bardzo ruchliwie. Ścierała co chwila kurze, polewała doniczki, wychodziła na targ, wprowadzała do obiadów polskie potrawy, sama pilnowała ich przygotowania i starała się koniecznie jeść, co ugotowała. Po obiedzie wychodziła do czytelnicy, czytała skrupulatnie dzienniki i nowe książki i nic, nic nie pomagało! Wszędzie szła za nią giętka po-



stać młodzieńca, wszędzie patrzyły na nią posepne oczy. Przebiegała gorączkowo kartki, nie rozumiejąc co czyta, wkońcu odkładała książkę zmęczona i zaczynała marzyć. Ale jej to nie wystarczało: ogarniał ją potem niepokój, jakiś stan przykry do nieopisania; chciałaby płakać, rwać odzież na sobie, krzyczeć i uciekać, uciekać gdzieś, gdzie nie ma prócz jej własnej, szalonej miłości! Zrywała się i wychodziła na miasto. Czegoś szukała, oglądała wystawy książek, przypatrywała się brylantom, zegarkom, haftom i fatalaszkom szwajcarskiego przemysłu. Robiła to bez celu i myśli, byle oderwać się od palącej ją nawskrós namiętności. Wracała do domu zmęczona fizycznie i uspokojona nerwowo, zapalała gazową lampę i zabierała się cierpliwa, zrezygnowana do igły. Naprawiała spokojnie bieliznę Rwańskiego i cerowała dla siebie pończochy. Wypoczynek jej nie trwał długo. Wspomnienia napływały do pochylonej nad szyciem główki i szarpały zrospaczone serce: o tej godzinie przychodził, tu siedział i patrzył na nią, tu uszczknął listek paproci... Oglądała sterczącą łodygę urwanej gałązki. „Tak, to wszystko było! nie śni, choć to już minęło, jak sen; na zawsze... Bo paproć nigdy nie kwitnie! Ostatnie jego słowa brzmiały jej w uszach i spływały aż do serca, pytając, czy jest jeszcze dla niej szczęście“. Mówiła sobie całą siłą swej woli, że nie, że jest tylko błogie i bolesne zarazem wspomnienie. Jest jeszcze zjazd! buntowało się biedne serce: jeszcze go zo-



haczy, jeszcze spojrzą sobie do głębi duszy i powiedzą sobie wszystko bez słowa, by się raz jeszcze rozstać i cierpieć samotnie.

Rwański obciążony, jak zawsze pracą, nie wiedział ani się domyślał, co się dzieje z najdroższą mu istotą. Była dlań zawsze anielsko dobra, nie uchylała się od wieczornego spaceru, rozmawiała z nim chętnie i długo, starała się rozerwać go i uprzyjemnić wypoczynek jak mogła i umiała, jakby chcąc mu wynagrodzić stratę serca, której się nawet nie domyślał. Wróciwszy obsypywała go pieczytami, całowała po rękach, tuliła się w jego ramiona. Rwański nigdy jeszcze nie był tak zupełnie, tak bezbrzeżnie szczęśliwy. Nie wiedział, jak wyrazić jej swą wdzięczność, jak odplacić za to przywiązanie, wylewające się nań bez żadnych granic, z całym oddaniem gorącego uczucia.

A Kamili pozostawała potem cichość, nuda i zniechęcenie, a sen odbiegał przez długie, czarne nocy godziny. Buntowało się w niej wszystko, na myśl, że to już zawsze tak będzie, że już nie zazna nigdy, nigdy w życiu, tego, co tylko prawdziwa miłość dać może, czego pragnęła tak boleśnie, co przeczuwała rozbudzonym późno, ale tem gwałtowniejszym instynktem. Myśl wyznania wszystkiego mężowi przychodziła jej coraz częściej do głowy. Nie mogła się na to zdobyć: wyobrażała sobie twarz biedaka wykrzywioną cierpieniem, przerażenie, rozpacz tego człowieka, oddanego jej tak najzupełniej

i nie miała odwagi zadać mu podobnego ciosu, jak nie miałyby odwagi pchnąć go sztyletem.

Życie w ciągłym szarpaniu i kłamstwie stawało się dla niej męką nie do zniesienia. W zamian za to dzień każdy zbliżał ją do zjazdu: za dwa tygodnie już go ujrzy i napoi znów stęsknione serce okrutną a rokoszną trucizną.

Kazia utrzymywała z Leszczem ożywioną korespondencję: było wszystkiego po trochu w tych listach, głównie jednak nowinki o znajomych: Zajdlówna złożyła doktorat i wzięła ślub z długoletnim narzeczoną, umarł obywatel mistyk, córka profesora Wieliskiego robi niesłychaną partję, Rwańska uczęszcza na kursa nauk społecznych, ona zaś Kazia, trochę się nudzi a trochę martwi.

W dalszych listach wyznawała powód swojego zmartwienia: „Dowiedziała się“, że dwoje z rodzeństwa narzeczonego cierpią na pomieszanie zmysłów i zatrwożyło ją to, a nawet odrobinę zachwiało... Potem już śmieiej wyznała, że familijna choroba Dramowskich nie stanowiłaby dla niej przeszkody, gdyby się w nim bez pamięci kochała, ale na nie-szczęście, a może na szczęście właśnie, dzieje się inaczej. Napomknęła nawet, że są tacy, którzy się więcej podobają: gdyby np. Karol miał obejście Rwańskiego, byłoby to dla niej nierównie przyjemniej. To ostatnie zdanie dodała w obawie, że list jej zanadto do oświadczyn wyzywa.

Leszcz nie zwlekał z odpowiedziami: każda wieść z Genewy była dlań nadzwyczaj pożądaną. Spodziewał się choćby lekkiej wzmianki o Kamili i gorączkowo wyczekiwał listów pocziwej Kazi. Przypuszczał nawet, że odgadywała tajemnicę jego miłości i z wrodzonym kobietom współczuciem osładzała mu dobrowolne wygnanie. Gdy wspomniała o sympatji dla Rwańskiego, zrozumiał ją najopaczniej w świecie: sądził, że Kazia nie byłaby od tego, w razie niewierności Kamili, by jej pocziwego męża pocieszyć. Pisywał więc do dziewczyny serdecznie, po przyjacielsku, wahanie jej wobec familijnej waryacji, w rodzinie Karola uważał za całkiem zrozumiałe, zaznaczał tylko, że nie jego jest rolą, mówić z nią o tej sprawie, że to jest rzecz osobista między nią i Karolem.

Kazia wzięła to znów w sensie jaknajbardziej pożądanym. Leszcz chciał, by z Karolem zerwała bez wmięszania się w tę rzecz jego, jako interesowanej osoby.

Tak rosło nieporozumienie między dwojgiem ludzi, gdy każde z nich przypuszczało, że się doskonale rozumieją. Tymczasem zjazd był tuż tuż, za parę dni mieli się zobaczyć.

Miał się odbyć w Zurychu. Wszystkie panny z Genewy, Rwańscy i obywatel Kosa kupili wspólny bilet i zajęli całą gromadą wagon trzeciej klasy. Wszyscy jechali radośnie, ożywieni, podnieceni, nawet wedle możliwości i środków poubierani wytwornie. Hela uszyła dla Blinowskiej nową bluzkę, ku-

piła formę kapelusza, którą ubrała kawałami aksamitnego stanika, pamiętającego jeszcze dawno za-  
możność ubogiej studentki, sprawiła jej za dwa  
franki kołnierz z farbowanego na czarno królika.  
Oprócz tego wmówiła kochanej przyjaciółce, że  
nałożyć odrobinę różu na policzek i przysypać twarz  
pudrem, to nie jest żaden występki, że robią to ład-  
niejsze i nawet bardzo nieraz ładne kobiety i nie  
tracą na tem w niczyich oczach, dla czegożby więc  
ona, co ma nie dość ładną cerę, nie miała sobie  
na taki niewinny fortel pozwolić.

— Czy myślisz, że te wszystkie, świeże, jak  
krew z mlekiem genewianki nie malują się po sa-  
me oczy? — uspakajała wzbraniającą się Marusię;  
albo i studentki: wprawdzie nie tak już wyraźnie  
i nie wszystkie, ale na zjazd, do chłopców, to so-  
bie dodadzą z pewnością, czego której braknie.  
I dobrze zrobią: cel uświęca środki. Ty jedna, dla  
tego właśnie, żeś najbrzydsza, masz się wyrzekać  
wszelkich szans podobania się? Głupia jesteś, Ma-  
rusio, a to jeszcze gorzej, niż być brzydką. Zre-  
szta wiesz co, przysięgam ci na wszystko, bo wi-  
działam na własne oczy, nie mówię z domysłu,  
jak mi wiecznie zarzucasz: jeden z delegatów na  
przeszłorocznym zjeździe malował sobie usta róż-  
ową pomadką. Stał w oknie z kieszonkowym lu-  
sterkiem w ręku i mizdrzył się do siebie, wysu-  
wając naprzód naróżowaną jak wiśnia buzię.

Dzięki takim argumentom, Blinowska wyglą-  
dała, jak sama przyznała: całkiem przyzwoicie, to

jest nie razila brzydota. Dobry humor z tego powodu dokonal reszty: nie byla szpetna.

Heli zalezalo na tem ogromnie. Ona ukończyła juz studja i wracała przez Zurych do kraju. Chciala zostawic przyjaciółkę zaręczoną. W tym celu zostawiała „młodych“ jak najczęściej sam na sam, wysyłała ich na spacer, dopomagała czem mogła do wzajemnego zbliżenia, formalnych jednak oświadczeń nie doczekała się dotąd. Liczyła na zjazd: Kosa, wobec tylu ładnych chłopców będzie przez wszystkie koleżanki odpalony, pozostanie mu tylko Blinnek i będzie musiał go zjeść, a że nic na tem nie straci, tego była najzupełniej pewną.

Zacny Kosa wśród tylu panien rozbawił się jak żak. Każdej prawil komplementy, przekomarzał się, oświadczał, żartował, udawał srodze zakochanego, popatrywał błagalnie, to znów wmawiał, że się wszystkie razem w nim kochają i nie wie sam, którą wybrać, czuł jednak, że wziąłby każdą z pocałowaniem ręki, za to, że jest polką, w stosunku do niego młodą i w dodatku kobietą z „wyższem wykształceniem“. To ostatnie imponowało mu bardzo. „Uniwersytecka kobieta! To jednak nie byle co! niech się schowa najświetniejsza hrabina ze swojemi salonami i francuzkim akcentem. W porównaniu z temi jest gęś i basta!“ Emablował je z całej siły i czas upływał mu wesoło. Ale w Bernie, w chwili, gdy pociąg miał już stacją opuszczać, drzwi wagonu otworzyły się z łoskotem i pojawił się Leszcz.



Koleżanki witały go z takim zapalem, że biedny Kosa zrozumiał jaką robią między nimi różnicę. Zapal koleżanek zmienił się wkrótce w zdziwienie. Nie był to już ten sam Leszcz, swobodny, dowcipny i zadowolony. Zmienił się niesłychanie. Błady był, wychudł, miał w oczach obojętność człowieka zblazowanego, lekko drwiący uśmiech na ustach i wzdłuż policzków podłużne dołki, które nadawały mu wyraz trochę szatański. Tak przynajmniej utrzymują panny i przepadają za takimi. Dołki owe i cały wygląd Leszcza nie sprawiły najmniejszej przyjemności Kamilli. Ona wiedziała co znaczy taki wyraz: Leszcz musiał topić swoją miłość w sposób ogólnie praktykowany przez mężczyzn. Zdało się biednej kobiecie, że ją naprawdę utopił, że nie pozostało już dla niej ani śladu tego uczucia, którem żyła przez długie okrutne tygodnie.

Leszcz przywitał ją bardzo naturalnie, spojrzal obojętnie, zamienił parę nieznaczących słówek, rozmawiał z Rwańskim i Kosą, potem przysiadł się do panien. Słyszała, jak żartował swobodnie, za swobodnie nawet, napomknął Kazi o ostatnim jej liście...

Kamila nie wiedziała o tem, że oni pisywali do siebie. Zazdrość nią szarpnęła i wpiła się w zboleiałe serce, które tak długo żyło szalonym złudzeniem wyjątkowej, wyłącznej, potężnej miłości tego człowieka. Oto stał się dla niej stokroć jeszcze pożądańszy, pomimo zmiany wyrazu, pomimo wy-



rażnej obojętności, której nie udawał nawet w tej chwili. Nie dlatego, żeby przestał ją kochać, ale że robił co mógł w Bernie, by się znieczulić, składając ciężkim kwadratowym bernenkom holdy jaknajmniej platoniczne.

Leszcz, pod wpływem listów Kazi, doszedł do postanowienia: „weźmie Kamilę, zmusi ją do opuszczenia Rwańskiego, do oddania się jemu bez podziału“. Rozumiał, że nie zapanuje nad tą kobietą inaczej, tylko znieczuliwszy się wprzód na straszny czar, który nań wywierała. Kosztowała go ta kuracja. Za to stał teraz przed nią obojętny na spojrzenie pełne wyrzutu, potem wzgardy i chłodu.

„Nie wypędzisz mnie teraz“, myślał spokojnie. „Jestem z tych, co umieją zwyciężać“.

Natomiast na widok Rwańskiego obudziły się w jego sumieniu tłumione przez długi czas skrupuły: „Jest mi obojętną w tej chwili, po co mam ją odbierać temu człowiekowi? On bez niej żyć nie może, a ja mogę. Zwyciężyłem go, i ją zwyciężyłem, korzystać ze zwycięstwa nie potrzebuję.“

Pomimo tych wszystkich rozumowań, już nazajutrz sama myśl obecności Kamili w jednej z nim sali, zaczęła go niepokoić. Oglądał się za nią, śledził za wyrazem jej twarzy, interesowało go z kim mówiła i o czym. Przy wigilji począł wpatrywać się w nią, jak niegdyś w Kazię, by się nań obejrzała, ale napróżno: Kamila nie rzuciła mu ani jednego spojrzenia. Nie przeszkodziło mu to pić,

żartować nawet trochę hałaśliwie, flirtować z Kazią i Bartską. Natomiast przeszkodziło mu spać. Leżał i myślał o Kamili; wspominał pierwsze wygnanie z Genewy, które dlań było wyznaniem. Zaczął jej pragnąć na nowo; nie tak gwałtownie, bez dawnej rozpacz, ale jej pragnął, więc mieć ją musi, tembardziej, że i ona go pragnie. Są w swoim prawie i basta.

Tak usnęło trwożliwe niedawno jeszcze sumienie, a z niem usnął Leszcz, pewny miłości Kamili.

Pewność ta znikła nazajutrz, jeszcze zrana przy kawie.

Dla gości zjazdowych, zastawiony był stół w obszernym pokoju, przylegającym do sali obrad. Leszcz, przyszedłszy na śniadanie zastał już tam wszystkie koleżanki genewskie a między niemi Kamilę między Rozalką i Bartską. Z tą ostatnią rozmawiała półgłosem.

— Kolego Leszczu! zawołała nań swobodnie, prawie wesoło: chodźcie tu do nas! usiądźcie. Koleżanka Bartska ma was o coś przeprosić, a ja podziękować zarazem.

Zdumiony Leszcz oczom własnym nie wierzył; taka harmonja między zaciętymi od niedawna nieprzyjaciołkami... Ona, taka swobodna, jak gdyby nigdy nie...

„Coś w tem jest: bacność“! szepnął sobie w duchu i z ruchem nadskakującego kawalera

usiadł przy uśmiechniętej ze spuszczonei oczkami Jadwidze.

— Koleżanko, patrząc na was, gotówem z góry przebaczyć...

— Ja sama sobie przebaczyć nie mogę, przerwała mu wzruszonym głosem: wicie, jeżeli pamiętacie bytność waszą u nas, to jest u mnie i u Zajdlówny, wicie jak nienawidzę ogadywania. Ale ona była taka niezachwiana w swych twierdzeniach, a ja zbyt ufna i łatwowierna... uwierzyłam jej, i rozgłosiłam o was szkaradną plotkę, która, dzięki zacnej koleżance Rwańskiej uszu waszych nie doszła.

— A ja wam dziękuję, kolego, dodała Kamila poważnie, żeście się zgodzili przenieść do Berna na moją prośbę.

— Cóż to jest? — myślał, czując, że krew uderza mu gwałtownie do głowy. — Czy to *mise en scène* swojego rodzaju, czy rzeczywiście eoś zaszło wówczas niemilego? Zobaczymy!

— I wam należy się odemnie podziękowanie, odrzekł jej z największą swobodą: skorzystałem ogromnie z pobytu w Bernie, złożyłem doktorat, co ma dowodzić, że jestem człowiekiem a nie studentem, zakończył żartobliwie.

— Patrzcie! A mnie to nikt nie podziękuje! Ozwała się z żartobliwą urazą Rozalka. Czy nie ja pierwsza Kamilę ostrzegłam! Czy nie pracowałam przez trzy miesiące nad tą szaloną pałką, —

tu wskazała na Jadwigę, żeby jej wybić z głowy niedorzeczność, w którą śmiała uwierzyć!

— Ależ dziękujemy, dziękujemy, ozwały się panie, a za nimi Leszcz.

W tej chwili kelner wniósł papier na tacy.

— „Fräulein Potulinsky“... zapytał Leszcza.

— Do Potulińskiej. Depesza od Karola. Wstał, szukać Kazi po sali.

— Koleżanko, depesza! Karol przysłał swe serce na zjazd. Żartował, widząc wzruszenie na jej twarzy.

„26-go przybędę. Karol“. Czytała wolno dziewczyna, poczem podpisała swe imię na kwitku i powróciła do sali obrad. Czekala tam Leszcza, ale napróżno. Emablował Bartską zawzięcie, a ona oczki spuszczała i mieniła się jak tęcza.

---

Posiedzenie już od pół godziny było otwarte, z sali obrad dochodziły ich pojedyncze zdania lub słowa; nie zważali na nie, każde zajęte swą myślą o innej osobie. Ale o uszy ich obito się wyraźnie: „Kolega Leszcz“... i potem znowu: „Gdzież to Leszcz?“ Na ten głos towarzystwo powstało od stołu i pospieszyło ku obradującym.

Kolego Leszczu! Przemówił do wchodzącego prezes: Prosimy was o komunikację co do mającego wychodzić dziennika?

— Po rozważeniu kosztów, zaczął Leszcz, doszedłem do przekonania, że Zjednoczenie niema dostatecznych środków na założenie własnego or-

ganu. Zjednoczenie musiałyby wyznaczyć odpowiednią sumę i obmyśleć sposoby ściągnięcia jej od członków lub towarzystw. To rzekłszy usiadł i zaczął się głęboko namyślać:

„Ten organ był właściwie wędką, na którą łapała się, z dobrej woli idąc na haczyk, pani Kamila. Otóż, jeżeli się złapała, pociągnę, a pójdzie za mną; a nie pójdzie, to lepiej, że wyjadę, bo nie będę miał spokoju“.

I oto na myśl o trzecim już wyjeździe z powodu niej, ogarnęła go znów paląca jak trucizna namiętność.

— Proszę o głos — zawołał nagle, przerywając komuś mowę, sam nie wiedząc komu. — Opa miętał się i czekał aż tamten wyrzeknie obowiązkowe: „skończyłem“.

— Kolega Leszcz...

— Chciałem zaproponować delegatom Zjednoczenia, by raczyło wyasygnować pewną maksymalną sumę na pismo, a resztę ja dołożę z własnej kieszeni. Mam nadzieję, że nie stracę kapitału. Jeżeli mój wniosek, czy propozycja, jak koledzy wolą, będzie przyjęta, wyjeżdżam zaraz do Paryża i postaram się na styczeń wydać pierwszy numer dziennika.

Tu mrużąc powieki, powiódł z ukosa wzrokiem po twarzy Kamili: Błada była, jak płótno, w oczach malowało się przerażenie.

— „Dobrze!“ — pomyślał i dodał głośno: — „Skończyłem“.



Dyskusja toczyła się ciągle około wydatku na pismo. Kamila wymknęła się z sali nieznacznie, za nią bez pośpiechu i bardzo jawnie dla wszystkich podążył przyszły redaktor.

— Koleżanko...

Obróciła się do niego, drżąca od wzruszenia, zmieniona, prawie nieprzytomna.

— Kamilo! wydobył z siebie tym samym głębokim od wzruszenia głosem, którym przemawiał do niej niegdyś. Kamilo! ja jutro jadę. Jedź ze mną. Nie oburzaj się! dodał, widząc, jak się w tył nieco pochyliła. Ja wiem, co chcesz powiedzieć, może to i źle z mojej strony, ale wierz mi, robiłem, co było w mojej mocy, by mózdz zapamiętać, nie myśleć, nie pragnąć i nie mogłem! Musiałem ci wyznać! Jadę jutro. Ty się namyśl: nie mam prawa cię namawiać; widzę tylko, że nic ci nie wróci i nic nie wynagrodzi... straty kochającego i kochanego człowieka, zakończył namiętnym szeptem.

— Namyśle się... odpowiedziała mu szeptem ze spuszczonei oczyma i nie patrząc nań, opuściła salę. On powrócił do grona kolegów. Wniosek jego był już przyjęty, fundusz na pismo określony, mógł się puścić w drogę.

---

Nazajutrz Kazia, zaalarmowana niespodzianym i nie całkiem dla niej zrozumiałym postanowieniem Leszcza, szukała sposobności pomówienia



z nim sam na sam. Biedna dziewczyna! lada chwila mógł pojawić się Karol, a tamten odjechać i klamka na zawsze zapadnie. Ku wielkiemu jej utrapieniu Leszcz znów został bohaterem zjazdu. Wyrywano go sobie, otaczano, ocierano się o niego, jak o znakomitość, nie mogła się do niego docisnąć. Stała w pobliżu jego zajmującej osoby i czekała, aż się ta owacja skończy, by go odwołać na stronę i wyznać mu to, czego i tak zapewne domyślał się. Dla niej raptowny wyjazd Leszcza, w dzień przyjazdu jej narzeczonego był potwierdzeniem jego miłości.

Gdy tak oczekiwała, nad głowami kolegów skupionych u drzwi wchodowych sali, ukazała się szeroka, o bujnych ciemno-błąd włosach głowa Karola. Witał kolegów i śmiał się wesoło, bardzo rad z nich i z siebie, jak zawsze zresztą. Serce uderzyło jej w piersiach. W sekundę namyśliła się i zdecydowała: Przecisnęła się do Leszcza i po ciągnąwszy go lekko za rękaw rzekła półgłosem:

— Chodźcie kolego, mam wam coś do powiedzenia. Leszcz pospieszył za nią bez zwłoki. Prowadził go do bocznej malusieńkiej alkowy, prawie ciemnej, zawalonej odzieniem studentek. Tu usiadła na kanapce i miejsce mu obok siebie wskazała.

— Słucham was koleżanko, rzekł grzecznie, spozierając ukradkiem na zegarek.

— Jutro wyjeżdżacie?

— Dziś jeszcze.

— Chciałam wam przedtem, nim się rozsta-  
niemy, powtórzyć to, o czem wspominałam już  
w liście, mianowicie... że ja nie mam sympatji do  
Karola.

— Pamiętam o tem; pisaliście, że się wam  
ktoś inny podoba. Wszak prawda?

— Tak.

— I tym innym jest?

— Nie domyślacie się?

— W takich wypadkach przypuszczeń robić  
niewolno.

— Ale teraz wiecie, skoro wam to mówię.

— Pisaliście o Rwańskim...

— Nie, nie Rwański.

— Nie domyślałam się, koleżanko — rzekł bardzo  
stanowczo — ale jestem pewien, że gdyby nawet  
kto z tych wszystkich mężczyzn, co się tu zjechali,  
zakochał się w was bez pamięci, to wobec sza-  
cunku i przyjaźni, jaką wszyscy mamy dla Dra-  
mowskiego, żaden z nas nie miałby cywilnej od-  
wagi zabierać mu kobietę, którą sobie umiłował.  
Zresztą nie mam najmniejszej wątpliwości, że bę-  
dziecie z nim najzupełniej szczęśliwi. Bądźcie zdrowi,  
dodał, wstając śpiesznie i całując chłodną rękę dzie-  
wczyny.

Pierwszą rzeczą, którą ujrzał przestąpiwszy próg  
fatalnej alkowy, były szerokie plecy i gruby kark  
Dramowskiego. Karol, wyrwawszy się kolegom,  
podążył za znikającą we drzwiach ubieralni główkę  
narzeczonej. Gdy dotarł, przeciskając się przez tłum,

do nieszczęsnej ubieralni, trafił na słowa Kazi: „ja nie mam sympatji do Karola“. Wysłuchał do reszty bez skrupu i oddalał się właśnie, poinformowany znakomicie co do uczuć narzeczonej.

— Jak się masz i bywaj zdrow, stary! — krzyknął mu Leszcz, uderzając go po ramieniu.

Karol obrócił się gwałtownie. Ujrzawszy Leszcza zrobił nad sobą wysiłek, by nie pokazać wewnętrznego wzruszenia.

— Jedziesz? Do Paryża? Kiedy? — spytał obojętnie.

— Dziś po obiedzie. Czekałem, by cię przed odjazdem obaczyć. No, bywaj zdrow i trzymaj się ciepło!

— Czy sądzisz, że mi co zagraża, bądź spokojny!

Leszcz spojrzał nań uważnie.

— A jednak coś ci jest, nie zaprzeczysz.

— I tobie nieczysto z oczu patrzy.

— Mnie? Bardzo być może. Czasem mi się zdaje... że powinienem dać spokój tej redakcji, którą przedsiębrałem. No, ale słowo się rzekło! Bądź zdrow! zakończył po raz trzeci.

— „I trzymaj się ciepło“... — powtórzył oddalając się Karol. — Ciekawym, co mi Kazia poradzi. Czy zimne okłady?

Ona wyszła ze swego ukrycia, bardzo spokojna, pogodna i skierowała się prosto w stronę Karola. Zadał sobie przymus, by się nie odwrócić impertynencko. Uczuł głęboką niechęć do tej ko-

biety. A ona przywitała go naturalnie, w miarę serdecznie i zapytała czemu na zjazd się spóźnił.

— Czy tak bardzo uczuła pani moją nieobecność — spytał z ironją.

Kazię coś tknęło niemile.

— Nie tak boleśnie, jakby należało — odparła, próbując żartować.

— Pani mi wybaczy — przerwał jej z ukłonem: nie przywitałem jeszcze Rwańskich.

Pozostawił ją samą z niedobrem przecuciem w duszy.

Po obiedzie zapowiedział jej, że ma z nią pomówić w ważnej sprawie i zaproponował przechadzkę. Ubrała się i wyszła ze ścieśnionem sercem, jak skazana. „Czyżby Leszcz ją zdradził? To niepodobna. Prędzej czyjaś plotka go doszła. Postanowiła wyprzeć się wszystkiego.

Postępowali w milczeniu obok siebie. Od jeziora wiał zimny wiatr i zmiatał okruszyny sypkiego jak piasek śniegu. Wszystko było jakieś martwe, szare i smutne wkoło nich.

Karol zwlekał: było mu przykro odtrącać od siebie kobietę, której rok temu przyrzekł swą rękę i nazwisko. Ile razy spojrzął na idącą obok siebie towarzyszkę, uczuwał antypatją i złość.

— Mam żal do pani — zaczął wreszcie bardziej wzruszonym głosem, niż sobie życzył.

Kazia uderzyła w pokorę:

— Bardzo mi to przykro, jeżeli pana czem zmartwiłam — odrzekła miękko i smutnie.

— Czy naprawdę nie miałaby pani serca narazić mnie na przykrość?

— Dziwne zapytanie pan stawia: w każdym razie starałabym się oszczędzić mu o ileby to było w mojej mocy najłżejszego nawet niezadowolenia.

— Tak pani powiada? Widocznie nie było to w jej mocy, gdyż dotknęła mnie pani bardzo boleśnie.

— Muszę wierzyć, upewniam pana jednak, że nie miałam chęci...

— Jakto, panno Kazimiero? nie miałaś pani chęci porzucenia mnie i wyjścia za innego?

— Czy jesteś pan tego pewien?

— Jakknajzupełniej: słyszałem rozmowę pani z Leszczem. Spieszyłem powitać narzeczoną, widząc jak mi umyka w przeciwnym kierunku, ale w drzwiach usłyszałem słowa, które mię zatrzymały.

— I to jest ta wielka przykrość, którą panu wyrządziłam?

— Pani pyta?

— Nie, ale się dziwię. Teraz zapytam dopiero: czy mię pan kochałeś? — Milczysz pan? — Więc nie: ani wtedy, kiedyś mi pan dał tak trudne do przeprowadzenia zadanie, jak wyjazd za granicę, ani wtedy, gdy się pan bez żadnego namysłu, bez dostatecznego zapoznania, bez najmniejszego starania o moją sympatję czy uczucie, czy skłonność oświadczył o moją rękę, ani odjeżdżając za-



raz do Paryża w ważniejszych sprawach, nie przeczę, niż pozyskanie serca kobiety, która już mu rękę przyrzekła, ani wtedy nawet, gdy musiałam jak o łaskę prosić, by zechciał przyjechać, i poznać cokolwiek tę, którą ma przecie zaślubić. I wówczas nawet, gdyś zdobył się poświęcić mi parę tygodni swego drogocennego czasu: czy moja osoba, myśli moje, uczucia, wrażenia, przeszłość, charakter — zajmowały pana choć trochę? Chciałeś mię pan całować! spytałeś pan przedtem, czy ja kocham? Czyś mi pan powiedział to słowo, którego pragnie każde serce kobiece? — Nie. Nie kochałeś mię pan, panie Karolu, nie zależało panu na mojej miłości. Żal pana jest niesłuszny.

Karol milczał. — Szli czas jakiś obok siebie, bardzo zażaleni jedno na drugie.

— Nie robisz mi pan jedyne go zarzutu, na który zasłużyłam w istocie, podjęła dziewczyna smutnym głosem, chcąc go za wszelką cenę rozbroić: należało zerwać z panem, nim... nim komu innemu dam poznać, że mi się bardziej podobał. Cenię delikatność pana, ale i z tego rada-bym się wytłómaczyć: Mógł pan zauważyć, znając mię nawet powierzchownie, (bo pan i teraz mię nie zna), że nie jestem romantyczką. Jestem trzeźwa, praktyczna, jak i pan zresztą. Nie uważałam w tem ujmy dla pana, gdybym wyszła za niego, nie znalazłszy wzajemności tam, gdzie się jej spodziewałam, dzięki bałamutnemu postępowaniu, którego byłeś pan swego czasu obojętnym,



niestety świadkiem. Liczyłam, że się do pana przywiążę, jak tyle innych kobiet w podobnych warunkach. Sądziłam, że będę z panem szczęśliwą, i że zdołam panu dać to, czego pan szukałeś w kobiecie. Bo miłości nie szukałeś pan, panie Karolu.

— Prawda, odrzekł jej z goryczą: Żal mój nie jest tak słuszny, jak sądziłem. Pani w tym wypadku rzeczywiście została tylko wierną sobie: postąpiła pani rozsądnie, rozważnie i naturalnie, a nawet bez przesądów: Nie chciała pani wychodzić za człowieka niekochanego, nie upewniwszy się, czy kochany jej wzajemnością nie płaci; nie zerwała pani wprzód z tym niekochanym, bo kto wie, czy nie będzie jeszcze potrzebny. I oto rezygnuje się pani wyjść za człowieka, do którego nie ma pani nawet „sympaty!“ To wszystko jest bardzo trzeźwe i praktyczne i pospolite! Jednak mię to uraziło, ja takiej roli nie chcę: nie chcę być mężem *au pis aller*.

Kazia ratowała już tylko sytuację.

— Rozumiem pana, i jeżeli próbowałam usprawiedliwiać się w jego oczach, to dlatego jedynie, by rozstając się nie zachować wzajemnego żalu, któryby dodał tylko więcej jeszcze goryczy do przykrego i tak już niezmiernie przejścia w naszym życiu. Śmiem pana prosić, dodała, widząc że nie protestuje przeciw owemu „rozstaniu“, jeżeli mu to zbyt wielkiej przykrości nie sprawi, by zechciał zejść jeszcze na chwilę do mego mieszkania.

Zawrócili. Kazia szła wolno, rada była zyskać

na czasie; liczyła, że Karol rozważy rzecz spokojniej i nie przyjmie niewyraźnego jej zerwania. Ale nowy projekt błysnął w jej głowie:

— Wie pan, jestem dziś bardzo... zmęczona — rzekła mu, gdy stanęli w progu jej domu. Trochę mi słabo. Daj mi pan słowo, że jutro przyjdiesz o tej godzinie. Będę w tem widziała akt przebaczenia; bo ja rzeczywiście zawiniłam przeciwko panu.

— Przyjdę. Wyrzekł obojętnie i odszedł, pożegnawszy ją lekkim ukłonem.

Szedł i dziwił się sam sobie, skąd mu się wzięła taka zawziętość? Biedna dziewczyna najwyraźniej pragnie go zmiękczyć; daje mu zrećźnie czas do namysłu. A jego coś odpycha od niej. Oto przez długi czas wierzył, że go kocha. Wyobraził to sobie najmylniej i teraz ma do niej pretensją, że tak nie jest i nie było. To, że on jej nie kochało wydawało mu się rzeczą normalną. Skąd on miał aż zakochać się w takiej Kazi, czy w kimkolwiek zresztą. On był człowiekiem trzeźwym, nie romantykiem, wzdychającym do pierwszej lepszej ruśnej twarzyczki. Tę jej miał głównie za złe, że się w nim nie kochała, że nie kochając dała mu słowo, nie kochając wiodziła po kwitnącej Genewie, nie kochając sała serdeczne i miłe liściki. Że on nie całował ją przemocą prawie, to było w jego go całkiem naturalne: przecie miał prawo kochać! Jej udaną serdeczność uważał

falsz. Rozumując tak bardzo po mężku, wrócił do hotelu na kolację.

Chciał zaraz, by nie cofnąć postanowienia, zakomunikować Rwańskim o zerwaniu z Kazią. Ale obok Rwańskiego stało próżne krzesło, on sam oglądał się po sali zdziwiony i niespokojny, więc go Karol nie zaczepiał. Wszyscy zasiedli do stołu, zajął więc swoje miejsce, postanawiając dobrze jeść naprzekór Kazi! Ale i obok niego stało próżne krzesło. Odsunął je z hałasem ku ścianie, odstawił nakrycie i zajął dla siebie samego całą wolną przestrzeń przed stołem. Nie spojrział nawet, do kogo przybliżył się tym sposobem.

— Cóż to? Kazia nie przyjedzie? spytał go śpiewny głos nowej sąsiadki.

Spojrział i zdumiał się: patrzyły nań oczy czarne, wielkie, powłóczyste, pełne niewymownej tęsknoty z pod czarnych, gęstych, zbliżonych ku sobie brwi; mówiły doń usta maleńkie, ścieśnione, pełne bólem i wielką boleścią. Coś mu przypominały te oczy i usta. Coś dawno zapomnianego, jakąś boleść, jakąś żebaną na samem dnie jego serca.

„Kto to jest?“ zapytywał sam siebie. Musiała być nią jakaś kobieta, którą znał kiedyś. Nie: kogoś podobnego; ona była zupełnie inna, po raz pierwszy. Ale mnie zna widocznie, zapytuje o Kazię.

„Gdzież to Kazia? — Czy chora? — nastąpiła odpowiedź. Jakaś była nie swoja dziś zrana.

„Czyżby Potulińska jest całkiem swoja, odwróciła się od niego. — bo moją być przestała, na tej pro-

stej zasadzie, że mię nie kocha, zaśmiał się w końcu z przymusem.

Oczy Heli spoczęły na nim uważnie, i przykryły się długimi rzęsami. Za chwilę popłynęły na drugi koniec sali ku Blinkowi i Kosie, którzy już się nie rozstawali. Usiadła właśnie zdala od nich i śledziła, czy nareszcie targu dobili.

Ale Karol powracał myślą do tych oczu, niepokojny, zachwycony i ciekawy: Gdzie on je widział? zdaje się niedawno, ale gdzie i u kogo? bo nie u niej. Tamto był mężczyzna. Nie: takie usta mówiły mu... coś mówiły: — „Gdzie jest poezya w życiu?“ Ach tak: to jego siostra... — Jak zawsze przy wspomnieniu Janiny, serce zaczęło mu się krwawić. Siedział posępny i nie uciekał od wspomnień. Ale oczy? pomyślał raptem. „A oczy Malińskiego!“ Jakby była córką tych dwojga! Jakie to szczególne! Tu spojrział znowu na Helę, a widząc, że nie myśli o nim, odezwał się trochę niecierpliwym:

— Pani dobrze znała Potulińską?

Hela spojrzała:

— Dziś widzę, że znałam źle.

— To znaczy?

— Nie spodziewałam się po niej tego, co słyszę od pana.

— Ja znałem ją jeszcze mniej, bo myślałem, że mię kocha, a ona mi powiada, że nie! I to po roku narzeczeństwa. Pomimo to, każe mi przyjść jutro o godzinie szóstej, bo dziś jest osłabiona, czy niezdrowa, czy już nie wiem co.

— Cóż to jej biedaczce, raptem się stało? Niech pan będzie tylko dobry dla niej!

— Ja widzę, że ją pani żałuje.

— Jak każdego, kto ma przykrość.

— To niech pani raczej mnie pożałuje!

— Pan jakoś nie bardzo wygląda na godnego politowania.

— Dlaczegoż to? Jedna mi mówi, że nie zasługuję na miłość, druga odmawia nawet litości... widzę, że uniwersyteckie kobiety są bez serc!

Hela uśmiechnęła się kącikami oczu.

— Czego się pani śmiała?

— Myślałam o „szkieletów ludach“.

Karol teraz dopiero spostrzegł nadzwyczajną chudość Heli i uczył niezmierną litość. Wydało mu się, że jest suchotnicą i powstał mu w duszy straszny bunt przeciwko okrucieństwu natury. Milczał czas jakiś.

— Pani niedawno jest w Szwajcarji? — zapytał — porzucając ton zartobliwy.

— Ja ukończyła już studja i złożyłam doktorat. Wyjeżdżam za parę dni do kraju.

— Na Ukrainę zapewno?

— Po mowie pan sądzi?

— Nie tylko.

— A to ciekawe!

— Pani musiała tęsknić za swoją Ukrainą, jak to jest ogólnie przyjęte w waszych stronach?

— Ani chwili. I za czem tam tęsknić? Mój Boże! Przypuszczam, że będę żalowała Szwajcarjã.



— Kraju, czy ludzi?

— Nie — tylko spokoju.

— Więc czeka panią taki burzliwy żywot na stepach?

— Ach, stepy! Gdzie to już te stepy dzisiaj? Dwory, chałupy, łany, no i lasy. Nie bujne tam życie, a podle!

— I tam są przyjęte tak silne wyrażenia w ustach panien?

— Nie wiem. Wiem tylko, że gdybyś pan tam przeżył całą młodość w takim dworze wśród takiego chłopca, z takim żydem, naprzeciw takiego popa, obok takiego uradnika i t. d. nauczyłyby się najsilniejszych wyrazów.

— Cóż pani ma do zarzucenia dworowi na przykład? — spytał Karol ubawiony.

— Próżniactwo! Zdumiewające, przechodzące pojęcie ludzkie, nie dające się opisać, nikczemne!

Mocne rumieńce wybiły na smagłą twarz dziewczyny, oczy gorzały pod długimi rzęsami, usta chwytaly gwałtownie powietrze.

Karol był pewny, że rozmawia z suchotnicą i lękał się dla niej wzruszenia, zmienił więc temat rozmowy:

— Jak się to stało — spytał — że nie spotkałem pani dotąd ani w Genewie, ani na zjazdach?

— Dziękuję panu! — rzekła z leciuchnym uśmiechem.

— Za co mi pani dziękuje?

— Że mnie pan opamiętał. Ja się rzadko uno-



szę, ale są rzeczy, które mnie poruszają do głębi. Tracę równowagę i miarę w słowach.

— Nie o to mi chodziło: sądzę tylko, że uniesienie szkodzi nerwom pani.

— I nie to nawet pan myślał, ale nietrafnie.

— Czy pani ma dar odgadywania cudzych myśli?

— A jestem potrochu „widmą“. One są zwykle chude i czarne, ale z suchot nie umierają — żyją długo i leczą ludzi.

— I czarują.

Hela spojrzała nań ze zdziwieniem.

— Póki są młode — rzekła ze śmiechem. — Starsze wyglądają, jak widmo śmierci.

Znów żal ścisnął za gardło Karola. „Ona się ludzi, jak każdy suchotnik“ myślał. Ale wypadało w żart to obrócić.

— Gdyby tak śmierć przyszła do mnie w podobnej postaci, poszedłbym za nią w nieznaną krainę cieniów. — Śnieli się oboje. „Co ja wygaduję!“ dziwił się sam sobie Dramowski. Hela tymczasem wyciągnęła z kieszeni paczkę tytoniu, zapalki i papierki i zamysłona z oczami wdał, zaczęła skręcać papierosa. Karol patrzył na to ze zgrozą.

— Niechże pani nie pali! — błagał.

— Czy pan to uważa za nieprzyzwoitość?

— Nie. To jest... sądzę, że to niedobry zwyczaj.

— Ja pana zapewniam, że nie mam suchot. — Widzi pan, ten dym zastępuje mi bardzo wiele rzeczy, między innymi kluski z serem, hreczaną

kaszę, grzybową zupę i pierogi w śmietanie, a nawet mamalygę.

— Ciekawą formę przybrała u pani tęsknota za krajem. Żałuje pani Ukrainy z punktu kulinarnego!

— A tak: umieją jeść! do tego jednego nie są leniwi! Siedem lat mieszkam zagranicą i nie mogę się pochwalić, żebym choć raz wstała od stołu syta: takie to wszystko lekkie, idealne i mało! U nas porządny kot więcej jada, niż tu dorosły szwajcar.

Włożyła skręcony papieros do pudełeczka z zapalkami i schowała cały warsztat do kieszeni.

— Dziękuję pani.

— Nie ma za co: pójdę palić w samotności.

— W takim razie wolę, żeby się to przy mnie odbyło — rzekł, podając jej swoje papierosy.

— Nie, dziękuję: przywykłam do swojej machorki.

W tej chwili zaczęto wstawać od stołu.

Rwański po skończonej wieczerzy pośpieszył do domu.

— Czy moja pani już wróciła? — spytał gospodyni, która mu oświecała wschody zakopconą lampką.

— Była tu około drugiej i znów wyszła.

— Sama? — spytał jeszcze, myśląc o Kazi, której nieobecność zauważył.

— Nie. Z tym panem, co tu przychodził.

„Cóż to jest?“ Nie pamiętał, żeby kto przychodził do nich w Zurychu. Nim wbiegł na wschody,

najdziwaczniejsze przypuszczenia latały mu po głowie. Może jej mąż nadjechał, może który z synów zachorował lub umarł? To, żeby go opuściła dla innego nie przemknęło mu przez myśl ani na sekundę. „Musiała zostawić kartę, skoro coś zaszło nadzwyczajnego“. Zapalił świecę i szukał. Na poduszce leżał list w dużej kopercie. Adresu nie było. Widok ten uspokoił go. „Cóżby znów tak straszniego zajść mogło? Lekałem się jak dziecko!“ Nie śpiesząc rozciął kopertę nożykiem i czytał:

„Andrzeju! Nie miej do mnie żalu, jeśli możesz. Jeżeli cię opuszczam, to dlatego, że mi już sił zabrakło do dalszej walki. Ty wiesz, jak walczyłam, ty teraz wszystko zrozumiesz. Ja wiedziałam, jak cię to strasznie zaboli: znosiłam póki było w mojej mocy. Że też to musi ciebie tak strasznie kosztować! Twoja boleść będzie dla mnie źródłem wiecznego cierpienia, ale wierz mi: nie mogłam! Błagam cię: nie jedź za mną, nie szukaj mnie! Zachowam dla ciebie do końca życia uczucie prawdziwej wdzięczności. Teraz cię żegnam. Żałuję, że nie mogę do nóg ci upaść i prosić o jedno słowo przebaczenia. Będę cierpiała bez niego, ale zasłużyłam. Zmiłuj się nademną: wytrzymaj ten cios, przez pamięć tych lat, które z tobą przeżyłam. Bądź zdrow dobry mój przyjacielu! Nie godnam ucałować twej szaty. Kamila“.

„Cóż to jest?“ „Nie! To nieprawda. To być nie może!“ Czytał raz jeszcze i jeszcze, rozumiał i nie wierzył! „Ty wiesz, jak walczyłam, ty teraz

wszystko zrozumiesz“. Z czem walczyła? z jakiego powodu? Jak? Zkąd on ma o tem wiedzieć i co zrozumieć teraz dopiero? Raptem wspomnienie, jak błyskawica rozdarło mu ciemną zasłonę zagadki: owe gwałtowne objawy czułości, całowanie rąk, upewnianie, że go kocha. jego tylko, jego jednego na świecie: więc to był rozpaczliwy wysiłek... A on czuł się tak niezmiernie szczęśliwym! Kogoż ona pokochała? Leszcza! Mnóstwo drobnych szczegółów stawało teraz w jego pamięci, leciały, waliły mu się na mózg z niesłychaną szybkością. Wyjazd Leszcza do Berna! Ratowała się! Teraz już nie wątpił. Musiała go sama wypędzić. W strasznym bólu, który mu duszę coraz nowemi falami zalewał, znalazło się jeszcze miejsce na wdzięczność dla tej kobiety, że się zmuszała do udawania czułości: ją to musiało strasznie kosztować. „Kazała mu odjechać! chciała swe szczęście poświęcić!“... Leszcz! o gdybyż mu była otwarcie wyznała, nigdyby do tego nie przyszło. On tyle niepoehlebných rzeczy wiedział o tym człowieku, tyle śmiesznoetek, płaskich historyjek, o których jej nie wspominał, bą nań niechętnem okiem nie patrzyła, skoro bywał w ich domu... Myślał o tem wszystkiem nadzwyczaj szybko, bezładnie, czytając wciąż list od początku do końca. Nie mógł się oderwać od tego papieru. Czegoś w nim szukał: jakiegoś słowa nadziei, jakiegoś zaprzeczenia, jakiejś Gsłody. „Nie jedź za mną, nie szukaj mnie!“ Ach, onby mógł jeszcze dogonić, upamiętać, ostrzedz. Tak, ostrzedz.

Bo coż był taki Leszcz w porównaniu z nim? Ten pospolity, dowcipkujący i deklamujący Leszcz, włączający się z kokotkami po Paryżu, tańczący kankana w „Moulin Rouge?” Gdyby go raz jeden mogła widzieć, jak on go widział, a otwartą w bezmyślnym uśmiechu, pijaną gębą, z zażawionemi, mętnemi od wina oczami, wykonywującego obrzydliwie ruchy ze sprośnym kupletem na ustach! Jakież wstręt uczułaby do tego ideału, dla którego nim pogardziła, jego czystem uczuciem! „Ratować ją” przemknęło mu w duszy. Nadzieja na chwilę błysnęła i zgasła! Choćby uwierzyła, już nie usłucha, nie cofnie się, nie wróci!...

Chciał jeszcze raz list odczytać i nie mógł: Umiał go na pamięć, znał każdą literę i kreskę. Wydało mu się, że to ten list go boli, że mu zadaje jakąś okrutną, niewysłowioną mękę, zaniósł go na stolik i wrócił chwiejnym krokiem do łóżka. Chłód wystygłego pokoju przejmował go do kości, uczuł, że mu słabo, coraz słabiej, jakiś spokój ogarniał go powoli, położył się w ubraniu i w tejże chwili zasnął. Śnił dziwacznie, niejasno: oto jest młodym chłopcem, wraca z gimnazjum do domu, matka staruszka czeka nań z obiadem, usiadł do stołu, i nie może jeść. „Co ci jest!” — pyta go matka. — „Głowa boli”. Ona go bierze na ręce, jest malusieńkim chłopczykiem i płacze. Matka kładzie go do łóżeczka, dotyka ręką rozpalonej główki, patrzy nań ze słodyczą, okrywa troskliwie. „Zaśnij”, mówi. I słabo mu,



coraz słabiej, ale przyjemnie. Już nie myśli, nie czuje, wie tylko, że mama jest tu blisko, patrzy nań i kocha tak bardzo, bardzo! Przypomina sobie we śnie, że jest dorosłym człowiekiem i że matka umarła; i znów płacze, płacze jak dziecko; i znów mu słabo, omdlewa, ale głowa go boli. Kamila stoi nad nim. dotknęła dłonią zbolącej skroni i znów mu dobrze, znów sen mu klei powieki. Coś mu jednak zasnąć przeszkadza: To Kamila coś mówi, a głos jej zgrzyta jakoś dziwnie ostro: „nie idź za mną, nie szukaj mnie!“ — „Ach, jak tu duszno! Kamilo, otwórz okno!“ Ale ona odchodzi, powtarzając przez zęby: „nie idź za mną, nie szukaj mnie!“ On się zrywa, chce ją gonić i widzi już tylko list; ten list szeleszcze mu w dłoni i głowa mu pęka od bólu. Wstaje, by list odłożyć...

Zbudził się. Świeca dopala się w żelaznym lichtarzu, knot skwierczy, gasnąc w rozpuszczonej stearynie, papier wokół stopionej świecy żarzy się jeszcze wydając duszącą woń tłuszczowego dymu. „Ach, ztąd taki ból głowy!“ Spojrzał z trwogą, czy dym Kamili nie zaszkodził. — „Nie ma Kamili! nie ma! już nigdy“... Padł na poduszkę i płakał, płakał aż do zupełnej niemocy, do ostatniej łzy, jaka w nim była.

Słabo, niewyraźnie zarysowały się ściany pokoju, dym z wypalanej świecy rozprószył się zwolna, Rwański podniósł się i usiadł. Spać nie mógł, ani płakać, ani myśleć. Zaczął chodzić po pokoju, zataczając się, potrącając o krzesła. Czegoś szukał,

sam nie wiedział czego. „Ach, tak: czegoś co po niej zostało!“ Otworzył okienicę. Białe światło zimowego poranka padło na sprzęty pokoju. Zająztał do szafy, na wieszadła, do szufladek... nigdzie nic, tylko na stole ten list okrutny, z długim, wyraźnym piśmem. Chciał go jeszcze czytać; po pierwszych jednak słowach, złożył papier i schował do kieszeni.

Zapukano. Ocknął się. „Ona! wróciła“! Rzucił się do drzwi jak szalony, ręce mu drżały, nie umiał klucza w zamku obrócić.

— Pan czegoś potrzebuje? usłyszał niemiecką mowę gospodyni. Chodzi pan od godziny, myślałam, że czegoś zapomniałam przygotować.

— Nie, nic, dziękuję, odparł jak nieprzytomny, otwierając drzwi szeroko.

— Pan już ubrany? Może pan kawy pozwoli? Już mam gorącą. Zimno tu, rozpalę w piecu; to nie drogo będzie kosztowało.

Pocziwa baba nie domyślała się, jak była okrutną ze swoją troskliwością.

— „Nie trzeba się ludzić! trzeba to znieść“! perswadował sobie. Wraz z tem postanowieniem żał wracał z dawną siłą. Patrzał na babę, nie rozumiejąc, czego chce stara brzydka niemka. „Jaka brzydka“! zrobił sobie uwagę i zaczął wracać do przytomności.

Proszę mi dać kawy! wyrzekł wreszcie.

Niemka coprędzej przyniosła imbryk ciepłego szarego napoju, który nazywała w zarozu-

miałości swej — kawą, oraz dwie filiżanki. Rwański siedział przy stole i patrzył zamyślony. „Odtąd będę już zawsze sam“! rozmyślał z goryczą.

— Pan nie pije! A pani? Już wyszła? Panu coś jest, *Herr Jesus!* pan jest chory! Pan ma twarz zupełnie ściągniętą! Może mam pójść po lekarza?

— Nie, nie! Zziąblem, nic więcej.

Rwański nalał sobie kawy, zapomniał o cukrze i zaczął pić chciwie i prędko. Gospodyni uspokojona rozłożyła ogień i wyszła.

— Ciepły napój podziałał dobroczynnie na skołataną głowę nieszczęśliwego. W dzień myśli się inaczej zupełnie, niż w nocy; zaczął rozumować: Kamila postąpiła dobrze. Związek małżeński powinien trwać dopóty, dopóki istnieją odpowiednie uczucia i skłonności. Miłość jej dla Leszcza opiera się na innej podstawie, niż wartość moralna lub umysłowa tego człowieka; znał niezaprzeczoną swą wyższość nad tamtym. Jeżeli Kamila jej nie dostrzegła, to dowód, że powodowała ją skłonność czysto zmysłowej natury. Ta strona jej istoty nie знаła dotąd zadowolenia; ona się nigdy dotąd nie kochała, wiedział o tem. Miała nie tylko prawo, ale wprost obowiązek oddania się naturalnemu popędowi.

On nigdy kochać jej, nigdy cierpieć nie przestanie, ale znieść to musi i znieść potrafi z godnością i spokojem. Sprawy, której służy, nie odstąpi, rozpoczętej pracy nie porzuci.

Umył się, przebrał, zapalił cygaro i wolnym krokiem udał się na posiedzenie zjazdu.

Dziwny był zjazd tego roku. Delegaci rozstrząsali dotąd uchwały poprzedniego zjazdu i rozwodzili się nad osiągniętymi rezultatami. Gdy Rwański wszedł do sali obrad, debatowano właśnie nad sprawą stypendjum Rapperswylskiego. Okazało się, że Rada muzealna przeszła do porządku dziennego nad podanym przez młodzież protestem. Pomimo to, kilku członków Zjednoczenia podało prośby o stypendjum i podpisało żądane zobowiązanie, nie występując z tego powodu ze Zjednoczenia. Zjazd nie oburzył się na nich, jak niegdyś na biednego Sipajllę; cała niechęć skierowała się przeciwko Radzie muzealnej, emigracji i działaczom 1863 roku. „Nie rozumieli swego zadania, nie umieli się wznieść ponad interes osobisty, nie zwołali... tego, nie zdobyli tamtego, nie dostrzegli jeszcze czegoś“... a głównie nie myśleli tak, jak młodzież terażniejszego pokolenia. Rwański próżno usiłował zrozumieć tok dyskusji, mowy kolegów brzmiały mu w uszach nieznośnym hałasem, wśród którego myśl jego zmęczona, pracowała bezwiednie, przypominając dawniejsze zjazdy, w których brał udział wraz z ukochaną kobietą. Czasem z chaosu słów, których treści nie pojmował, uderzył o słuch jego jakiś jeden wyraz, lub zdanie.

Walka klas! Walka klas! skrzeczał tuż koło niego brudno ubrany, źle ogolony kolega, z twarzą przypominającą bekasa.

Nieszczęśliwy człowiek skierował wzrok w stronę

mówcy, chciał wysłuchać całego dowodzenia, ale wkrótce wspomnienie listu Kamili, odjęło mu zeznanie tego, co się wokoło odbywa. Powtarzał sobie ostatnie jej słowa na zawsze wyryte w jego pamięci i na kartce papieru, którą miał przy sobie. Wtem inny głos zawołał ni stąd ni zowąd:

— Rewolucja! Rewolucja!...

Widział rozmach potężnych pięści, dopomagających dobitnej i bez tego mowie i dziwaczne zsuwanie i rozsuwanie długich równych brwi oratora. Brwi Kamili, równe, wyraźne, cienkie, zawsze spokojne, stanęły mu przed oczami jego zbolelej duszy, myślał o pogodzie anielskiego oblicza, o cudnem ruchu powiek i marmurowych linjach pięknego, rozumnego czoła. „Jak ona umiała pod ten: czołem z marmuru, pod temi powiekami o pięknym ruchu, ukrywać tak długo wrzącą w niej burzę namiętności“. Przypomniał sobie Otella i zadał sobie pytanie, czyby jego Szekspir zdołał zrozumieć w jego bólu serdecznym, wolnym od najmniejszego cienia zazdrości?

— Armia, armia! wołał ktoś właśnie w tej chwili. Armata, niosąca na dziesięć kilometrów....

Rwański na ten dźwięk porzucił Szekspira i wspomniawszy dowodzenia jej o militaryzmie. Była zupełnie samorzutną, wyprzedzała myślą najznakomitsze powagi swego czasu, na parę lat naprzód odgadywała zwrot opinji sfer inteligentnych. Mówiła mu dawno, ale to dawno...

— Precz z Polską, panowie! Precz z Polską,



rozległo się w tej chwili. Nie Polski nam trzeba. Wzdrygnął się na te słowa Rwański, chciał wstać, chciał protestować, zaczerpnął powietrza, jakby się dusił od ciężkich wyziewów, otworzył usta, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Tymczasem blady jak ściana, zerwał się z miejsca Dramowski:

— Panowie! huknął, przerywając dziwnemu mówcy. Widzę, że zamiast na zjazd polskiej młodzieży, trafiłem na kongres hakatystów! Rzucił krzesłem o ziemię, i zataczając się jak pijany, opuścił salę obrad.

Na drugim końcu sali podniosła się smukła kobieca postać w czerni i wysunęła się za drzwi nieznamcnie.

— *C'est fort!* ozwała się do Karola, który wskutek wzburzenia nie mógł odszukać swej czapki, wiszącej tuż przed nim na kołku.

Na widok Heli, uspokoił się nieco.

— Wie pani, ozwał się drżącym głosem: coś podobnego tylko u nas może się wylęgnać.

— Oni z tego wyrosną: obaczy pan. Uspokajała go dziewczyna.

— Pani dokąd? zapytał, widząc, że się Hela ubiera.

— Do piwiarni *Zum Ochsen*. Idzie pan ze mną?

— Ależ. Do piekła nawet, jeżeli pani chce. Zresztą mam takie wrażenie, że wyszedłem z piekła w tej chwili. Polska młodzież, prześladowana

za tę swą polskość od urodzenia niemal, od pierwszej chwili....

— Kolego! Nie przejmujcie się, powiadam wam, tem, że dzieci głupio się bawią.

— Ależ to już nie dzieci!

— Dzieci: nie takie, co próbują dopiero chodzić, a takie, co już próbują myśleć i mówić: jedne nabijają sobie guzy, drugie plotą głupstwa.

— Może pani ma i słuszość. Przy zetknięciu z życiem...

— Otóż to właśnie: przy zetknięciu się z życiem. Kto z nas był mądry odrazu? Przypomnijmy sobie tylko.

— Prawda! Gdzież to ten *Ochsen*?

Szli w kierunku znanej sercom studenckim kawiarni. Karol myślał już nie o zjeździe, ale o swej towarzyszce. Nie żenowała się wyjść za nim z sali, zaczęła go pierwsza i ciągnie do kawiarni *Zum Ochsen*. Tak sobie *sans façons*, jak gdyby chłopcem była, nie panną. Wcale nie robi wrażenia panny. Nie ma tego czegoś nieuchwytnego, niedającego się określić, co odróżnia panny od reszty rodzaju ludzkiego. Na czem to polega? Na tem, zapewne, że one zawsze wobec nas pamiętają o tem, że są kobietami, a my mężczyznami, a Hela zdaje się o tem nie myśleć.

Wszedłszy do piwiarni, Hela szukała kogoś oczyma wśród zebranych gości; wreszcie znalazłszy widocznie, kogo szukała, skierowała się ku bocznej ścianie. Karol szedł za nią.

— Ależ pan się o mnie wcale nie starał. Usłyszeli piszczący głos kobiety.

— Jakto? panno Marusiu — odpowiadano basem. — Czy nie przynosiłem pani szynki, nie smażyłem beaufsteków, nie proponowałem cerowania pończoch... Czy to nie jest staranie?

— Ależ to było dla Heli! — piszczła Blinowska, śmiejąc się co chwila i zataczając głową, przy czem pokazywała bardzo białą szyję. — Mnie pan nigdy nic nie okazał!

— Już pani powiedziała: „dobrze“.

-- Bo mnie pan spoil! — Śmiała się ciągle.

— A mnie co do tego? — Powiedziała pani „dobrze“ i jest moją narzeczoną! Jeżeli chodzi o okazywanie, będę teraz okazywał, co tylko pani zechce.

— Ależ ja nic nie chcę, tylko głowy utrzymać nie mogę. Mój Boże! Po co mi pan dał omletu z rumem?

— Po to, żeby się pani nie namyslała, panno Marusiu, bo to jest... Ale co ja widzę! Panna Helena!

— Hela! — pisnęła Marusia radośnie! — Helu, widzisz... zaczęła Marusia.

— Widzę, żeś się spiła, niegodziwa!

— Nie. To jest tak. To pan Kosa. Wiesz, pan Kosa starał się o mnie.

-- Wiem o tem oddawna.

— Jakto? Ty wiedziałas? i nic mi nie mówiłas?

— No, cóż dalej?

— No i teraz właśnie... bo ja się... ja... piszczała już płacziwie.

— Panno Heleno, zabieramy się do stanu małżeńskiego: ja na trzeźwo, a Marusia niezupełnie.

— Czy ja się kiedy spodziewałam! Helu! jaka ja szczęśliwa! — Tu rozplakała się na dobre.

— Cicho, biedactwo moje! — uspakajała ją czule przyjaciółka — Chodźmy stąd. Ludzie na nas patrzą.

— Państwo pozwolą — wtrącił Karol — że złożę im serdeczne powinszowanie i choć mało znany, zaproszę na obiad do siebie. Nie chcę dziś jeść ze zjazdowymi, a tu mi los nadarza tak miłych biesiadników.

— Doskonale! Wiwat Dramowski! *Primus inter pares* — jak mówi Hela — wyrwała się ucieszona Marusia.

Karol spojrział na Helę i nie dostrzegł najmniejszego zmieszania na twarzy.

Pani mnie tak nazwała?

— Pytała mnie kiedyś... — Nie chciała dokończyć Hela.

-- Potulińska zapewne! Rozumiem. Cóż idziemy?

W godzinę potem małe grono biesiadowało wśród śmiechu i wesołej gawędy, w końcu pito zdrowie młodej pary wybornym szampanem.

Blinowska śmiała się, to płakała na przemian, upewniając wszystkich, że nie spodziewała się nigdy tak wspaniałych zaręczyn.

Szósta godzina wybiła. Karol przypomniał so-

bie o przyrzeczeniu, jakie dał wczoraj Kazi i przeprosiwszy serdecznie swych gości udał się do mieszkania „exnarzeczonej“, jak ją w duchu nazywał.

---

Pokoik Kazi, jak w Genewie, pełen był kwiatów, tuberozy pachniały odurzająco, na stoliku stała szklanka z gałązką bzu białego. Kazia w różowej bluzce siedziała w fotelu, z główką wspartą na dłoni. Przybrała wyraz łagodnego smutku, taki, jaki widywała na twarzy u Rwańskiej w pewnych chwilach. Tylko Kazię nie zdołał ten wyraz.

Karol jednym rzutem oka objął cały obrazek obliczony na efekt. Chciała uderzyć w strunę wspomnień. Postanowił przeciąć odrazu wszelkie nadzieje.

— Pani miała mi coś zakomunikować — rzekł prosto z mostu, nie siadając nawet na fotelu, który mu wskazała.

Kazia spojrzała błagalnie.

— Chciałam pana prosić, by pan ten zagareczek dla siebie zachował — tu podała mu miękkim ruchem dar, który jej na imieniny ofiarował.

Jest coś bardzo upakarzającego, nadwyraz przykrego, w odbieraniu darowanych przez siebie przedmiotów.

Kazia miała nadzieję, że wobec podobnej perspektywy Karol będzie wolał powrócić z nią do dawnego stosunku. Spóźniła się: Karol już poznał Helę.



Patrzył na „exnarzeczoną“ z wyrazem niechęci. „Jak on mógł chcieć się żenić z tą kobietą?“ Miał już na ustach uwagę, że mogłaby załatwić ten interes przez pocztę, ale przypomniał sobie słowa Heli: „Niech pan będzie dobry dla niej“ i pohamował się w porę.

— Czy tak panią skrzywdziłem, że gardzi pani moim darem? — spytał z udanym wyrzutem.

— Pan rozumie, że nie mogę nosić kosztowności, darowanej mi przez człowieka, który stał się dla mnie zupełnie obcym.

— Jestem w takiej pozycji względem pani, że nie mam prawa odmówić, choć rozkaz jej sprawia mi niezmierną przykrość. Pozwoli pani, że ją pożegnám teraz, życząc wszelkiego w życiu dobra i pomyślności.

Kazia uśmiechnęła się boleśnie. Liczyła jeszcze na ten uśmiech biedaczka. Karol ucałował jej rękę i wyszedł.

„Skończone!“ myślało każde z nich w tej chwili, tylko ona z uczuciem rozpaczny, on z uczuciem prawdziwej ulgi w sercu.

---

Dramowski zdawał sobie wyraźnie sprawę z tego, że się w Heli zakochał. Myślał o niej bezustannie, widział ją ciągle przed sobą, zdawało mu się nawet, że był nawzajem kochany.

I wahał się. On, co bez zastanowienia ofiarował swą rękę nieznanjomej prawie Kazi, ku której

nic go nie pociągało, nie mógł się zdecydować na wyznanie swych uczuć tej, którą kochał prawdziwie. — Wydało mu się, że nie zna dostatecznie tej kobiety, że Hela ma już poza sobą jakąś przeszłość, jakąś tajemnicę. Smutny wyraz twarzy dziewczyny mówił mu o przeżytej przez nią boleści, która stoi między nimi jak nieprzeparta zaporą.

Słowa Rwańskiego, u którego próbował zasięgnąć bliższych o Heli wiadomości potwierdziły tylko te przypuszczenia. Mówił mu, że była mizantropką, i że mogły się złożyć na to jej usposobienie, ciężkie przejścia, których w życiu miała doznać. Natomiast uspokoił go całkowicie co do przypuszczalnych suchot Heli: przeciwnie, według Rwańskiego miała niespożyte zdrowie. Ucieszyła Karola niezmiernie ta wiadomość, natomiast myśl o ciężkich przejściach w życiu ukochanej sprawiła mu niezmierną przykrość.

Po dłuższem zastanowieniu powziął projekt zupełnie rozsądny: Hela na każde jego zapytanie odpowiadała zawsze bardzo prosto i szczerze co myślała lub czuła, nie zważając na to, jakie wrażenie odpowiedź jej zrobi na słuchaczu. Przypomnił sobie, jak mówiąc o romansie Kamili z Leszczem, wyznała, że jest zwolenniczką jak najswobodniejszej miłości i jeżeli ma komu co do zarzucenia w tej sprawie, to Leszczowi tylko, który jest „*popolitus vulgaris*“, mógł sobie wrócić do Paryża i „wziąć na odciąganie“, zamiast bałamucić kobietę, która należała do innego.

Taka otwartość i *sans gêne* Heli wydała mu się wówczas nadzwyczaj rażąca, dziś jednak widział w niej rękojmię szczerości tej dziewczyny i postanowił wybadać ją co do jej własnej przeszłości.

Gdy po tem postanowieniu wszedł wieczorem do pokoiku dziewczyny, Hela na powitanie rzekła mu, że na niego z herbatą czekała. Wziął to sobie za dobrą wróżbę: jest tak otwartą, że nie przed nim chyba nie zatai.

— Pani osoba działa na mnie uspakajająco, wyznał, chcąc odrazu wpaść w ton wzajemnej ufności.

— Nie tylko na pana. Wiele koleżanek mówiło mi to samo.

— Jednakże to jest bardzo dziwne, bo pani ma opinią mizantropki.

— To Rwański jeszcze za Kamilą powtarza?

— Widzę, że pani jest skończoną czarodziejką i boję się usta otworzyć. Skąd pani wie, że mam tę wiadomość od Rwańskiego?

— To wszystko jest prostsze, niż się panu zdaje: naprzód z nikim innym nie mógł pan o mnie mówić, tylko z Rwańskim i z „Kosami“. Oni oboje z pewnością nie powiedzieliby tego o mnie, bo to nieprawda, i on nie jest zdolny sądzić o kimś niekorzystnie, ale ona mnie nie lubiła. Nie pasowałyśmy do siebie: ona potrzebowała wpływać i wyrabiać, a ja się nie nadaję do tego. Mnie wyrobiło życie, nie koleżanki lub książki: ani mnie wyra-

biać, ani przerabiać, ani dorabiać nie sposób. Ale mizantropką nie jestem. Przeciwnie.

— Niechże mi pani w takim razie wytłómaczy, dla czego pani jest ciągle smutną. Nie dla tego chyba, że na Ukrainie dużo jedzą a mało pracują? Takich ludzi jest wszędzie podostatkiem, a jednak nikt z nas nie chodzi z tej racji po świecie z obliczem Kassandry lub Nioby.

— Dla czego? — odrzekła zamysłona, skręcając swój wieczny papieros. Zdaje mi się, że i pan nie zrozumie.

— Pani tak sądzi? A ja bardzo chciałbym panią zrozumieć.

Hela rzuciła nań długie, badawcze spojrzenie i wypuściła kłąb dymu.

— Nie to, co się panu zdaje, zaczęła spokojnie: ja nad osobistymi przykrościami nie mogłabym tak cierpieć, jak cierpię. Chyba, kto wie? gdybym straciła ukochaną istotę, jedyne dziecko, ukochanego męża, to co jest najbliższego nas samych, nami samymi niemal. Ją cierpię... Ja nigdy z nikim o tem nie mówię. Mnie to ogromnie kosztuje. Pan wie zapewne, co to jest *Weltschmerz*. Ja cierpię, bo jest na świecie ból, jest gwałt, przemoc, okrucieństwo, bo jest cierpienie! Jest i będzie, pomimo najmědrszych ustrojów, pomimo najidealniejszych społeczeństw. Zostanie kalectwo, choroba, męka i śmierć. Jestem medykem. Miałam czas oswoić się z tem wszystkim i nie mogłam.

Czego ja się naczytałam, napatrzyłam, co przeżyłam, co przeżywam dotąd!

Ja wiem, że to jest taki stan nerwów, nic więcej; że setki ludzi mogą patrzeć na to co i ja, czytać, wiedzieć o tem samem i nigdy nie doznać tego bólu, tej rozpacz, tego... uczucia nieszczęścia!

Rok temu, właśnie podczas zjazdu, miałam pacjentkę. Casus nieuleczalny prawie i okropny: eklampsja. Robiłam, co mogłam, czego mnie uczono i nie uczono, ale uleczyć oczywiście nie mogłam... I widziałam, musiałam patrzeć z założonemi rękami, jak konała... okropnie! pogryzła sobie język w kawałki...

Tu wielkie łzy spłynęły po bladej twarzy dziewczyny; łyknęła prędko herbaty i znów mówiła spokojnie:

— Przyszła raz do kliniki kobieta z ośmiomiesięczną córeczką. Co było temu dziecku, nie wiem dotychczas.

— Niech pani nie wraca do tych wspomnień! przerwał jej Karol wzruszony. Pani nie jest stworzona na medyka.

— Czy to trzeba aż medykiem być, żeby się serce w człowieku krajało! Dość jest wziąć w rękę gazetę: Dziś ojciec zatłukł kijem dwuletnią córeczkę, wczoraj matka zapiekła żelazkiem pięcioletniego synka, zwilżając mu wciąż ranę i piekąc ciągle to samo miejsce...

Hela płakała, twarz jej kurczyła się cała, usta wykrzywiały się szpetnie. Karol, wpatrzony w nią,



nie zdawał sobie sprawy z tego, że była nieładną w tej chwili. On cierpiał za nią jedną, ale cierpiał tak niemal gwałtownie, jak ona za ludzkość całą.

Hela otarła oczy i znów mówiła, jakby sama do siebie, nie patrząc na Karola.

— Kilka lat temu szczury zjadły roczne dzieciątko, ukrywane przez nieszczęśliwą matkę w piwnicy... W Wiedniu niedawno jakaś piekielnica póty kłóła dzieciątko igłą... Łzy przerwały mowę biednej dziewczynie.

— Ależ to codzienne wypadki! — rzekła z najwyższą boleścią. Teraz, w tej chwili, ktoś się pastwi nad słabem, bezbronem stworzeniem. Ta rozpacz biedactwa, to nierozumienie, za co? Co to się dzieje? To coś tak potwornie bolesnego... Ja nie jestem stworzona na medyka? Ja do życia nie jestem stworzona. Gdy wspomnę coś podobnego, nie chcę żyć! Chcę cierpieć i skonać, jak gdyby to coś pomogło tym ofiarom!

Tyle jest takich faktów, w takich najpotworniejszych formach! Dzieci naprzykład! A zwierzęta, katowane, zamęczane bezmyślnie, nieraz dla pustej zabawy! Cóż stąd, że świat się kiedyś odmieni, że zabezpieczy i kobietę, i dziecko i kociaka nawet! Tym co w mękach umarli, to już cierpienie nie nagrodzi! Ci skonali w męce i rozpacz i ulgi nie zaznali do końca. Oni już nic innego nie uczują!

Hela oparła o poręcz kanapy ciemną, o zło-

tawym polysku głowę, ukryła twarz w dłonie i płakała długo i rzewnie.

-- Mnie to ulgę sprawia, kiedy się wyplaczę. Ja tak ciągle tłumię w sobie ten smutek... Teraz mi lżej.

Karol ujął kościstą rękę Heli w obie dłonie. Nie bronila mu tego. Wiedziała, że to jest człowiek, jak mówiła niegdyś Kazi, że jest dobry, że ją rozumie.

---

Zjazd się skończył, młodzieź się rozjechała, Karol i Hela zostali w Zurychu. Chodzili razem po mieście, ślizgali się po zamarznietem jeziorze, przesiadywali razem długie zimowe wieczory, rozmawiając, to milcząc razem i było im nad wszelki wyraz błogo. Dnie i tygodnie mijały im szybko, w duszy mieli spokój i szczęście, jakie tylko daje miłość wzajemna istotom wybranym, inogącym czuć bardzo głęboko i bardzo subtelnie. Hela nie wyczekiwała z natężoną uwagą wyznania Karola. Gdy jej pewnego razu powiedział owo „kocham“, którego nie wyrzekł żadnej dotąd kobiecie, byli oboje bardzo wzruszeni: widzieli, że ta chwila pozostanie na zawsze wrytą w ich sercu. Odtąd mówili sobie po imieniu, zresztą przesiadywali z sobą, to gwarząc, to milcząc, jak przedtem.

Opowiedzieli sobie wzajemnie całe swe życie, on jej wyznał, że się obawia choroby umysłowej, dziedzicznej w jego rodzinie. Przyjęła to spokojnie, obiecując sobie w duchu, że będzie nad jego zdro-

wiem czuwała. Ona jemu rozpowiedziała bolesną historję swej pierwszej młodości: zrujnował a właściwie okradł ją i matkę jej zręczny oszust z typem aferzystów, który zaręczywszy się z szesnastoletnią wówczas Helą, kupił za jej posag wieś na Bessarabji, a potem, gdy mu Hela na zasadzie opinii, jaką sobie zyskał, słowo zwróciła, odmówił jej zwrotu pieniędzy, widząc, że matka jej, jako opiekunka, była przed sądem odpowiedzialną za rozporządzanie majątkiem niepełnoletniej. Karol okazał narzeczonej serdeczne współczucie, podziwiał hart młodej dziewczyny i kochał ją tembardziej, tem głębiej.

Pewnego dnia pogodnego jak ich miłość, kochankowie udali się do Rapperswylu. Hela pierwszy raz zwiedzała stary zamek, chroniący polskie narodowe pamiątki. Poczciwy kustosz oprowadzał ich po zamku, opowiadając, od kogo pochodziła ta lub owa pamiątka, i zapewniając o autentyczności starych zabytków. Doprowadziwszy ich w ten sposób do pokoju Kościuszki, opowiadał o projektowanej przez Radę budowli, którą miano dołączyć do zamku, aby stanowiła mauzoleum bohatera, gdzie zamierzano złożyć jego serce, przechowywane przez włoską rodzinę Morosinich. Tu zacny kustosz opuścił gości, by im przynieść plan owej przybudowli, czy też projekt urny. Kochankowie zostali sami; patrzyli na sprzęty, mundur, broń, portrety ukochanego w narodzie bohatera.

Karol znalazłszy się w tym pokoiku, doznał

głębokiego wzruszenia. Otoczył ramieniem swą ukochaną i rzekł jej półgłosem:

— Helu moja! stoimy tutaj w największej dla nas świątyni, jak przed ołtarzem narodowym, pełnym drogich sercu relikwii. Helu! niech ta chwila będzie naszym ślubem.

— Tak! odrzekła mu, blednąc ze wzruszenia.

Takie to było uroczyste, że nie mówili już więcej ani słowa do siebie.

Za progiem gmachu, Karol zdziwiony był skąd mu się wziął tak romantyczny pomysł.

— Teraz wiem, gdzie jest poezja w życiu, mówił do zamysłonej dziewczyny: w miłości!

— My, kobiety, wiemy o tem oddawna, rzekła Hela z przekonaniem. Tylko wy nam wierzyć nie chcecie.

---

W pierwszych dniach marca odbył się cywilny a potem kościelny ślub p. Karola Dramowskiego z panną Heleną Kołowiczówną. Była to dla nich formalność tylko. Stanowili oddawna już małżeństwo. Hela nie włożyła tradycyjnej białej szaty z welonem i wiankiem; ubrana była jak do podróży; tego samego dnia, pociąg unosił państwa Dramowskich do kraju.

---

Kazia po rozmowie z Dramowskim, wyjechała niezwłocznie do Genewy. Wróciwszy późno wieczorem do swego pokoiku na *Chemin du Cygne* usiadła w fotelu, głowę podparła ręką i usiłowała

myśli skolatane pozbierać. Musiała coś postanowić zaraz, koniecznie. Tak przecie pozostać nie mogła. Fontanna szemrała za oknem jednostajnie nieznośnie, powtarzała jej coś przykrego, uporczywie, bez ustanku i przeszkadzała myśleć. „Jakie to męczące: chlupie i chlupie, wlewa mi pod czaszkę coś niedobrego; ja przytomność utracę“, myślała. Oto już coś jej myśli zamroczyło. Jest chora widocznie. Nie, to senność tylko. Nie spała od wigilji; przez cały ten czas żyła w ciągłym naprężeniu wszystkich władz duchowych. Udawała, hamowała się, panowała nad sobą. Teraz nie mogłaby już żyć tak dalej. Zaręczona jest. Życie tak nuży... „Spoczynku! sen, śmierć... jak to dobrze umrzeć...“ dotąd nigdy nie pragnęła śmierci!... Położyła się w ubraniu, okryła się szalem i zasnęła. Spała całą dobę bez przerwy, nie śniąc, nie wiedząc, że żyje. Nazajutrz wieczorem stara Morelowa, alias baba Kazi, zaniepokojona o zdrowie swej lokatorki zapukała do drzwi gwałtownie. Nie prędko zbudziła się dziewczyna, i zapewniwszy babę, że nic jej nie jest, obróciła się na drugi bok i zasnęła natychmiast. Coś jej się marzyło niewyraźnie, dziwacznie; obudziwszy się w południe dnia następnego, starała się przypomnieć sobie ów sen i nie mogła: wiedziała tylko, że jest głodna i że z Karolem zerwała.

„Trzeba coś zjeść“! Głód zagłuszał w tej chwili najboleśniejże wspomnienia.

Baba na żądanie Kazi przyniosła jej cały obiad



do pokoju, rada niezmiernie, że się lokatorka wreszcie przebudziła i ma apetyt, więc nie jest chora.

W miarę zaspakajania głodu, Kazi wracała trzeźwość i zaczęła dziwić się sobie niezmiernie: „Czy to być może, żeby ona kochała się tak długo w tym marnym Leszczu? Nie, to była nienormalność. Wszak oto nawet nie cierpi teraz z jego powodu. Rada jest, że nie wyjdzie za niego. On bywał bardzo niesympatyczny chwilami. Nie kochałam go, a utraciłam z jego powodu Karola! Teraz znajduję się w takiej samej pozycji, jak półtora roku temu w Wintowie. Co tu robić teraz? Tu pozostać nie może. Rozumiała, że w oczach kolegów i koleżanek miała wartość tylko, jako narzeczona Dramowskiego. Zresztą, co będzie robiła w Genewie? Nauki społeczne? Ależ jej to nie zajmuje, to był tylko środek, ale nigdy cel? Wracać do kraju? do Wintowa? bez męża, kiedy matka rostrąbiła na wszystkie strony o świetnej partji, którą ona robi? To niemożliwe! Najwłaściwiej byłoby przenieść się gdzieś na Litwę, czy na Ukrainę, jako guwernantka i szukać szczęścia wśród ludzi, którzy nie znają jej przejścia z Dramowskim“.

Tak, nim obiad skończyła, nakreśliła już sobie nowy plan kampanji. Bardzo wiele liczyła na swe wykształcenie, znajomość zagranicy, inteligencję. Nie straciła czasu w Genewie; zdobyła sobie jedną szansę więcej do zamążpójścia. „I to już coś warte“, myślała.

Takie postanowienie uspokoiło ją zupełnie. Czekwała niecierpliwie powrotu koleżanek z Zurichu: chciała prosić Kołowiczównę, by ją rekomendowała jako nauczycielkę komuś ze znajomych na Podolu. Jest jeszcze Bułatówna z Wileńskiego, i ta z Odessy... nie może być, żeby żadna z tych pań, nie mogła jej dopomódz.

---

Pierwszą osobą, która ją odwiedziła po powrocie ze zjazdu, była znowuż Bartska.

— Jakże się wam powodzi? pytała od progu, z udaną swobodą, której nie miała nigdy w rozmowie z Kazią.

— Dziękuję wam, odrzekła Potulińska z przymusem. Cóż tam słyhać?

— I nic, i bardzo wiele: Naprzód Rwańska...

— Cóż się z nią stało? Zachorowała?

— Nie ma obawy! Kopnęła się z Leszczem do Paryża?

— Jakto kopnęła?

— Bardzo prosto: puściła w trąbę jednego kochanka i, ulotniła się z drugim.

— Co wy mówicie? To być nie może! Rwańskiego porzuciła? Rwańskiego?!

— Cóż chcecie: kobieta bez żadnych zasad moralnych, która opuściła już raz najzaciejszego męża i rodzone dzieci...

— Ależ postąpiła według swoich zasad tylko, reflektowała ją Kazia.

— Żadna zasada nie uświęca tego, żeby się stare, sterane babsko wieszalo na szyję młodemu człowiekowi i zawiązywało mu świat swoją osobą.

— Biedny Rwański! mówiła do siebie Kazia.

— Biedny, dobrze mu tak! Poco się z taką wdawał. Ukradł u kogoś, teraz jemu ukradziono. Mężczyźni są wszyscy egoiści; nie ma racji nad nimi się rozpadać. A Karol Dramowski! Jeszcze z wami nie zerwał, kiedy już cały w Heli Kołowicz utonął. Nie wiem tylko, jak długo to potrwa, bo on także jest podły, jak każdy mężczyzna, zresztą: wszak i mnie plótl koszałki opalki, i tegoż samego dnia wam się oświadczył. Ja wam radzę, zróbcie tak, jak ja: wstępuję do towarzystwa feministek. Mężczyźni chcą nad nami panować, przetrzucają nami, jak bawidelkami; która się sprzykrzy, w kąć ją i już zapomniał. Pokażemy im, że potrafimy wyżyć i bez ich łaski, że wystarczymy sobie wybornie.

Kazia na wpół już tylko słuchała dowodzeń koleżanki. „Rwański jest wolny“, myślała. „Ten Rwański, którego zazdrościła niegdyś Kamili, którego obecność uszlachetniała Kazię niegdyś. Jakże byłaby niezmiernie szczęśliwą, gdyby się jej udało... Tylko, czy to jest możliwe? Czy on może o tamtej zapomnieć? W każdym razie nie zawadzi spróbować“. Żegnając świeżo-nawróconą feministkę, układała już sobie plan zbliżenia się do Rwańskiego: powolne kojące oddziaływanie na jego zbolalą duszę, niezachwiane oznaki przywiązania,

współczucie, szacunek dla jego cierpienia i tak dalej, a przede wszystkim pretekst do odwiedzenia go. Znalazła takowy po namyśle. Postanowiła jednak zostawić Rwańskiemu czas na oswojenie się ze świeżą boleścią. Czekala więc do końca stycznia.

Kazia nie upiększyła swej twarzy farbką. Wyglądała blado, żółte cienie wkoło ust i na skroniach świadczyły o przebytem niedawno cierpieniu. Chciała wzruszyć Rwańskiego podobieństwem losu. Znała głęboko czulość tego człowieka: wiedziała że widok cierpienia, większe nań uczyni wrażenie, niż świeża rumiana twarzyczka. Przybrała wyraz beznadziejnego spokoju, i głos pelen głębokiego smutku. Ale od pierwszego wejrzenia zrozumiała, że liczyć na Rwańskiego nie może: Boleść zmieniła go w sposób rozdzierający serce: twarz miał zastygłą, bez wyrazu, oczy nieruchome, jakby wystraszone, szeroko otwarte; gdy zaczynał mówić, jąkał się, szukał wyrazów, usta mu się krzywiły nerwowo. Kazię tak przeraził ten widok, że nie umiała ukryć swego wzruszenia. Rwański wyczytał to wrażenie na jej twarzy: naprzód uśmiechnął się gorzko, wykrzywając usta, czego dawniej u niego nie dostrzegła, potem lży mu w oczach stanęły, odwrócił się szybko i otarł je ręką nieznacznie.

Kazia nie chciała go już teraz, gdyby nawet o niej pomyślał. Opowiedziała mu w krótkości cel

swych odwiedzin. Chciała wracać do kraju, i obawiała się, że ów szpicel, poturbowany przez obywatela Kosę (o Leszczu nie wspomniała biedakowi), mógł o niej donieść rosyjskiej policji; bała się, że ją zaaresztują na wstępie do kraju.

Rwański uznał słuszność jej obaw i przyrzekł porozumieć się w jej interesie z niejakim Malińskim, naczelnikiem poczty w Kłonowie.

„Maliński, niedoszły szwagier Karola“, pomyślała dziewczyna. Niewiadomo dlaczego, wyobraziła sobie zaraz, że musi być podobny do Rwańskiego, nikły blondyn, z dobrymi, kochającymi cały świat oczyma. Obmyśliła sobie wzruszającą historję prześladowania przez policję i sędziego śledczego, miała mu odpowiedzieć, że do domu wrócić nie może, dopóki nie otrzyma od rodziców wiadomości, że ów moskal, który gorzał uczuciem zemsty przeciwko niej, wyniósł się do Petersburga.

Tak przygotowana do roli politycznego przestępcy, puściła się, zaopatrzona w rekomendacje i przestrogi, ku rosyjskiej granicy.

Kłonów, było to niewielkie miasteczko, nawet nie powiatowe. Była to jakby miniatura słynnego na Ukrainie Berdyczowa. Czuć było żyda o wiorstę, słyhać go było o staję, widać go było wszędzie, na każdym miejscu, w każdym domu, we wszystkich drzwiach. Ulice, zaułki, place, rynek, roily się jak czarne olbrzymie mrowisko, ruszające się, drgające, krzyczące i woniejące.



Co robiło, z czego żyło to wszystko, skupione na malutkiej przestrzeni pogranicznej mieściny? Żyło bliskością granicy, żyło kontrabandą. Przemycano tam i napowrót wszystko: wódkę, tytuń, owoce, szczecinę, drób, zbiegów politycznych, skóry, bydło, jaja, pisma zagraniczne, fałszywe ruble, medaliki misji ks. Bosko, obrazki Matki Boskiej, wodę z Lourdes, jedwabie, koronki, wełnę, genewskie zegarki, lekarstwa, brylanty, wyroby z soli wielickiej, książki do nabożeństwa, pornograficzne albumy, świeże kwiaty i marynowane śledzie.

Nikt w to nie wchodził, jakimi drogami towar dostaje się do miasteczka. Każdy korzystał z dobroci i taniości produktów: i urzędnicy i strażnicy, okoliczni obywatele i chłopci, i nieliczni mieszcza-  
nie Kłonowa.

Kazia, jadąc w budzie żydowskiej przez główny plac wstrętnego mrowiska, myślała z rozpaczą, że mieszkać wśród tych brudów i zgiełku jest taką ostatecznością, że lepiej już wyrzec się wszystkiego, o czym myślała, lub nie myślała, niżeli zatrzymać się w tej dziurze.

Gdy zajechała w owej budzie, utworzonej z rozpiętych na obręczach płócien, przed ganek pocztowego budynku, wysunęła się z wielką trudnością nawpół zgięta ze swej arki i rzuciła okiem na rezydencję Malińskiego: było to coś pośredniego między dworkiem a chłopską ukraińską chatą. Niska budowla obielona wapnem, poszyta szerniąłą strzechą, okna miała maleńkie, ganek z czterech słupów, pobie-

lany, nieoszklony nawet, stanowił wejście do biura pocztowego i do prywatnego mieszkania pana naczelnika. W tejże chwili na ganku ukazał się gospodarz. Ujrzała przed sobą mężczyznę wysokiego wzrostu, o silnej budowie, bardzo kształtnego i przystojnego. Był to typ wschodni, tatarski. Nos miał równy, szeroki w nasadzie, policzki wydatne, usta grube, zmysłowe, podbródek lekko rozdwojony, czarne gęste brwi zbliżone ku sobie i lekko zrosnięte. Zpod brwi tych spojrzały na Kazię oczy nieruchome, spokojne, piwne niemal czarne a tak rozumne i przenikliwe, że studentka zmięszała się pod ich spojrzeniem, i zaczęła znajomość od rumieńca. Gdy Maliński, zamiast powitania, ujął ją w pasie rękami, i lekko jak piórko, uniósł z arki, z której wysiąść nie mogła, i na ziemi postawił, zażenowała się jeszcze bardziej i na razie nie umiała słowa przemówić. Maliński odprowadził gościa do malusieńkiej izdebki, której całe umeblowanie stanowił tapczan, zasłany baranicą, dwa zydelki o trzech nóżkach, stół nakryty haftowanym ręcznikiem z domowego grubego płótna i wielkiego o prostokątnych wzorach kilima, zaścielającego ubitą w braku podłogi ziemię. Matka Malińskiego kończyła zawieszać w okienku, wprawionem na głucho w ścianę, białe myślinowe firanki; na żądanie Kazi, służąca przyniosła glinianą polewaną miskę i takiż kubek źródlanej wody. Kazi to wszystko wydało się tak nędzne, biedne, zaściankowe, że gdyby nie wspaniałały typ gospoda-

rza, wyjechałaby niezwłocznie. Ale czarne brwi i mądre oczy, kazały jej zapomnieć i o ubitej ziemi i o baranicy i o glinianej umywalni, nawet i o białuteńskiej czuprynie, okrywającej wspinałą głowę ukraińskiego szlachcica.

Kazia, pod pretekstem złych wieści z Wintowa, spędziła kilka tygodni w domu Malińskiego. Przez cały ten czas próbowała dobrać klucza do serca swego gospodarza i nie umiała! Nie rozumiała najzupełniej tego człowieka, prawdopodobnie dlatego, że znała z ciężkiego jego życia jedną tylko kartę: utratę narzeczonej, która na miesiąc przed ślubem, zwarjowała. Nie wiedziała, że był jedynym synem zamożnych rodziców, którzy wysłali go jako dwudziestoletniego młodzieńca do Warszawy, dla nabrania „tej tam oglady i światowych manier“, jak się wyrażał ojciec. Tam młody chłopiec zakochał się na zabój w pannie Annie Janickiej, młodziutkiej wówczas przełożonej tej samej pensji, w której wiele lat potem kształciła się nasza Kazia.

Z Warszawy wyrwała go przerażająca depecha matki, obwieszczająca mu o jakimś niesłychanym nieszczęściu. Gdy wrócił do swej Malinówki, dowiedział się, że ojciec zadłużył majątek najokropniej, chcąc się ratować od grożącej ruiny, nakupił fałszowanych pieniędzy, a nie mogąc puścić ich w obieg otruł się. Młody Maliński ratował jak mógł straszną sytuację, chciał, o ile się to dało zaspokoić tych wierzyteli, których ruina

nieszczęsnego ojca, strąciła na dno nędzy. Gdy po roku udało mu się jakotako wierzycieli zaspokoić, doszła go przez dziesiąte, czy setne może usta, fałszywa wieść, puszczona nieostroźnie w świat przez pannę Rębajłę, że jego Anna za mąż wychodzi. Za wiele przecierpiał biedak, by go ta wiadomość zabołec mogła. Tylko od owej chwili coś w nim zamarło; kobieta przestała dlań istnieć, jak mu się zdawało. Nie miał czasu myśleć o miłosnym zawodzie; musiał szukać kawałka chleba, uniwersytetu nje skończył, mógł conajwięcej ubiegać się o posadę pisarza, sekretarza, kasjera, rządcy, czy ekonomy, w którym z większych majątków na Ukrainie. Głośna na trzy gubernie niesława ojca, zamykała mu wszystkie drogi. Wyrwał go z okropnego położenia, w jakim się znajdował, mało mu wówczas znany, młodszy o lat kilka, kolega Karol Dramowski, zaproponowawszy mu zarząd wspólnego majątku rodzeństwa Dramowskich na Podlasiu. Maliński przeniósł się tam z matką, która zaopiekowała się dorastającą wówczas siostrą Karola. Dziewczyna, zawsze nienormalna i dzika, zakochała się w nim na zabój, wyznała mu swą miłość w liście pełnym rozpacz i grożąc samobójstwem w razie braku wzajemności, i w pół roku po zaręczynach zwarzjowała. Młodość Malińskiego pełna nieszczęść, zawodów i upokorzeń pozostawiła niezatarty ślad na charakterze dzisiejszego naczelnika kłonowieckiej poczty. Kazia nazywała go czarnym duchem, okropnym czło-

wiekim, gniewała się na niego, a przede wszystkim nierozumiała go wcale; gdy mówiła mu o swych studjach, odpowiadał, że najlepiej jest być analfabetą, gdy unosiła się nad pięknosciami Szwajcarji, mówił jej, że musi tam być „nadto cyprysowej woni i nadto barwy, co się w różach płoni“, i nie mógłby wyżyć w tych balsamach, po takim Kłonowie. Gdy chciała grać na strunach ukraińskiego sentymentalizmu, zgadzał się na utworzenie odrębnego państwa ukraińskiego ze stołecznem miastem Targowicą i z królem Kwaśnickim, głośnym wówczas hersztem złodziejskiej szajki. Dodał nawiasem, że znajdują się i lepsze rody, mogące współzawodniczyć o ten zaszczyt z Kwaśnickim. Rozmawiał z nią o koniach, o polowaniu, o lisach, dropiach, znał mnóstwo anekdot o żydach. W ogólności zajmował się mało swym gościem, dużo miał zajęcia obowiązkowego, pozatem chodził najczęściej po izbie stołowej, wyglądał przez okno gdy przejeżdżał jaki pojazd obywatelski i ciągle coś sobie nucił, coś bardzo jednostajnego, smętnego, jak przeciągły płacz lub wycie.

Kazia wiedząc, że Maliński dopomaga do przewożenia zabronionych pism przez kordon, zaczęła z nim rozprawę o kwestji polskiej: wyłożyła na stół: żywotność narodu, niespożyte siły ludu, nieświadome swej potęgi, rozrost ludności, ruch socjalistyczny, bogactwo literatury... słowem wszystko, co zapamiętała z dziennika Karola, cytowała dziś, sądząc, że znalazła punkt styczny między sobą



i tym dziwnym człowiekiem. Maliński znał cały ten „katechizm“ na pamięć:

— Pani jest ze szkoły Dramowskiego i jego „Siły narodu“ — rzekł jej powolnie. — Ja to także czytam. Osiadłem tu, przy granicy, by to pismo do kraju przekradać. I ot, zdaje mi się, że jestem lekarzem, który umierającemu piżmo pakuje.

— Pan sądzi po tych trzech guberniach, protestowała Kazia zawzięcie.

— Gdzietam, pani: ja czerpię z tej samej „Siły narodu“: W każdym numerze jest rubryka łajdactw narodowych: w Poznańskim co tydzień ktoś sprzedaje ziemię hakatystom, w Galicji księża agitują w interesach Rosji, tu u nas obywatele budują kaplice prawosławne, w Królestwie sędziowie uwalniają zbrodniarzy rosjan od kary, w samej w Warszawie...

Na ostatnie słowa Malińskiego biedna Kazia zerwała się, spojrzała mu w oczy z przerażeniem, chciała coś wyrzec okropnego, ale zdołała tylko wykrzyknąć coś niezrozumiałego i pędem pobiegła do swej izdebki, zatrzasnąwszy gwałtownie drzwi za sobą.

Gospodarz błagał, by mu drzwi otworzyła, prosił, by się wytłómaczyła... Kazia za całą odpowiedź zanosila się od głośnego płaczu.

Maliński, zdumiony do najwyższego stopnia, nie rozumiejąc wcale, co zaszło, dał jej wreszcie spokój, obiecując sobie, że jutro, gdy się Kazia uspokoi, zdoła wyjaśnić to dziwne nieporozumienie.

Nazajutrz jednak nie znalazł nigdzie Kazi: wyjechała o świcie, nie pożegnawszy się ze swym gospodarzem. Zostawiła mu tylko bilecik:

„Łaskawy Panie!

Dziękuję mu za gościnę, której widocznie nadużyłam. Wiedz Pan jednak, że nie ma takich względów, któreby usprawiedliwiły podobne okrucieństwo, jak wypominanie dzieciom — winy ich rodziców“.

Maliński odczytawszy jej pismo, zrozumiał. Oczywiście biedaka, od wielu lat patrzące na świat z suchą powieką, zaszły mu łzami.

---

Kazia odszukała pod Kijowem swoją wujenkę, tę samą, która nieobserwowała szóstego przykazania. Wujenka przyjęła ją dosyć kwaśno, zaklinała Kazię, by nikomu nie przyznawała się do tego, że jest pod nadzorem policji, jak rozumiała z naiwnego jej opowiadania. Zawiozła ją do jakiejś swej przyjaciółki, której znajoma szukała nauczycielki do córek. Ta ostrzegła ją z kolei, by trzymała w najgłębszej tajemnicy swój pobyt na uniwersytecie, gdyż może narazić osoby, rekomendujące ją, na wielkie nieprzyjemności.

Zdawało się Kazi, że wpadła w jakiś świat całkiem dziki, a przynajmniej wychodzący dopiero ze stanu barbarzyństwa: w towarzystwie, sproszonem przez wujenkę pod pretekstem „gościa z Warszawy“ panowie rozmawiali o źrebach i kobyłach, która po którym miała źrebię, panny bez żenady

rozwodziły się o zadach i odsadach ogona swoich wierzchowców, mówiły o chartach, pokurczach i tym podobnych rzeczach, które Kazia uważała za wysoce nieprzyzwoite. Gdy wreszcie sama wyrwała się z fatalnem słowem: „socjologia“; uczyniło to takie wrażenie na słuchaczach i słuchaczkach, że nie wiedziała, biedna, gdzie oczy schować z zakłopotania.

W Wintowie dawno już odbył się ślub rzeczywistego radcy stanu Teodora Iwanowicza Litwickiego z panną Kludją Aleksandrówną Suchaczową, poczem młoda para przeniosła się do Petersburga.

Od owej chwili Paszkow przestał widocznie zagrażać całości potężnego państwa. Puszczono go bez żadnych przeszkód przez granicę.

Nieszczęsny kochanek, nie zastawszy swej lubej w Wintowie, pojechał za nią do stolicy. Znalazł łatwo jej mieszkanie, ale go nie wpuszczono. Przez kilka tygodni stawał codzień przed oknami jej domu i wyczekiwał godzinami, czy nie ujrzy jej wychodzącej na miasto. Czasem zdawało mu się, że widzi jej postać przesuwającą się przez pokój. Mylił się: Kludja leżała na szezłagu, jak matka jej, z tą różnicą, że leżąc przyjmowała licznych gości, rozmawiała w sposób zajmujący, ożywiony, oryginalny nawet nieraz dowcipny i nie opuszczając wygodnej tej pozy, robiła bardzo zręcznie karierę mężowi.

Czasami, ale to bardzo rzadko, wyjeżdżała do magazynów na Newski Prospekt.

Tam dojrzał ją pewnego razu Paszkow pędzącą w lekkich eleganckich saneczkach, zaprzężonych pięknym karym rysakiem.

— Stój! — krzyknął furmanowi i rzucił się jak szalony ku saniom.

— Klaudja, poznawszy go zlekła się i przytomność na chwilę straciła.

— Klaudjo! Klaudjo! — zawołał głosem najgłębszej rozpaczki! ja żyć nie mogę...

— Czego pan chcesz jeszcze? — ofuknęła kobieta, ochłonawszy ze strachu. — Zdaje się, wszystko pan już miałeś — Ruszaj! krzyknęła furmanowi.

Koń popędził, obryzgując rozgrzłym, brudnym śniegiem twarz nieszczęśliwego.

— Bacność! wołali furmani, wymijając go jeden po drugim.

Paszkow doszedł do Newy i stanął na moście. Rzeka niosła leniwie popękane bryły lodu i rozbiła je o kamienne słupy. Eugeniusz chwycił się obu rękami za poręcz mostu, pochylił się, przerzucił się całym ciałem na drugą stronę barjery. Owiał go chłodny wiatr od rzeki, potem uczuł potężne uderzenie czaszki o krę i poszedł na dno wraz z polską kwestją i powstaniem Syberji.

---

Kazia bardzo wielu rzeczy dowiedziała się podczas swego krótkiego stosunkowo pobytu na Ukrainie. „Teraz dopiero poznałam świat takim, jakim

jest w istocie“, mówiła sobie z goryczą. Właściwie poznała jedną jego stronę, t. j. obchodzącą ją tak żywo kwestję małżeństwa i w jednej tylko sferze — nawpół zrujnowanej szlachty ukraińskiej: lud nie zajmował jej wówczas, a wielkie domy były dla niej niedostępne; obracała się w kółku ludzi średniej miary, gdzie taka osoba, jak ona, mogła liczyć na pewne szanse powodzenia. Przekonała się biedna dziewczyna, że tych szans nie ma dla niej wcale; owo wykształcenie, którem chciała imponować, odstraszało od niej mężczyzn, wydawała im się zanadto mądrą: z taką żoną trzeba utrzymywać się na pewnej wysokości intelektualnej, która mężczyznę, zwłaszcza ukraińca — nuży. Czytać, myśleć, dysputować, wyrabiać sobie kierunek, system, pogląd na każdą rzecz, to dobre dla uczonych, literatów, ale żeby obywatel miał się tem zajmować, to trudno. Jest tyle rzeczy stokróć więcej zajmujących.

Dalej, nie uszło uwagi Kazi, że aspiratorek do stanu małżeńskiego było mnóstwo, aspiratorów zaś nie było wcale. Wszyscy panicze sięgali wyżej, po bogatsze dziedziczki, uczęszczali tam, gdzie zwąchali kapitał, gdzie były jedynaczki, gdzie gospodarstwo było prowadzone lepiej, gdzie nie słychać było o długach. Od równych sobie majątkiem, a właściwie brakiem majątku, wykręcali się bardzo wyraźnie. Każdy z nich miał na pamięci ową fatalną czternastkę, która wedle rosyjskiego prawa stanowi cały posąg panny w razie, jeżeli ma brata.



Toteż braci nie brakło w okolicy. Kazi ta gonitwa za mężem, jaką tu widziała, wydała się wstrętną do najwyższego stopnia. Za mało się krępowano, za ostro występowały rywalizacje, za mało liczone się z przyzwoitością, według jej zdania. Panny zachowywały się wobec Kazi w sposób wprost rażący: gdy która, w braku kawalera, raczyła z nią parę słów zamienić, to z pewnością za zbliżeniem mężczyzny porzucała ją coprędzej, urywając rozmowę w połowie zdania i zagarniała chłopca na wyłączną swą korzyść. Jeżeli jakimś trafem upragniony posiadacz wąsów zbliżył się do Kazi, wydzierano go jej literalnie, odwoływano, zagadywano, uprowadzano z pomocą nieraz mam i nawet oczulków i braci.

Kazia, przyzwyczajwszy się w Genewie roztrząsać wszelkie zjawiska z punktu widzenia społecznego, wyciągnęła stąd bardzo konkretne wnioski o małżeństwie. Gdy zastosowała te wnioski do wypadku, w jakim się ona sama znajdowała, nabrała smutnego przekonania, że na zameście liczyć nie może, ani tu, ani w Królestwie lub w Warszawie. Tam podobna gonitwa i rywalizacja musi odbywać się z konieczności, bardziej nawet zacięta, choć lepiej maskowana. Przy całej swej zręczności rozumiała, że do konkursu stawać nie może, zwłaszcza po ogłoszonym narzeczeństwie z Dramowskim. Oprócz tego przypatrzwszy się nieco stadłom małżeńskim przekonała się, że lepiej jest

nie wyjść za mąż, niż wyjść za człowieka nieodpowiedniego.

Wszystkie te myśli, bardzo dla niej nowe i wcale niewesołe doprowadziły ją do nagłego zwrotu. Za mąż prawdopodobnie nie wyjdzie, chyba dzięki tak bajecznemu trafowi, jaki ją niegdyś zbliżył z Dramowskim. Taki traf może nie nastąpić już nigdy. Trzeba sobie tak życie urządzić, by móżdżek wlec jako tako, nie wyczekując wiecznie na wyzwolenie z panińskiego stanu. Najznośniej byłoby jej tam, gdzie będzie jak najinniej krępowaną — więc za granicą; powtóre w otoczeniu osób pozostających mniej więcej w podobnych warunkach, jak i ona.

A zatem za granicę! Nie do Paryża, bo tam mogłaby się spotkać z Kamilą i Leszczem, nie do Zurychu, gdzie wszyscy koledzy znają jej niepowodzenie z Dramowskim, więc do Genewy chyba? Tam pozostały same niewiasty, wszystkie z małym wyjątkiem należące do tej samej co ona kategorii.

W parę tygodni po takim postanowieniu, Kazia zawitała do znanego jej dobrze miasta. Nie poszukiwała dawnych znajomych, nie chodziła do czytelnicy, pragnęła nade wszystko już tylko spokoju! Nie spodziewać się, nie pragnąć, nie wzruszać się, nie cierpieć! Odpocząć po życiu! Ale Genewa nie mogła jej dać spoczynku: każdy dom, drzewko, kwiatek, jakieś cacko, drobnostka, o której nie pamiętała wcale, jak jej się zdawało, mówiły jej

o wszystkim, co utraciła bezpowrotnie, przypominały jej zmarnowaną młodość i umarłe nadzieje. „Już wiem, już wiem!“ odpowiadała im smutnie: „wszystko minęło, zostałam tylko ja, bankrutka życia i oto jestem sama, zupełnie sama i niczego już nie pragnę i nikogo!“ Tak rezonowała dziewczyna, mająca zaledwie lat dwadzieścia cztery.

Po pewnym czasie jednak zapragnęła choć niewyraźnie czegoś... czegoś takiego, co by ją od wiecznych myśli o życiowym bankructwie oderwać zdołało. Z doświadczenia wiedziała, że nic tak myśli nie rozrywa, jak nowe wiadomości z jakiegokolwiek bądź dziedziny. Zresztą przy jej inteligencji i wykształceniu najodpowiedniejszą była nauka.

Udała się pewnego dnia do uniwersytetu i weszła do pierwszego lepszego audytorjum, nie domyślając się nawet, na jaki wykład. Studenci, wyłącznie szwajcarowie, spoglądali na nią ze zdziwieniem, robili sobie nawet półgłosem nieżyczliwe uwagi. Nie zważała na to Kazia, przywykła do złośliwych demonstracji przyszłych uczonych.

Profesor mówił bardzo szczegółowo o pożyteczności osłów w Palestynie, o sposobie odżywiania ich i pielęgnowania, o rozmaitych ich gatunkach, wzroście, sile i maści: osły czarne małeńkie, osły dardanejskie, afrykańskie, fenicyjskie, osły popielate z pręgą przez grzbiet, osły z pręgami wzdłuż grzbietu i przez łopatki w formie krzyża...

— To jest kurs czego? — szepnęła Kazia są-

siadowi, nie zrażona minami, jakie wyrabiał poprzednio na jej widok.

— Teologja — odrzekł bardzo poważnie.

Na tę wiadomość omal nie parsknęła śmiechem.

Wysłuchawszy prelekcji o osłach do końca zastanowiła się, że należy wybrać jakąś gałąź wiedzy całkiem dla niej nieznaną, a jednak zajmującą. Po namyśle obrała prawo i zaczęła stale na wykłady uczęszczać. Nauka zajęła ją daleko więcej, niż się tego spodziewała.

Po pewnym czasie zwróciła szczególną uwagę na wyodrębnienie kobiety w prawodawstwie, zarówno cywilnem jak i kryminalnem, starożytnem, jak i nowożytnem.

I oto stanęła oko w oko z przyczyną wszystkich niepowodzeń i zawodów, jakie ją dotknęły: Prawo ustanowione przez mężczyzn, obyczaj, uświęcone przez mężczyzn, w interesie mężczyzn, słowem panowanie mężczyzny nad kobietą. Jak z puszek Pandury posypały się fakty, fakty, fakty. Całe życie, jej własne i tych wszystkich, kogo tylko znała i pamiętała z kobiet, stanęło w jej pamięci w tej chwili i dowodziło jej najmniejszym szczegółikiem swoim: mężczyzna krzywdzi, mężczyzna, mężczyzna!

W Kazi obudziła się dawna życiowa energja, chęć czynu, walki — zwycięstwa. Będzie studjowała prawo, ustanowione przez mężczyzn i obwoła światu, że owo prawo jest — bezprawiem!

W kilka lat potem w sali towarzystwa „*Union des femmes*“ w Genewie liczne zgromadzenie słuchało odczytu młodej autorki wspaniałej broszury pod tytułem: „Prawo mężczyzny“. Prelegentką była kandydat praw — panna Kazimiera Potulińska.

Publiczność nie była złożona przeważnie z kobiet: wszystko co myślało głęboko, uczciwie i poważnie na stosunki społeczne zeszło się tu, by okazać sympatję dla słusznej sprawy i zainteresowanie się inteligentną jej przedstawicielką.

Kazia nie powtarzała w odczycie znanej już swym słuchaczom broszury. Mówiła o obyczaju, który od pieluch niemal zakuwa kobietę w dożgonną niewolę, krępując ją na każdym kroku, pod wszelkimi względami w najmniejszej drobnostce i w najważniejszej kwestji życiowej: obyczaj każe jej inaczej się ubierać, inaczej chodzić, poruszać się, mówić, myśleć, co innego wiedzieć, czego innego się uczyć, pragnąć, czuć, niż to jest dozwolone mężczyźnie.

„Obyczaj, kończyła Kazia z siłą głębokiego przekonania, to nie rezultat rozwoju etycznego ludzkości: To jest piętno, które wycisnęła przemoc na duszy ujarzmionego; to jest prawo uświęcone okrucieństwem władcy i strachem bezbronnego, to jest dresura zwierzęcia, którego panem życia i śmierci był mężczyzna. Czy nie wiemy, skąd powstał obyczaj? Czy nie wzdryga się cała nasza istota na wspomnienie okrucieństw, katuszy, tortur, jakimi mężczyzna ujarzmił kobietę, jakimi wypaczył jej



sąd, jej wolę, jej istotę do tego stopnia, że dziś już sama nie wie, co złe, a co dobre, że uważa za święte i nietykalne to tylko, co jej nakazał szanować mężczyzna? Kobieta ma dzisiaj atawistyczne poczucie czci dla tego okrutnego bożyszczka obyczaju, ulepionego z własnego jej ciała, kąpanego w jej krwi, czczonego ofiarami jej męki. Obyczaj jest potężniejszy, niż wszystkie pisane prawa: jest w ręku mężczyzny narzędziem, tak silnym, jak okowy i żelazny naszyjnik więźnia. Kobieta, jeżeli chce się wyzwolić, musi zerwać łańcuch obyczaju, musi zdeptać bożyszcze, przeciwko któremu nie śmiała dotąd myśla nawet wykroczyć. A wtedy stanie naprzeciwko mężczyzny i rzecze mu: nie masz już władzy nademną; jestem wolna, jestem człowiekiem, jak ty, mam równe z tobą prawa!”

Burza oklasków odpowiedziała na śmiałą przemowę uczonej dziewczyny. Profesorowie, koledzy, znajomi i znajome cisnęli się wkoło niej ściskając jej rękę i winszując serdecznie.

Odpowiadała im swobodnie, pewna siebie, z uśmiechem zadowolenia na twarzy.

Ale po świetnym tryumfie, gdy wróciła do samotnego pokoju, pełnego ksiąg, dokumentów i rękopisów, wspomniała swą izdebkę przy uliczce *Chemin du Cygne*, fontannę z łabędziem, helebory w ogródku i krzaczek bzu białego. Dawne to były czasy i niepowrotne. Jakże inaczej myśli i czuje teraz.

A przecież żal jakiś i smutek opanował ją na wspomnienie straconej młodości, żal za tem, czego jej życie nie dało, a co jest jedynem dla kobiety szczęściem, co jest życia poezją; — serce Kazi zostało puste, samotne.

**BIBLIOTEKA**  
**UMCS**  
**LUBLIN**

KONIEC.

~~BIBLIOTEKA~~  
~~URZĘDNIKOW. WZAJ. UR. w KRAKOWIE~~  
~~SEKCJA IV.~~









Biblioteka Uniwersytetu  
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ  
w Lublinie

A 19246



1000173263